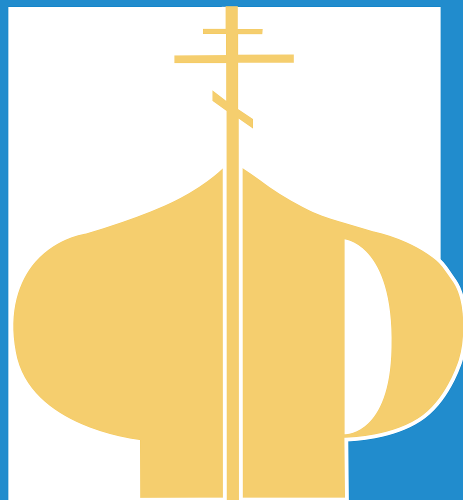


ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Proboszcz z Sokółki
- Z Orli do Sejmu
- W Jabloncu nad Nysą
- Współczesny gruziński święty

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 11 (425) listopad 2020 cena 7 zł (w tym 8% VAT)

Fot. Dmytro Pokhyliuk

W Nosowie, położonym cztery kilometry od Leśnej, rozwija się kult Leśniańskiej Ikony Bogarodzicy

Więcej na stronach 2 i 3

W numerze



W Lesnoj nam się objawiła, o Maryje – tę paraliturgiczną pieśń bardzo lubił *pokojny* siemiatycki dziekan, o. Eugeniusz Pańko. Intonował ją i u siebie, w Żerczycach, na *Tichwińską*, także w innych parafiach. W mielnickiej parafii wszystkie jej zwrotki (42!) śpiewano podczas obchodu pól w Moszczonie, w mielnickiej cerkwi była też procesyjna ikona z leśniańskim wizerunkiem. I choć ponad sto lat temu cudowna Leśniańska Ikona Matki Bożej opuściła nadbużańską ziemię, odrodzenie jej święta w 1992 roku nigdy nie było wydarzeniem wyłącznie chełmsko-lubelskiej diecezji, ale całej naszej Cerkwi.

W Lesnoj nam się objawiła

Także w tym roku do Nosowa, położonego cztery kilometry od Leśnej, w którym w pierwszą niedzielę po *Wozdwiżeniju* organizowane są główne obchody tego *prazdnika*, pospieszyły pielgrzymki z Bielska Podlaskiego, Białegostoku, Siemiatycz, wierni z okolicznych nadbużańskich parafii, także nosowscy parafianie, których przed Akcją Wisła było ponad tysiąc, dziś niespełna sześćdziesięciu.

Wszyscy uroczyście witali arcybiskupa lubelskiego i chełmskiego **Abla** i biskupa siemiatyckiego **Warsonofiusza**. I z nabożeństwem kłaniali się na stałe wyeksponowanej nad carskimi wrotami, a z okazji święta przyozdobionej kwiatami, kopii Leśniańskiej Ikony.

Cudowny wizerunek, objawiony w polnym kamieniu, który 14 września 1683 roku zauważył na gruszy nieopodal wsi Leśna (wtedy leżącej w Ziemi Mielnickiej) okoliczny pastuch **Alek-**



sander Stelmaszuk – przeniesiony z domu **Siemiona Makaruka** do bukowickiej cerkwi, po czym w niejasnych okolicznościach w 1686 przejęty przez katolickie duchowieństwo i umieszczony w kościele w Leśnej, do którego sprowadzono niebawem paulinów, po kasacji klasztoru i zamknięciu kościoła stał się główną świętością powstałego w Leśnej prawosławnego monasteru, a dziś znajduje się w rosyjskim monasterze w Provemont we Francji.

Podczas Liturgii modlono się o spokój dusz **Katarzyny** (grafini Eugenii Jefimowskiej) i **Niny** (Kosakowskiej), dwóch ihumenii leśniańskiego monasteru.

Pierwsza przybyła do Leśnej 19 października 1885 roku. Z nią pięć sióstr i dwie dziewczynki sierotki. Tuż za nimi paczki z siedemdziesięcioma czterema książkami, z Biblią, *molitwosłowami*, elementarzami, ruchomym abecadłem… Bo z błogosławieństwa starca Optinoj Pustyni, **Ambrożego**, chciała utworzyć monaster nowego typu, ze szkołą, przytułkiem i szpitalem.

Monaster istniał niespełna trzydzieści lat, owoce wydał ogromne. Dość powiedzieć, że jego działalność oświatową i wychowawczą porównywano do monasteru na Sołowkach, a w 1915 z Leśnej ewakuowało się pięćset mniszek i sześćset uczennic.

Już w 1889 roku w monasterze posługiwało 60 sióstr, miały średnio po 26 lat, dwanaście spośród nich legitymowało się wyższym bądź średnim wykształceniem. Ale do monasteru przychodziły też młode dziewczyny ze wsi z grodzieńskiej guberni. Ich nazwiska można spotkać na Białostocczyźnie do dziś – Trochimiuk, Kuzawińska, Pura, Jasiuk, Wasiluk, Dawidziuk, Charytoniuk.

I miała też leśniańska *obitiel* świętych darczyńców, św. Jana Kronsztadzkiego i św. Jelizawietę Fiodorowną, rodzinę carską. W 1899 roku św. Jan Kronsztadzki odwiedził monaster. „Katarzyno, Katarzyno z czasem zakwitnie u ciebie ławra”, poklepał ihumenię po ramieniu, dodając że leśniańska *obitiel* będzie niczym pszczeli ul, z którego wylecą roje (i te roje wyleciały, z czasem powstały monastery w Radecznicy, Wirowie, Krasnymstoku, Teolinie). Monaster odwiedziła i rodzina carska.

Oprócz szeroko rozbudowanej działalności edukacyjnej (ze szkołami *gramoty*, II stopnia, cerkiewno-nauczycielską szkołą i szkołą rolniczą) monaster prowadził działalność wychowawczą oraz medyczną (oprócz ambulatorium i apteki posiadał duży szpital z salą operacyjną i oddzielnymi salami dla chorych na choroby zakaźne).

Dwa razy do roku – na *Trojcę* i na *Wozdwiżenije Kresta Gospodnia* – do leśniańskiego monasteru z cudowną ikoną i sześcioma już cerkwiami przychodziło do 20-30 tysięcy wiernych, a ich pieśni, także te o Leśniańskiej Ikonie (w *Bogogłasniku* z 1969 roku są dwie, a znaną u nas pieśń o Poczajowskiej Ikonie znam też jako pieśń o Leśniańskiej, która wersja jest pierwotna, nie umiem powiedzieć) rozlegały się daleko.

Matuszka Katarzyna, starannie wykształcona, kierowała monasterem do 1908 roku, potem – pragnąc przyjąć *schimę* – powierzyła swoje obowiązki matuszce Ninie, dotychczasowemu skarbnikowi, absolwentce kursów felczerskich.

Obie zmarły na serbskiej ziemi, w monasterze w Chopowie, dokąd dotarły przez Rosję i Besarabię. Nie był to ostateczny cel wędrówki leśnianek – pozostałe przejechały do Francji, by ostatecznie osiąść w Provemont. Te, które zostały tam na zawsze, na nagrobnych krzyżach często umieszczają Leśniańską Ikonę, jakby odchodząc w świat nie rozstawały się ze świętością, z którą przybyły nad Sekwanę.

I do historii leśniańskiego monasteru sięgnął podczas kazania władyka Warsonofiusz. – Wiele lat temu, podczas mego pobytu we Francji, odwiedzałem monaster w Provemont z cudowną ikoną Matki Bożej – mówił. – Przybywają do niej nie tylko pielgrzymi z Francji, lecz z całej Europy, a nawet z Ameryki, otrzymują tam bowiem wiele uzdrowień, wiele łask, i to nie tylko prawosławni.

Władyka przywołał pamięć małego monasteru w Jabłecznej, który przetrwał napór unii, podczas gdy wielkie ośrodki monastyczne się poddały. – O czym to świadczy? – pytał. – O tym, że jesteśmy uczestnikami tej wielkiej Łaski Bożej, którą nas Bóg obdarza. Nasza Cerkiew jest biedna, jesteśmy jak Żydzi na pustyni, którzy podczas czterdziestoletniej wędrówki do Ziemi Obiecanej mieli tylko Boga i to Bóg ich prowadził.

Wiele lat temu miałem okazję rozmawiać na Świętej Górze Atos ze św. Paisjuszem, nie wiedziałem wówczas, że jest święty, ale czuło się od niego łaskę. Bardzo się interesował historią naszej Cerkwi, chciał nawet nas odwiedzić, ale później zachorował. „Starajcie się zachować wielką wiarę Ojców i poprzez to otrzymacie zbawienie i życie wieczne” – oto, co nam radził.

Do historii odwołał się także arcybiskup Abel. – W monasterze na uchodźstwie w Provemont jest także cząsteczka relikwii św. Atanazego Brzeskiego, który jest patronem naszej lubelsko-chełmskiej diecezji. To jest też nasza wielka świętość. Dlaczego monaster w Leśnej mógł dostąpić tak wielkiego błogosławieństwa? – pytał – Bo zrodził się u Leśniańskiej Ikony, z błogosławieństwa św. Jana z Kronsztadu, który na zaproszenie matuszki założycielki odwiedzał Leśną. Był tu też car *Strastotierpiec*. A dzisiejsza nasza obecność jest dowodem, że potrzebne jest nam orędownictwo Przenajświętszej Bogarodzicy, potrzebna jest odbudowa tej wielkiej tradycji, która była i jest bogactwem naszej Cerkwi. I my dzisiaj poprzez naszą modlitwę jesteśmy z tą wielką tradycją złączeni.

Władyka dziękował proboszczowi o. **Janowi Jałozie** i chórowi, którym kierowała matuszka **Walentyna Doroszkiewicz**, pielgrzymom. Powitał też oficjalnych gości – o. **Przemysława Sobczaka** z klasztoru paulinów w Leśnej i przedstawicieli władz samorządowych z wójtem Leśnej Podlaskiej **Pawłem Kazimierskim**.

Ałła Matreńczyk
fot. **Dmytro Pokhyliuk**

Otrząsnąć proch ze stóp

W piątek przed XXII niedzielą po Pięćdziesiątnicy, kiedy Cerkiew wspomina św. Wielkomęczennika Dymitra Sołuńskiego, słyszymy ewangeliczne opowiadanie o rozesłaniu 72 apostołów (Łk 10,1-15). Analogiczne opowiadanie, jakkolwiek o wysłaniu z misją tylko najbliższych uczniów, zamieszczają również św. św. Marek (Mk 6,7-13) i Mateusz (Mt 10,5-15). W ten oto sposób otrzymujemy bardzo ważną wskazówkę – jak mamy postąpić z fanatykami, ludźmi wyniosłymi i zadufanymi w sobie, zamkniętymi na nowości, przeświadczonymi, że to oni i tylko oni są nosicielami jedynej prawdy i kategorycznie, bez żadnej refleksji, odrzucającymi nas i nasze racje.

Przed udaniem się do Jerozolimy Chrystus kontynuuje misję w Galilei oraz w okolicach Tyru i Sydonu. Upłynął już pewien czas od wybrania z większego grona uczniów dwunastu apostołów. Teraz Jezus przygotowuje ich i wysyła po dwóch do pierwszej samodzielnej służby misyjnej. Uczniowie otrzymali wskazówki, przygotowujące ich do opartej na wierze służbie misyjnej, służbie Bożej. Mają pójść bez żadnego zabezpieczenia i wyposażenia – obowiązkowo parami, bo to zwyczajowo miało dostarczyć dodatkowej mocy ich świadectwu. Mają polegać na Bogu, że doprowadzi ich do ludzi zainteresowanych Jezusem. Jeśli takich znajdą, doświadczą tradycyjnej, wschodniej gościnności, a wszystkie ich niezbędne potrzeby, w sensie pożywienia i dachu nad głową, zostaną zaspokojone. Nie powinni biegać od domu do domu, raczej pozostać w tym, którego mieszkańcy uwierzyli w Jezusa, ponieważ wiara tych ludzi musi zostać ugruntowana, a dobrze przygotowana jedna rodzina w wiosce czy mieście może pomagać pozostałym dojść do wiary.

Pan nasz mówi: *Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało; proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo. Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki. Nie noście z sobą trzosa ani torby, ani sandałów. (...) Gdy do jakiego domu wejdziecie, najpierw mówcie: Pokój temu domowi! (...) W tym samym domu zostańcie, jedząc i pijąc, co mają: bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę (...) uzdrawiajcie chorych, którzy tam są, i mówcie im: Przybliżyło się do was królestwo Boże. (...) Lecz jeśli do jakiego miasta wejdziecie, a nie przyjmą was, wyjdźcie na jego ulice i powiedzcie (...) Nawet proch, który z waszego miasta przylgnął nam do nóg, strząsamy wam. Wszakże to wiedzcie, że bliskie jest królestwo Boże. Powiadam wam: Sodomie lżej będzie w ów dzień niż temu miastu* (Łk 10,2-12). Informację o tym, że gest strząśnięcia prochu z nóg ma stanowić świadectwo dla tych, którzy nie przyjęli ewangelistów, że pociągnie za sobą karę, zamieszczają św. Marek (Mk 6,7-13) i św. Łukasz (Łk 10,1-15). Natomiast św. Mateusz (Mt 10,14) pomija tę wzmiankę, mówiąc tylko o samym geście otrząsania stóp.

Nie higiena ale nieczystość rytualna

Co ma oznaczać gest otrząsania prochu z nóg? Dlaczego wspomniany gest ma stanowić świadectwo dla tych, którzy nie chcą słuchać Dobrej Nowiny? Biblijne pojęcie „proch" nie ma żadnego związku z prochem, broń Boże, strzeleckim. Oznaczało ono po pierwsze pył, kurz na piaszczystej drodze, po drugie coś marnego, nieistotnego, przemijającego, i po trzecie szczątki ciała zmarłego. Które z tych pojęć najbardziej odpowiada sytuacji opisanej w Ewangelii? Tu trzeba obowiązkowo wspomnieć, że u starożytnych Izraelitów był zwyczaj otrząsania stóp i szat po powrocie z jakiegoś pogańskiego terytorium. O tym samym pisał prorok Izajasz: *Przebudź się, przebudź! Przyodziej moc twą, Syjonie! Oblecz się w szaty najokazalsze, o Święte Miasto, Jeruzalem! Bo już nie wejdzie nigdy do ciebie żaden nieobrzezany ani nieczysty. Otrząśnij się z prochu, powstań, o Branko Jerozolimska! Rozwiąż sobie więzy na szyi, pojmana Córo Syjonu!* (Iz 52,1-2). Do miejsca świętego nie miał prawa wejść nikt skalany kontaktem z poganami i nieczysty rytualnie, bo w sensie higienicznym nogi, obuwie i szaty miały być idealnie czyste.

Gest ten miał zatem religijne znaczenie. Powstaje więc pytanie: dlaczego apostołowie mieli otrząsać proch z nóg po odwiedzeniu nie pogan, ale nieprzyjaznych Żydów?

Zgodnie z wyobrażeniem starotestamentowych Izraelitów, Bóg jest uosobieniem życia, światła, rozumu, zdrowia i mocy. Przeciwstawna Bogu nadnaturalna siła kojarzona była z destrukcją, ciemnością, rozkładem i prochem. Jeżeli „prochem" były też ludzkie szczątki, to zgodnie z żydowskim wyobrażeniem była to rzecz owładnięta śmiercią, czyli w skutkach szatańskiego pochodzenia, nieczysta, przeciwstawna Bogu dającemu Życie. Według pierwszych chrześcijan, włącznie z apostołami, ci, którzy nie przyjęli uczniów Chrystusowych, nie przyjęli też Mesjasza, tzn. prawdziwego Boga, który zstąpił na ziemię. Apostołowie strząsali więc ze swych stóp szatana, pod wpływem którego mieszkańcy danego domu lub miasteczka odmawiali przyjęcia Mesjasza w ich osobach. Podobnie jak Żydzi niegdyś oddzielali się od wszystkich, którzy czcili fałszywych bogów, tak

„Zniszczenie Sodomy i Gomory” Johna Martina



teraz chrześcijańscy misjonarze wyrażają swój sprzeciw wobec upartej niechęci słuchania Słowa Bożego. Chrystus wyraźnie powiedział apostołom: *Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie wpierw znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi. Pamiętajcie o słowu, które do was powiedziałem: „Sługa nie jest większy od swego pana”. Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować. Jeżeli moje słowo zachowali, to i wasze będą zachowywać* (J 15,18-20).

Biblista Aleksander Łopuchin widzi w tym pokazowym, wręcz uroczystym geście strząsania pyłu z nóg kilka znaczeń. Po pierwsze, apostołowie tym samym pokazywali, że od ludzi, którzy ich odrzucili, nie przyjęli dosłownie niczego i są wolni od jakiegokolwiek związku z nimi. Po drugie, są oni wolni od odpowiedzialności za straszliwe konsekwencje wobec niegościnnych osób. Po trzecie, apostołowie powinni byli pokazać niewierzącym, że uważają ich samych za nieczystych i, co więcej, odpowiedzialnych za tę nieczystość. „Strząśnięcie prochu z nóg” oznaczało potraktowanie odwiedzanych żydowskich miast tak, jakby były nieczystymi miastami pogan – prawdziwi naśladowcy Boga nie chcieliby, by na ich nogach pozostał jakikolwiek pył pochodzący z takich miejsc. Mieszkańcy tej miejscowości powinni byli zastanowić się nad swym postępowaniem. Ten odrzucony, otrząśnięty proch powinien skłonić zatwardziałych ludzi do przemyślenia, czy rzeczywiście ich postawa i wyobrażenie o Bogu i prawdzie są właściwe? Może to na ich progu został strząśnięty proch ich tępego, bezmyślnego zamknięcia się na bliźnich i na Boga? Właśnie w takiej jasnej sytuacji apostołowie powinni byli otrząsnąć pył z sandałów i odejść.

Czy wypada nam być tak surowymi?

Zawsze, w oparciu o Pismo Święte, ktoś może zaoponować: „A gdzie miłość chrześcijańska? Gdzie tolerancja? Gdzie wielkoduszny stosunek do ludzi błądzących, upadłych, do „marnotrawnych synów”? Wszak „słońce jednakowo wschodzi nad sprawiedliwymi i nad grzesznymi”, itd. Mimo tych zdawałoby się słusznych obiekcji, gest otrząśnięcia prochu z nóg nie jest znakiem całkowitego braku miłości. Owszem, zgodnie z „Hymnem miłości” św. apostoła Pawła miłość jest *cierpliwa… łaskawa…nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje* (1 Kor, 13, 4-8). Z drugiej strony *nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą* (1 Kor 13,6). Tu właśnie chodzi o wierność Prawdzie, ale nie każdej ludzkiej „prawdzie”, lecz tej uosobionej w Chrystusie. Relacja miłości do drugiego człowieka musi być bezkompromisowa w tym znaczeniu, że musi być oparta na prawdzie. Jeśli ktokolwiek w relacji cokolwiek udaje, osłabia tę relację i niszczy ją. Prędzej czy później wyjdzie na jaw każde pozerstwo i człowiek raz nieszczery już nie będzie obdarzony zaufaniem.

Miłość w każdej swojej odmianie, czy to przyjacielska, braterska, rodzicielska, małżeńska musi być budowana na prawdzie i ten wymóg często jest bardzo trudny, żąda wytyczenia jasnych granic. Jednak taka miłość, niekiedy szorstka i wymagająca, ujęta w konieczne ramy, jest właśnie miłością prawdziwą. Gdy rozmowy nic nie dają, gdy jedna osoba długo, beztrosko i bezlitośnie rani drugą, przychodzi moment na przeciwdziałanie. To jest dobre również dla atakującej strony, bo bezkarność rozzuchwala i nie pozwala opamiętać się. Jednak i w swej obronie nie atakujemy, lecz raczej odchodzimy, usuwamy się. Analogicznie, kiedy my sami kogoś bezrefleksyjnie ranimy, bądźmy wdzięczni za każde upomnienie i gest, które uświadomią nam błąd i grzech. Dzięki temu, poprzez unikanie konfrontacji i zła, wszyscy możemy się stać lepsi, również w oczach Bożych.

Wskazówka dla duszpasterzy i dla nas

Otrząśnięcie prochu z nóg, mimo że stosowane przez wielu bezkompromisowych naśladowców Chrystusa, także w nowożytnej historii i obecnie, przez większość chrześcijan jest pojmowane raczej jako symboliczny gest. Sytuacja rzadko bywa klarowna, jasna. Nawet w Ewangelii są wspomniane „dom” jako osobna rodzina i „miasto” jako wszyscy mieszkańcy, cała osada czy miasteczko. Ktoś może powiedzieć – nawet w rodzinie, nie mówiąc o

całej społeczności, nie wszyscy mają jednakowe zdanie. Mogło być tak, że apostołów nie wpuszczono do jakiegoś domu albo starszyzna wysłała delegację z żądaniem: odejdźcie stąd. W miasteczku mógł być ktoś ciekaw poselstwa apostołów, ale większość zdecydowała inaczej. Owszem, zdarzają się sytuacje, że pewni ludzie nie dają wiary naszym słowom, kwestionują je, mają odrębne zdanie. Człowiek ma prawo mieć swoje zdanie. Jednak w Ewangelii mamy do czynienia raczej z jasną sytuacją – odrzuceniem



„A co to jest prawda?” Nikołaja Ghe

poselstwa apostołów przez większość Żydów. Ci ludzie nie tylko „nie przyjęli” apostołów jako wędrowców, ale odrzucili przedstawicieli Zbawiciela w osobie Jezusa Chrystusa. Apostołowie niczego nie głosili od siebie, tylko to co im nakazał Jezus: *Opamiętajcie się, czyńcie pokutę, nawróćcie się, przybliżyło się bowiem Królestwo Niebios* (por. Mt 4,17). Być może odrzucenie tego wezwania było skutkiem faryzeuszowskiej propagandy, rozmaitych knowań i plotek, albo też uporczywego trwania w grzechu. W każdym razie ich domy i serca pozostały zamknięte na Dobrą Nowinę i jej głosicieli.

Chrystus uwiarygodnił poselstwo uczniów przez udzielenie im wielkiej mocy wypędzania demonów i uzdrawiania. Olej, wykorzystywany w leczeniu ran wraz z modlitwą, był symbolem i świadectwem ich Bożego powołania.

A jednak sukces nie był powszechny i łatwy. Co więcej, Pan nasz doznał goryczy odrzucenia nawet w rodzinnym mieście. Z takim doświadczeniem tym bardziej chciał pokazać uczniom, że w swym działaniu trzeba być konsekwentnym, a niepowodzenia są niejako wpisane w „ryzyko zawodowe”. Wielu ludzi (w tym również ja sam) szybko zrażają się każdym, najmniejszym niepowodzeniem, łatwo poddają się. Z powodu jednej krytyki są gotowi całkowicie zarzucić swą działalność. To nawet nie jest pycha. Raczej zbyt wysokie oczekiwanie od siebie i zbyt szybkie uznanie siebie za słabeusza. Tymczasem Chrystus każe uczniom, których odrzucono w jednym miejscu, udać się do następnego. Być może tam czekają na nich z rozpostartymi ramionami. Kapłani w swych parafiach mają z reguły gorących zwolenników i pewną garstkę oponentów. Jeżeli ta opozycja nie jest bezpośrednio skutkiem grzechów i zaniedbań samego kapłana, jeżeli mimo wszelkich starań nie udaje się ich zjednać, niech tak pozostanie.

W przypadku duszpasterza, a zwłaszcza misjonarza, nie warto tracić czasu na przekonywanie niezainteresowanych, bo przez to marnuje się czas na realizację zasadniczego celu misyjnego i swego powołania. Trzeba dalej pracować z ludźmi otwartymi i zainteresowanymi współpracą.

Również w innych codziennych, świeckich sprawach, a może głównie w nich, z ludźmi, którzy podparci większością, tym bardziej wiedzą swoje i wszystko wiedzą najlepiej, nie ma sensu wdawać się w jałowe dysputy, argumentować ani przekonywać o swoich racjach i dobrych zamiarach. Trzeba odejść, wręcz (dyskretnie) otrząsnąć ten umowny „proch”, zostawić ich w złudnym przekonaniu o ich słuszności. Prawdopodobnie taki wniosek płynie z omówionego tu ewangelicznego czytania.

o. Konstanty Bondaruk

Proście, a będzie wam dane

11 listopada wierni słyszą dobrze znany z „molebnów w każdej potrzebie” fragment z 11 rozdziału Ewangelii według św. Łukasza. „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje, a kto szuka, znajduje, a kto kołacze, temu otworzą”. Ewangelista powołuje na przykład ludzi. Skoro my, grzeszni i samolubni, spełniamy prośby naszych dzieci, nie podajemy im kamienia zamiast chleba, węża zamiast ryby ani skorpiona zamiast jajka, to o ileż bardziej szczodry, łaskawy i dobrotliwy jest Bóg względem swych dzieci.

To ewangeliczne zapewnienie jest krzepiące i optymistyczne, bo częstokroć mamy złe doświadczenia i doznajemy gorzkiej frustracji: nasze modlitwy nie są wysłuchiwane. Prosimy, lecz nie otrzymujemy. Szukamy, lecz nie znajdujemy. Stukamy, ale nie zawsze nam otwierają. Wówczas pojawia się pytanie: Dlaczego? Czy źle prosimy? Czy oczekujemy za wiele? Czy prosimy nie o to, co naprawdę jest nam potrzebne, albo może nie jesteśmy warci spełnienia naszych próśb? Św. apostoł Paweł pisał, że *nie umiemy się modlić tak, jak trzeba* (Rz 8, 26). Również w Liście św. Jakuba znajdujemy częściową odpowiedź na to pytanie. *Pożądacie, a nie macie, żywicie morderczą zazdrość, a nie możecie osiągnąć. Prowadzicie walki i kłótnie, a nic nie posiadacie, gdyż się nie modlicie. Modlicie się, a nie*



„Chory mąż” Wasilija Maksimowa

otrzymujecie, bo się źle modlicie, starając się jedynie o zaspokojenie swych żądz (Jk 4,2-4). Apostoł radzi odrzucić wszelką pychę, uniżyć się przed Bogiem, „oczyścić ręce i uświęcić serca”, zbliżyć się do Boga, a On pochyli się nad ludzką niedolą.

Nieco wcześniej, przed zaleceniem wytrwałego proszenia, szukania i kołatania ewangelista Łukasz cytuje przypowieść o przyjacielu o północy, który prosi, by mu pożyczyć trzy chleby. Przypowieść kończy się słowami: *Mówię wam: Chociażby nie wstał i nie dał z tego powodu, że jest jego przyjacielem, to z powodu jego natręctwa wstanie i da mu, ile potrzebuje* (Łk 11,8).

Później, w 18 rozdziale, ewangelista Łukasz przytoczył inne słowa Zbawiciela o potrzebie bezustannej, usilnej modlitwy. Pewna wdowa stale i natarczywie nachodziła nieczułego sędziego z żądaniem sprawiedliwości. I właśnie dzięki swej wytrwałości osiągnęła cel. Sędzia wysłuchał nie dlatego, że pobudzony był miłosierdziem albo odezwało się w nim sumienie. Jak sam przyznaje: *ponieważ naprzykrza mi się ta wdowa, wezmę ją w obronę, żeby nie przychodziła bez końca i nie zadręczała mnie*. Przykładem skuteczności usilnej, wytrwałej modlitwy jest kobieta kananejska, która szła za Jezusem, prosiła, wręcz krzyczała o uzdrowienie jej córki. Tej kobiety nie zraziło nawet powtórzenie obraźliwego porównania pogan do psów. Jej cierpliwość, nieustępliwość, wręcz natarczywość, zostały nagrodzone (Mt 15,22-28).

W Piśmie Świętym Starego Testamentu też znajdujemy kilka przykładów odważnej, cierpliwej i uporczywej modlitwy. W Księdze Rodzaju (18,16-33) Abraham odważnie stanął przed Bogiem twarzą w twarz i prosił o zmiłowanie dla Sodomy. Abraham rozmawiał z Bogiem w sposób szczególny, jak ze zwykłym człowiekiem, z którym ubija się interes i targuje o cenę.

Dzięki uporowi udało mu się zejść z pięćdziesięciu do dziesięciu sprawiedliwych. Wiedział, że nie znajdzie się nawet tylu, bo był tylko jeden prawy człowiek, jego bratanek, kuzyn Lot, a mimo to z odwagą i z uporem szedł naprzód. Nieco dalej, w 32 rozdziale Księgi Rodzaju, przytoczona jest opowieść o walce Jakuba z tajemniczym aniołem, którym okazał się Bóg. Patriarcha zmagał się z nim do rana*: Nie puszczę cię, dopóki mi nie pobłogosławisz!* Anioł ustąpił i oznajmił: *Odtąd nie będziesz się zwał Jakub, lecz Izrael, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi, i zwyciężyłeś. Potem Jakub rzekł: Powiedz mi, proszę, jakie jest Twe imię? Ale on odpowiedział: Czemu pytasz mnie o imię – i pobłogosławił go na owym miejscu* (Rdz 32,25-30).

W naszej cerkiewnej praktyce mamy również sakrament namaszczenia chorych. Ten co najmniej półtoragodzinny obrzęd, wspaniałe tropariony, ektenie i modlitwy, siedmiokrotne odczytanie siedmiu różnych fragmentów Apostoła, Ewangelii i siedmiokrotnie powtórzona modlitwa *Ojcze Święty, lekarzu dusz i ciał* czynią z namaszczenia chorych potężną modlitwę, jak mówią Rosjanie *silnuju molitwu*. Jej siła nie wynika z udokumentowanej skuteczności, lecz z wewnętrznego piękna, z głębokiej treści i przeciągłego, uporczywego oraz natarczywego błagania o zmiłowanie nad chorym.

Jaki wniosek dla wierzącego płynie z tych biblijnych przykładów? Niewątpliwie wytrwałość, żarliwość, usilność, natarczywość są koniecznym warunkiem skuteczności modlitwy. Jednak nie tylko to.

Zachęcając do wytrwałej modlitwy i obiecując, że będzie ona wysłuchana, Pan nasz chce, by wypływała ona z głębokiej wiary i dopiero potem, aby była wytrwała.

Kto się modli bez tego głębokiego przekonania o mocy, dobroci, miłosierdziu i wierności Bożej, jakie tylko wiara dać może; kto prosi na „chybił trafił”, a nuż się uda, ten „kusi Boga” (Syr 18,23). Kto prosi Boga o błahe, egoistyczne, zbyteczne i w istocie szkodliwe rzeczy, ten jest „miłosiernie niewysłuchiwany” i nie może mieć o to pretensji do Boga.

Bóg odpowiada na modlitwy swoich dzieci, ale tych, które prawdziwie przyjęły Go do swojego życia i starają się Go naśladować. Bóg chce, byśmy zwracali się do Niego z każdą sprawą w modlitwie, i zapewnia, że odpowie na nasze prośby, ale zgodnie ze swoją wolą. *Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty [niech się stanie]!* (Mk 14,36) – mówi Chrystus i taka powinna być nasza postawa.

Amiń.

o. Konstanty Bondaruk

Nie odwrócił się plecami

Należy do najbardziej znanych na świecie Japończyków. Dyplomata i współpracownik służb wywiadowczych. Przez Izrael uhonorowany tytułem „Sprawiedliwego wśród narodów świata", przez Polskę, pośmiertnie, Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczpospolitej Polskiej (1996) i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2007).

Uchodźcy musieli pokonać główną przeszkodę – otrzymać zgodę na przejazd przez ZSRR. **Chiune Sugihara** spotkał się z **Władimirem Diekanozowem**, zastępcą Narodowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR. Przekonał go o konieczności otwarcia korytarza dla polskich Żydów – uchodźców przez terytorium radzieckie. Diekanozow naświetlił ten problem Kremlowi, nie zapominając o możliwości zwerbowania pośród nich agentury do pracy w innych krajach oraz możliwości zarobienia na ich przewozie transsyberyjską magistralą (160 dolarów od osoby). W końcu, na posiedzeniu Biura Politycznego 29 lipca 1940 roku zapadła, podpisana przez **Stalina**, „zgoda na przejazd tranzytem przez ZSRR Żydów uchodźców z byłej Polski".

Sugihara nie przestawał wydawać wiz. Cały sierpień 1940 roku spędził za biurkiem, pracując od ósmej rano do późnych godzin nocnych. Według ówczesnych japońskich zasad wiza była wystawiana własnoręcznie. Każdego dnia Sugihara wydawał miesięczną normę (przydział) wiz. Zdarzało się, że pióro pękało mu w palcach. Wielu uchodźców nie miało pieniędzy na opłacenie wizy. Wielu brakowało niezbędnych dokumentów. Sugihara podpisywał wszystko. Nowe władze Litwy odebrały budynek konsulatu. Sugihara pracował w hotelu „Metropol" do końca sierpnia 1940 roku, kiedy władze radzieckie zażądały od niego opuszczenia terytorium ZSRR. Ostatnie wizy wypisywał na dworcu kolejowym i w przedziale wyjeżdżającego do Berlina pociągu. Według niektórych świadków, kiedy pociąg ruszył z dworca w Kownie, Sugihara wyrzucił przez okno odprowadzającej go grupie Żydów pieczęć konsulatu i blankiety wiz, żeby sami mogli podrabiać te papiery. W dokumentach konsulatu zarejestrowano 2139 tranzytowych wiz wydanych przez Sugiharę. Wiza najczęściej była wydawana na całą rodzinę, dlatego tylko z oficjalnie wydanych wiz skorzystało do sześciu tysięcy osób. Liczba podrabianych wiz nie jest znana. Żydzi, którzy dostali pieczęć konsulatu i blankiety wiz, nie znali języka japońskiego i w japońskich hieroglifach się nie orientowali. Często jedna wiza była po prostu wielokrotnie kopiowana. Można sobie wyobrazić zdziwienie japońskich pograniczników, którzy na statku, który dotarł do Tsurugi, odkryli trzydzieści osób o imieniu i nazwisku Jakob Goldberg.

Z Japonii około tysiąca Żydów – uchodźców zdążyło przedostać się do USA przed napaścią Japonii na Pearl Harbor. Inni osiedli w mieście Kobe, gdzie istniała wspólnota rosyjskich Żydów. Najwięcej zostało skierowanych przez władze japońskie do Szanghaju. Praktycznie wszyscy szczęśliwie przeżyli II wojnę światową.

Los Żydów, którzy pozostali na Litwie, był tragiczny. Do momentu napaści Niemiec na ZSRR na Litwie mieszkało od 225 do 265 tysięcy Żydów, w tym 13-15 tysięcy uchodźców z Polski, którzy z różnych przyczyn nie skorzystali z możliwości wyjazdu z japońskimi wizami. Przyłączenie Litwy do ZSRR przesunęło holokaust Żydów na Litwie o rok, ale nasiliło wrogość Litwinów, którzy obwiniali ich za sowietyzację kraju. Zabójstwa Żydów rozpoczęły się w pierwszych dniach wojny. Od razu przyjęły zorganizowane formy. I tak 25 czerwca 1941 roku do Kowna przybył dowódca Einsatzgruppe A **Franz Stahlecker**. Inspirował liderów litewskich nacjonalistów do rozpoczęcia pogromów. Od 25 do 29 czerwca w Kownie zginęło około 4 tysięcy osób. 4 i 6 lipca tysiące Żydów zostało zabitych w dziewiątym forcie kowieńskiej twierdzy. Komendant Einsatzgruppe 3 **Karl Jager** 1 grudnia 1941 roku sporządził dokładny raport o dokonaniach jego komanda. Zgodnie z nim pododdział w bliskiej współpracy z litewskimi ochotnikami zabił 136 421 Żydów. Na koniec stycznia 1942 roku w wyniku masowych egzekucji, śmierci z chłodu i głodu na Litwie zginęło 185 000 Żydów (80 proc. przedwojennej populacji).

Później Chiune Sugihara powie: „Byłem pewien, że postępuję prawidłowo. W uratowaniu wielu istnień niczego nieprawidłowego nie ma. Duch człowieczeństwa, dobroczynności, sąsiedzkiej współpracy – właśnie w nich tkwi przyczyna, z powodu której kontynuowałem to co zostało rozpoczęte ze zdwojoną odwagą".

W końcu sierpnia 1940 roku Sugihara na zawsze porzucił Kowno. Nie został ukarany przez swoje kierownictwo z MSZ za niesubordynację. W dalszym ciągu ceniono go jako wybitnego dyplomatę i specjalistę „od spraw rosyjskich". Przydatność Sugihary jako wywiadowcy przewyższała rozdrażnienie z powodu niezrozumiałego incydentu w Kownie.

Skierowano go do Pragi, stolicy Czechosłowacji. Tutaj także przebywało wielu rosyjskich migrantów, byłych białogwardzistów, i funkcjonowała prawosławna cerkiew, z przyszłym świętym męczennikiem, biskupem czeskim i morawsko-śląskim, **Gorazdem**. Tutaj zastał znajome mu jeszcze z Harbinu środowisko. Zabrał ze sobą także porucznika **Leszka Daszkiewicza**. Współpraca Japończyków z polskim wywiadem trwała.

Trwała też polityczna gra Japonii z Niemcami. 27 września 1940 roku



Ikona Chiune Sugihary

Niemcy, Włochy i Japonia podpisały tzw. Pakt Berliński. Porozumienie to uwzględniało prawo umawiających się stron do bilateralnych stosunków z ZSRR.

Korzystając z tego prawa Japonia 13 kwietnia 1941 roku podpisała z ZSRR pakt o neutralności. Zostało to skrajnie negatywnie przyjęte w Niemczech i Włoszech, kraje te traciły bowiem sojusznika w przygotowywanej wojnie z ZSRR. Japonia rozwiązywała sobie ręce w opracowaniu planu wojny o Wielką Azję Wschodnią przeciwko USA, Holandii i Wielkiej Brytanii. Zapobieżenie konfliktowi z ZSRR leżało teraz w interesie Japonii, ponieważ walczyć na dwa fronty nie chciała. Ale na Dalekim Wschodzie ZSRR trzymał w dalszym ciągu duże jednostki wojskowe. Dlatego wojna Niemiec z ZSRR była dla Japonii bardzo wygodna, doprowadziłaby bowiem do przerzucenia znacznej części radzieckich wojsk z Dalekiego Wschodu na zachód. Japońscy dyplomaci w dalszym ciągu starali się odkryć prawdziwe zamiary Niemiec. I kiedy w japońskim MSZ pojawił się pomysł otwarcia konsulatu w Kőnigsbergu, najbliżej położonym od radzieckiej granicy dużym niemieckim mieście, najlepszą kandydaturą na stanowisko konsula okazał się Chiune Sugihara.

Przybył do Kőnigsbergu w marcu 1941 roku. Tak naprawdę konsulat w tym mieście nie był potrzebny. Władze niemieckie rozumiały, że właśnie został otwarty legalny ośrodek wywiadu, ale zaakceptowały to, licząc na udział Japonii w wojnie przeciwko ZSRR.

Ale w 1941 roku Japonia musiała się przekonać, że ZSRR będzie związany wojną z Niemcami. Po to m.in. otworzyła konsulat w Kőnigsbergu. Sugihara przywiózł ze sobą Leszka Daszkiewicza. Wiosną 1941 roku Niemcy dość dużo wiedzieli już o Sugiharze. Rozumieli, że mają przed sobą doświadczonego pracownika wywiadu, wiedzieli, że współpracuje on z polskim wywiadem. W takich warunkach prowadzenie działalności wywiadowczej na terenie Prus Wschodnich było trudne. Sugihara potrzebował nowych kontaktów, nowych ludzi, nowych twarzy. Na kim mógł się oprzeć? Niemców należało wykluczyć. Pozostawali Rosjanie, prawosławni, byli białogwardziści. Wybór był nieduży. Wszystkie oczekiwania spełniał **Jurij Siergijewicz Arsieniew**, brat profesora uniwersytetu w Kőnigsbergu, a w okresie międzywojennym także studium Teologii Prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim **Nikołaja Arsieniewa**, Rosjanin, prawosławny, były białogwardzista.

Jak doszło do tej znajomości? Rodzinę Arsieniewych Sugihara poznał od razu po przyjeździe do Kőnigsberga. Profesor Nikołaj Siergijewicz Arsieniew pod nieobecność duchownego stał na czele prawosławnej wspólnoty w tym mieście. Prowadził ewidencję parafian, podtrzymywał z nimi stałe więzi, organizował nabożeństwa. Raz w miesiącu w wynajmowanym pomieszczeniu gimnazjum w historycznej części miasta Lobenicht przyjezdny duchowny służył nabożeństwo. Najczęściej był nim o. **Aleksander Awajew** z Wojnowa. Sugihara z rodziną przyjechał do Kőnigsberga podczas Wielkiego Postu, Paschę prawosławni świętowali 20 kwietnia. Okres Wielkiego Postu i Świąt Paschalnych był najlepszym okresem do zawarcia znajomości z Nikołajem Arsieniewem i jego bliskimi. Zrozumiałe jest też zainteresowanie Arsieniewych japońskim konsulem, który nieoczekiwanie okazał się prawosławnym chrześcijaninem. Trzeba pamiętać też, że ojciec braci Arsieniewych był znanym rosyjskim dyplomatą. Punktów wspólnych było więc wiele. Bracia Arsieniewowie, dobrze obeznani ze światem polityki, musieli zdawać sobie sprawę, że Sugihara, jak większość dyplomatów, pełni także misję wywiadowczą.

Swoje służbowe obowiązki Sugihara wypełniał uczciwie. W artykule „Sprawiedliwy wśród narodów świata. Chiune Sugihara", opublikowanym w czasopiśmie „Historia nowa i najnowsza" (5/2014), **Ilja Altman** powołuje się na rozpaczliwe raporty naczelnika policji Prus Wschodnich do Berlina o japońskim dyplomacie, który rozjeżdża się po całej prowincji, odnotowuje przemieszczanie wojsk i ewakuacje dzieci z regionów przygranicznych. Naczelnik policji apeluje o odwołanie japońskiego konsula.

Tymczasem Sugihara kieruje do Tokio swoje doniesienia. I tak 9 maja 1941 roku po raz pierwszy zapewnia, że wojna Niemiec z ZSRR jest nieunikniona. 29 maja donosi o utworzeniu przy uniwersytecie w Kőnigsbergu i sztabie I wojskowego okręgu kursów języka rosyjskiego. Od kogo Sugihara mógł się dowiedzieć o kursach języka rosyjskiego przy uniwersytecie? Bezpośrednio od prof. Nikołaja Arsieniewa. Kontaktowali się przecież dość często. Mógł też dowiedzieć się od Jurija Arsieniewa, sekretarza technicznego japońskiego konsulatu. A ten z kolei od swego brata.

Na początku lipca Sugihara informuje Tokio: „30 maja zauważyłem, że między wszystkimi punktami na wschód od Kőnigsbergu przeciągnięto polowy telefon. Wzdłuż szosy między Tilsit i Ejtkuny (dzisiaj odpowiednio miasto Sowietsk i osada Czernoszewskoje) regularnie wznoszone są platformy dla ustawienia ciężkich karabinów maszynowych i moździerzy. Na głównych ulicach w Tilsit nasypane są kupy piasku, na wszystkich placach miasta i nawet w ciasnych zaułkach jest bardzo dużo samochodów. Wszystko to zapowiada początek wojny". W końcu Sugihara podał dokładną datę wojny.

W japońskim MSZ obowiązywała specyficzna praktyka: dyplomaci tego kraju podtrzymywali zaszyfrowaną telefoniczną łączność nie tylko ze swoim MSZ, ale i z japońskimi przedstawicielami w innych krajach. Zgodnie z

tą praktyką Sugihara przesyłał swoje informacje także do ambasady Japonii w Moskwie. Jak teraz wiadomo, radziecki wywiad przechwytywał i rozszyfrowywał te telegramy. Informacja Sugihary z Kőnigsbergu o początku wojny, podobnie jak i informacje z Tokio **Richarda Sorge**, znajdowały się w dyspozycji radzieckiego wywiadu. Niestety, tej informacji nie potrafiono wykorzystać…

22 czerwca 1941 roku Niemcy napadły na ZSRR. Hitler oczekiwał od Japonii rozpoczęcia działań bojowych przeciwko ZSRR na Dalekim Wschodzie. Ale ich nie było… Richard Sorge poinformował niemiecki wywiad, że Japonia w żadnych okolicznościach nie naruszy zawartego z Rosją paktu o nieagresji. Bano się dostarczyć tę informację Hitlerowi.

Sugihara tymczasem przekazuje do Tokio wszystko, czego może się dowiedzieć o rzeczywistej sytuacji na radziecko-niemieckim froncie. Niemiecka propaganda utrzymywała, że Armia Czerwona została rozbita i ucieka, że Moskwa wkrótce zostanie wzięta. Hitler żądał więc od Japonii przystąpienia do wojny, żeby zdążyła przed podziałem „rosyjskiego pieroga".

Ale rzeczywistość różniła się od niemieckiej propagandy. Mimo ogromnych strat, Armia Czerwona stawiała opór, wojna się przeciągała. Sugihara znalazł się w najkorzystniejszym do zdobywania informacji miejscu. To do Prus Wschodnich przybyły pierwsze partie jeńców wojennych, tutaj dotarły pierwsze transporty rannych z frontu. Najwartościowsze informacje mogły pochodzić od miejscowych Rosjan, w pierwszej kolejności – od rodziny Arseniewów. Nikołaj Siergiejewicz Arsieniew został wzięty jako tłumacz do Wehrmachtu i już jesienią znalazł się pod Leningradem. Od jego brata Jurija Sugihara mógł dowiedzieć się, co Nikołaj Arsieniew pisał spod Leningradu do swych bliskich. Wehrmacht ugrzązł w zaciętych bojach.

7 grudnia 1941 roku Japończycy napadli na amerykańską flotę w Pearl Harbor. Wojny Japonii przeciwko Rosji Hitler się nie doczekał.

Zajęty działalnością wywiadowczą Sugihara nie zapomniał o obowiązkach konsula – kilku kőnigsberskich Żydów otrzymało od niego wizy umożliwiające im opuszczenie miasta. Niemcy za wszelką cenę chcieli się od japońskiego konsula uwolnić. W końcu japoński MSZ postanowił w 1942 roku przenieść go do Rumunii. Jurij Arsieniew pracował w japońskim konsulacie do końca 1944 roku, kiedy rodzina Arsieniewych ostatecznie porzuciła Kőnigsberg i przejechała do zachodnich Niemiec. Wiadomo, że polski rząd emigracyjny w Londynie wydał Nikołajowi Arsieniewowi paszport. Prawdopodobnie polskie paszporty otrzymali także inni członkowie rodziny Arsieniewych, w tym jego brat Jurij. Miało to duże znaczenie, gdyż po kapitulacji Niemiec okupacyjna administracja nie wydawała ZSRR osób z przedwojennym polskim obywatelstwem. Mogli pozostać w angielskiej, francuskiej czy amerykańskiej strefie okupacji, a potem przejechać do kraju, który zgodził się ich przyjąć. Już w maju 1945 roku Nikołaj Arsieniew ze swoim polskim paszportem legalnie przedostał się do Paryża.

Ale powróćmy do losu Chiune Sugihary.

Rumunia była sojusznikiem Niemiec i uczestniczyła w wojnie przeciwko ZSRR. Na czele państwa stał *conducator* (odpowiednik fürera albo duce) **Ion Antonescu**. Zdecydowaną większość ludności stanowili prawosławni. Tutaj Sugihara mógł łatwo nawiązać potrzebne znajomości i zdobywać informacje dla japońskiego MSZ zarówno o sytuacji w Europie Wschodniej, jak i o sytuacji na radziecko-niemieckim froncie, gdzie walczyły trzy rumuńskie armie. W 1943 Sugihara otrzymał awans, a w 1944 roku japoński order Świętego Skarbu V stopnia. Można z tego wyciągnąć wniosek, że jego działalność była dobrze oceniana, a pozyskiwane przez niego informacje okazały się wartościowe.

W 1944 roku bliska stała się klęska Rumunii. W końcu sierpnia król **Michał I** dokonał państwowego przewrotu. Antonescu został aresztowany, działalność wojskowa przeciwko ZSRR, Wielkiej Brytanii i USA – zastopowana. Od tej pory Rumunia walczyła już przeciwko Niemcom. W biografii Sugihary podkreśla się, że wraz z rodziną został umieszczony w obozie filtracyjnym, a do Japonii powrócił dopiero w 1947 roku. Szczegóły pobytu w obozie nie są znane. Nie wiadomo też, dlaczego Sugihara został pozbawiony wolności. ZSRR w 1944 roku wojny z Japonią nie prowadził i utrzymywał normalne dyplomatyczne stosunki. Po zajęciu Kőnigsbergu przez Armię Czerwoną został odnaleziony ocalały podczas szturmu japoński konsul **Oda Toranosuke**, który zastąpił Sugiharę w 1942 roku. Nie został wzięty do niewoli. W dobrym zdrowiu i ze wszelkimi honorami odwieziono go do Japonii.

Wygląda na to, że Sugiharę pozbawiły wolności nie władze radzieckie, lecz rumuńskie. Rumunia w porę zdradziła Niemcy w sierpniu 1944 roku. Od tej chwili rumuńska armia zaczęła u boku radzieckich wojsk walczyć przeciwko niemieckiej armii, a 4 marca 1945 roku Rumunia wypowiedziała wojnę Japonii. Praktycznych następstw to wypowiedzenie wojny nie miało. Po napaści Japonii na Pearl Harbor polski rząd na uchodźstwie 11 grudnia 1941 roku także wypowiedział wojnę Japonii. Premier Japonii **Hideki Tōjō** skomentował to w następujący sposób: „Wypowiedzenia wojny przez Polskę kategorycznie nie przyjmujemy do wiadomości, stało się to bowiem wyłącznie pod naciskiem rządu Wielkiej Brytanii". Japońscy dyplomaci w Europie kontynuowali owocną obustronnie korzystną współpracę z polską siecią wywiadowczą. W 1957 roku ktoś przypomniał sobie, że Polska znajduje się w stanie wojny z Japonią i rządy obu państw oficjalnie go zniosły. To samo stało się także z rumuńskim wypowiedzeniem wojny. Wielka Brytania i USA, które rzeczywiście walczyły przeciwko Japonii, były zadowolone, ale praktycznego znaczenia ta deklaracja nie miała. Jednak japońskiemu konsulowi Sugiharze i jego rodzinie rumuńskie władze ograniczyły swobodę poruszania. Do ojczyzny Sugihara wrócił dopiero w 1947 roku przez ZSRR, transsyberyjską magistralą.

Japonią, po jej kapitulacji, rządziły Stany Zjednoczone. Personel japońskiego MSZ został zredukowany o 90 proc. Sugihara także został zwolniony, przez pewien czas imał się różnych zajęć. Dzięki doskonałej znajomości języka rosyjskiego otrzymał pracę w przedstawicielstwie kampanii handlowej w Moskwie, gdzie mieszkał od 1960 do 1975 roku. By nie rozpoznano w nim byłego zastępcy ministra spraw zagranicznych Mandżukuo, zmienił imię i nazwisko na Sempo Sugiwara. W latach sześćdziesiątych Polacy zaczęli poszukiwać pewnego japońskiego dyplomaty, który w 1939 roku uratował kilkuset polskich żołnierzy. Poszukiwali go także i byli żydowscy uchodźcy, z których jeden został nawet ministrem w izraelskim rządzie. Ale Chiune Sugihary w Japonii nie było. Przypadkiem w 1968 roku Sugiharę odnalazł w Moskwie jeden z ocalonych przez niego Żydów, **Jehoshua Nishri**. Od tego czasu rozpoczyna się światowy rozgłos byłego konsula. W 1985 roku Sugiharze został przyznany tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata". Sugihara i członkowie jego rodziny otrzymali też stałe obywatelstwo Izraela.

Sugihara zmarł 31 lipca 1986 roku we własnym domu w Fujisawa. I jeśli w Izraelu do tego czasu jego działalność została nagłośniona, to w Japonii pozostawał praktycznie nieznany. Tylko podczas pogrzebu, na którym był obecny ambasador Izraela i wielu Żydów z różnych krajów świata, Japończycy dowiedzieli się o jego *podwigu*.

Dzisiaj Chiune Sugihara pozostaje jednym z najbardziej znanych na świecie Japończyków, jest też lokalnie czczonym świętym japońskiej Cerkwi.

o. Georgij Briukow
tłum. **Ałła Matreńczyk**

O. Georgij Briukow, absolwent leningradzkiej wyższej szkoły marynarki wojennej im. Frunze, od 1992 roku, duchowny Ruskiej Cerkwi Prawosławnej. Proboszcz jednej z parafii diecezji czernihowskiej. Zajmuje się historią prawosławia na kaliningradzkiej ziemi, wydarzeniami I wojny światowej na terenie Prus Wschodnich i działaniami rosyjskiej Bałtyckiej Floty na wodach południowego Bałtyku.

Proboszcz z Sokółki



Był rok 1961, decyzją Sejmu Święto Trzech Króli przestało być dniem wolnym od pracy.

– 14 stycznia wszyscy musicie być w szkole – surowo zapowiedział wychowawca uczniom podstawowej szkoły w Łoknicy. W klasie wszyscy byli prawosławni, od lat ani na Boże Narodzenie, ani na Nowy Rok, ani na *Kreszczenije* nikt się do szkoły nie wybierał.

O nowym zakazie 12-letni **Włodek Misiejuk** w domu nawet nie pisnął. Mieszkał w Podrzeczanach, od najmłodszych lat mama **Nadzieja** i tata **Jerzy** swoich chłopców do cerkwi w odległych o cztery kilometry Czyżach prowadzili, starszy brat **Grzegorz** (który za sprawą pomyłek w urzędowych papierach nosi nazwisko Misijuk), chrześniak czyżowskiego proboszcza **Wasilija Wasilijewa**, uczył się już w seminarium w Warszawie. – Ach, gdyby dziadek tego dożył, cieszyłby się tak bardzo – nieraz powtarzał tata. Włodek nie pamiętał dziadka, dziadek zmarł przedwcześnie, pobity przez wojennych rabusiów. Chłopak, nim poszedł do szkoły, już czytał po polsku i po rosyjsku. Wcześnie też nauczył się czytać po słowiańsku. Gdy zmarła babcia, w ciągu czterdziestu dni trzy razy przeczytał Psałterz.

Na Boże Narodzenie, na Nowy Rok i na *Kreszczenije* nabożeństwa odprawiano nocą. Zawsze na nie jeździł z rodzicami, zabierając po drodze starsze sąsiadki. Teraz miałby nie pójść? Nie.

Na odpowiedź dyrekcji nie trzeba było długo czekać. Już następnego dnia odbyła się rada pedagogiczna. Dwója ze sprawowania na następny okres, obniżka ocen ze wszystkich przedmiotów. Za rok, a więc już w siódmej klasie, na prawosławny Nowy Rok już nikt nie pojawił się w klasie. „W domu byłem" przyznawali uczniowie, a nauczyciel na to, ni to do klasy, ni to siebie: „Misiejuk to przynajmniej do cerkwi poszedł".

W domu nieraz mówiło się o furmanach z sąsiednich wiosek, którzy nie wrócili do domu. A wyruszyli na polecenie władz gminy w Orli po drewno do lasu, tam zostali otoczeni przez uzbrojony oddział. Był wśród tych furmanów sąsiad Misiejuków z Podrzeczan, dziś męczennik chełmski i podlaski. Był i stryjek Włodka, na szczęście odszedł na chwilę do lasu, a gdy zobaczył co się święci, uciekł, tracąc nie bez żalu konia, ale ocalając życie.

Mama bardzo chciała, by syn został lekarzem. Włodek póki co rozpoczyna naukę w liceum białoruskim w Hajnówce. Po dziesiątej klasie nauczyciel wytypował go do Ochotniczego Hufca Pracy, a to oznaczało cały miesiąc pracy w pegeerze.

– Mam u rodziców ochotniczy hufiec pracy – nie godził się chłopak. – Rodzice ciężko pracują, żebym mógł się uczyć.

– A państwo socjalistyczne ciebie nie uczy? – na to nauczyciel, grożąc

że w przypadku odmowy nie otrzyma świadectwa.

Wałodzia postanowił na to nie czekać. Od razu poszedł do sekretariatu, zabrał dokumenty.

– Coś ty narobił! – nie mógł zrozumieć wychowawca. – Gdzie pójdziesz? A może „tam"?

„Tam" znaczyło do seminarium, bo wiedza o tym, że brat Grzegorz był już duchownym, nie pozostała tajemnicą. O. Grzegorz służył najpierw w Ornecie, później w Tarnogrodzie.

– Jak jeden poszedł na *Nemetczynu*, to drugi już nie pójdzie do seminarium – był przekonany sąsiad z Podrzeczan.

– A właśnie że pójdę – Włodek nie krył już swoich planów. – *Durakom budiesz*.

A więc seminarium. W ciągu roku zaliczone dwie klasy. A potem i seminarium, i liceum dla pracujących, i studia na Akademii Teologicznej.

Włodzimierz był *ipodiakonem* metropolity **Stefana**, dobrotliwego, nieskorego do gniewu władyki.



Choć zdarzało się, że strofował seminarzystów, że odchodzą na państwowe posady. Odkąd była możliwość jednoczesnego ukończenia liceum dla pracujących, zdarzało się to dość często.

W seminarium wszyscy pamiętali jeszcze starszego o cztery lata brata Włodzimierza, teraz już o. Grzegorza. I porównywali. – Czasami przez to było łatwiej, czasami gorzej – mówi o. Włodzimierz.

Z praktyką na pewno łatwiej.

Na piątym roku studiów się ożenił. Matuszkę **Walentynę** wypatrzył w parafii Kośna, dokładniej w mieszczańskiej wsi Dasze (w parafii były nawet dwa cmentarze, jeden dla mieszkańców Dasz, drugi dla mieszkańców pozostałych wsi). Pobrali się po zaledwie kilkumiesięcznej znajomości.

Święcenia kapłańskie o. Włodzimierz przyjął z rąk władyki **Nikanora** 22 lutego 1970 roku – miał objąć parafię w Jurowlanach. Jeszcze tylko przez dziesięć dni odbywał praktykę w białostockim soborze pod okiem syna św. Maksyma Gorlickiego, także o. Maksyma Sandowicza. Ale tuż po intronizacji władyki **Bazylego** nastąpiła zmiana planów. Władyka Nikanor postanowił wyznaczyć młodego duchownego do Sokółki na wikariusza. – Chcecie, żebym i ja miał tutaj swoje Pasynki? – zaoponował sokólski proboszcz, bo w Pasynkach między zwolennikami proboszcza i młodego wikariusza rozgorzał duży konflikt (w ciągu dwóch lat zmieniło się 21 duchownych).

O. Włodzimierz został więc wikariuszem w Zabłudowie, proboszczem był wtedy o. **Borys Bogdanowicz**. Młody batiuszka uczył religii w Koźlikach, zajęcia odbywały się w domu Sokołowskich, krewnych pochodzącego z tej wsi marszałka ZSRR **Wasilija Sokołowskiego**, który po wojnie co najmniej raz swoje rodzinne strony odwiedził. Zastępował chorego o. **Aleksego Mularczyka** w Supraślu, jeździł też do Supraśla po jego pogrzebie (z Zabłudowa było wtedy chyba z 70 autobusowych połączeń).

Potem, krótko, przez dwa tygodnie, pełnił obowiązki proboszcza w Wojnowie, służył w wybudowanej przez o. **Aleksandra Awajewa**, *posłusznika* starców **Warsonofija** i **Nektariusza** z



Optyńskiego Monasteru i wyświęconej w 1927 roku przez metropolitę **Eulogiusza** cerkwi. Matuszka **Irena Makal** pomagała śpiewać.

– Nasze dzieci wyjechały już *za Oder*, bo tu jest niebezpiecznie – tłumaczył wspaniałą ruszczyzną jeden z parafian. – A byliście wczoraj w Mrągowie? Takich miast w Polsce nie ma.

Królowy Most, pierwsza samodzielna parafia z urokliwą cerkwią św. Anny. Erygowano ją w 1900

Obok o. Włodzimierz (z prawej) na zdjęciu z babcią Natalią, rodzicami Nadzieją i Jerzym oraz bratem Grzegorzem
Obok u dołu z matuszką Walentyną, rok 1970, Tarnogród, podczas święta apostołów Piotra i Pawła

Metropolita Stefan z wizytacją na św. Jerzego w Czyżach, z lewej o. Włodzimierz (wówczas ipodiakon), z prawej o. Mikołaj Ostapczuk
W czasie pielgrzymki na Grabarkę, przejście przez Narew, 15 sierpnia 1989 roku

roku, cztery lata później rozpoczęto budowę plebanii, domu dla psalmisty i budynku parafialnej szkoły, w końcu w 1913 – obecnej cerkwi św. Anny. Nim ówczesny proboszcz **Owczarewicz** wyjechał w bieżeństwo, zdołał ją prowizorycznie przykryć. Już do Królowego Mostu nie wrócił, a cerkiew wraz z pozostałymi budynkami w niejasnych okolicznościach przeszła w posiadanie właściciela majątku **Józefa Młodeckiego**. Parafianie nieraz opowiadali o. Włodzimierzowi, jak Młodecki urządził w cerkwi stajnię, jak raz czy dwa nocą ktoś otwierał jej drzwi, gwizdał, płosząc konie, których potem właściciel długo musiał szukać po całej okolicy, jak długo musieli zabiegać o zwrot całej posesji, jak w końcu w 1928 roku odzyskali cerkiew (budynek szkoły przeszedł w użytkowanie parafii katolickiej w Dojlidach), jak w 1936 roku uzyskali prawo do otwarcia etatowej filii parafii w Gródku, jak batiuszka nocował po kolei u parafian, bo wciąż byli bez plebanii, jak nie mogli przyjąć w cerkwi biskupa **Sawy Sowietowa**, a żeby spotkać się z władyką biegli do Majówki, do domu **Mikołaja Kawelina**, prawnuka słynnego admirała **Iwana Krusensterna**, który dowodził pierwszą rosyjską wyprawą morską dookoła świata, wnuka **Aleksandra Krusensterna**, budowniczego i pierwszego właściciela pałacu w Dojlidach, nazywanego teraz od nazwiska ostatniego posiadacza pałacem Lubomirskich.





Sowieci nie unormowali sytuacji. Na plebanii urządzili *sielsowiet*, a w nocy na Paschę zorganizowali spotkanie produkcyjne. Wkrótce parafia odzyskała samodzielność, a za Niemca plebania wróciła do prawosławnych.

To w tej plebanii zamieszkał o. Włodzimierz z matuszką, którym wkrótce urodziło się dwóch synów – **Bogdan** i **Andrzej**.

Misiejukowie bardzo polubili Królowy Most, zżyli się z jego parafianami. Nawet jak przejechali do Sokółki, przez kilka dobrych lat mówili: „A u nas w Królowym Moście...”.

– Czułem się tam nawet bardziej potrzebny – przyznaje o. Włodzimierz. A to jako radca prawny czy choćby tłumacz. Tak, tłumacz. Bo gdy przed nauczycielami stanął wymóg ukończenia studiów wyższych, poloniści nieraz przychodzili z prośbą o pomoc w przetłumaczeniu starocerkiewnych tekstów.

Ludzie byli bardzo zżyci. I bardziej wrażliwi na sąsiedzki los.

Kiedyś, gdy matuszka była w szpitalu, batiuszkę odwiedził brat. Razem postanowili grochówkę ugotować, zapomnieli jednak wcześniej namoczyć groch. Batiuszka poszedł udzielać ślubu, na plebanię przyszły ograć się dziewczęta. – Oj, batiuszka będzie głodny, szybko się zorientowały, bo zupa nie dość, że z nienamoczonego grochu, to jeszcze się przypaliła. I młodzi szybko batiuszkę z bratem na wesele zaprosili. Odtąd batiuszkę i matuszkę zawsze zapraszali na wesela, nawet niańkę dla dzieci organizowali.

Gdy młodsi, porywając matuszkę, szli na tańce, starszyzna obsiadywała o. Włodzimierza. „A kim są luteranie, a kim staroobrzędowcy” – w swobodnej atmosferze padały pytania, bo głód wiedzy był duży, a z literaturą, czasopismami, nie mówiąc już o programach radiowych czy telewizyjnych było krucho.

W dużej plebanii w Królowym Moście także biskup Nikanor miał swoją rezydencję, na drzwiach przypiął swoją wizytówkę. Zajmował dwa pokoje, tak na wszelki wypadek, żeby nie ziściły się plany zajęcia części plebanii przez pocztę. I wiosną, i latem przyjeżdżał w poniedziałek, wracał do Białegostoku w sobotę. Był bardzo skrupulatny, dawał praktyczne rady. I lubił dużo opowiadać, najbardziej o parafii w Jacznie.

Religii batiuszka uczył i w Królowym Moście, i w Borkach, i w Załukach, wszędzie było sporo dzieci. Korzystał z przedwojennych podręczników. Kiedyś w latach seminaryjnych obecny metropolita **Sawa** poprosił seminarzystów o uporządkowanie po pożarze metropolitalnej piwnicy, pełnej kompletów książek do religii po polsku, białorusku, rosyjsku i ukraińsku. O. Włodzimierz razem z kolegami pakował je po sto sztuk, podpisywał, teraz wiedział, gdzie ich szukać.

– A gdzieś ty tyle dzieci znalazł? – nie mógł nadziwić się biskup Sawa, gdy odwiedził parafię na trzeci dzień *Trojcy*. A o. Włodzimierz poprosił o zwolnienie z zajęć prawosławnych

uczniów z Załuk, wtedy ponad stu się ich w szkole uczyło. Dyrektor się zgodził, bo koniec roku był tuż tuż, a cerkiew zapełniła się młodymi ludźmi.

Przy okazji tych lekcji religii, które odbywały się w domach parafialnych, zdarzało się, że i spowiadał starszych, którym bardzo trudno byłoby do cerkwi dotrzeć.

To tu, w Królowym Moście, matuszka Walentyna pod czujnym okiem o. **Aleksandra Klimuka**, ówczesnego psalmisty, uczy się cerkiewnego śpiewu, wkrótce sama już kieruje chórem.

Potem o. Włodzimierz krótko był wikariuszem parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku na Wygodzie. W końcu proboszczem w Sokółce.

Zastał okazałą cerkiew w centrum miasta, gorzej z plebanią.

Nowy wygodny dom parafialny był co prawda pod dachem, ale przez rok musieli jeszcze mieszkać w starej drewnianej plebanii praktycznie bez wygód. A i wygódka, stojąca pod oknami bloków, w samym centrum prężnie rozwijającego się miasta, stanowiła wątpliwą ozdobę. Parafii nie wystarczyło środków, żeby pokryć dach, brakującą kwotę pożyczył starosta. Dług trzeba było oddać. Skąd wziąć środki? A że wtedy do Polski szerokim strumieniem płynęły dary, zaczęli masło i sery przekazywać parafianom za drobne ofiary, a pozyskane fundusze kierować na budowę. I tak w ciągu roku udało się nie tylko zwrócić pożyczkę, ale i przeprowadzić prace wykończeniowe.

Aż tu pewnego dnia na posesji parafii zjawili się stróże prawa. Wysoki funkcjonariusz milicji „aresztował" ser i masło, także dwie parafianki, które przyszły po zakupy. Kobiety pod wieczór wypuszczono, ser przez trzy dni pozostał w areszcie. Co robić? Batiuszka wybrał się do władyki Sawy.

– Nasz człowiek narobił u księdza trochę zamieszania, nie powinien się wtrącać w sprawy parafii – już następnego dnia o. Włodzimierz otrzymał z komendy wojewódzkiej wyjaśnienie.

W 1988 roku, po majowej pielgrzymce na Grabarkę, Sokółkę odwiedził obecny patriarcha, a ówczesny metropolita smoleński **Kirył**.



– Batiuszka, ile macie chrztów? – zapytał. – Ponad trzydzieści. – Tygodniowo? – dopytywał. – Nie, rocznie. – To z czego żyjecie? – nie mógł zrozumieć.

A gospodarz zaczął tłumaczyć, że ma jeszcze śluby i pogrzeby, są jeszcze inne *treby*, że dochodzi wynagrodzenie za przeprowadzane wtedy jeszcze na plebanii lekcje religii. Te lekcje religii bardzo zainteresowały gościa, już we wrześniu metropolita Kirył przysłał do Sokółki dwóch duchownych, o. **Michaiła Gorowoja**, proboszcza parafii katedralnej w Smoleńsku, i dziekana z odległego o trzysta kilometrów od Smoleńska miasta Rosławl. Obaj chcieli przyjrzeć się lekcjom, obejrzeć podręczniki. O. Włodzimierz zorganizował im spotkanie i z dziećmi, i z rodzicami, przekazał komplety przedwojennych książek. Dziękowali i bardzo się dziwili na widok salutującego batiuszce pogranicznika. – Nie, w to nam nikt nie uwierzy – nie kryli.

Ziarno zostało rzucone. Po latach, podczas pielgrzymki, o. Włodzimierz spotkał swego gościa w smoleńskim soborze. O. Michaił Gorowoj pokazał rosyjskie podręczniki do religii, opowiedział o dwóch prawosławnych gimnazjach, w Smoleńsku i Rosławlu.

A na parafii jak to na parafii, remonty goniły remonty, tym bardziej że o. Włodzimierz miał pod swoją opieką nie tylko cerkiew, także kaplicę cmentarną.

Zaczęto od cerkwi, dzięki zastosowaniu szkła wodnego i żywicy silikonowej osuszono jej mury – ze świątyni zniknął zapach stęchlizny, a ściany przestały płakać.

A batiuszka nie przestawał myśleć o rekonstrukcji dzwonnicy. Tak, dzwonnicy. Oto bowiem, gdzieś tak około 1985 roku, na plebanię przyszedł syn byłego proboszcza, o. **Sergiusza Pietraszkiewicza**, **Leonid Pietraszkiewicz**. Przyniósł trochę dokumentów po zmarłym ojcu, wśród nich przedwojenne zdjęcie miejscowej cerkwi. – To cerkiew miała dzwonnicę? – zdziwił się o. Włodzimierz. – Batiuszka, toż to Wasilków – mylili się też młodsi sokólscy parafianie, bo obie dzwonnice powstały, nie ulega wątpliwości, według tego samego projektu.

Powoli zaczął kiełkować plan jej odbudowy. Gdy w końcu, za burmistrza **Stanisława Małachwieja**, zostaje zrealizowany, cerkiew z dzwonnicą dwukrotnie, w 2009 i 2010 roku, zostaje uhonorowana tytułem „Perła w koronie województwa podlaskiego". Nic dziwnego, piękna bryła z ciekawymi ornamentami, o zielonym dachu i kopule, pokrytej złoconą blachą w charakterystyczne karo, nie przestaje zachwycać.

– Ten sposób pokrycia po raz pierwszy zobaczyłem w Optinoj Pustyni – wyjaśnia proboszcz. Podczas prac dekarzy batiuszka umyślnie rozrzucał kawałki blachy. Dobrze pamiętał, że gdy budowano miejscowy szpital, w nocy zniknęła położona w dzień glazura, nie chciał, żeby ta historia się powtórzyła.

– To złoto pewnie pociemnieje – uspokajali się przechodnie przed słupem ogłoszeń. – Pamiętasz, u nas na kościele blacha też błyszczała, ale do jesieni zmatowiała.

Pamiątkowe zdjęcie po jubileuszowych uroczystościach, niżej o. Włodzimierz z matuszką Walentyną, u dołu sokólska cerkiew, zdjęcie z 2013 roku po wyświęceniu dzwonnicy



Były i remonty wewnątrz cerkwi – podczas nich historia parafii potrafiła odsłonić swoje tajemnice i remonty parafialnych kaplic. Tę na sokólskim cmentarzu ufundowały dzieci ostatniej *prosforni* sokólskiej parafii, matuszki **Pawły Koncewicz**. Sfinansowały budowę kaplicy nad jej grobem pod warunkiem, że same tam także spoczną, zapisując to i w akcie notarialnym, i w konsystorium w Grodnie, i w kronice parafialnej. Dzieci zmarły w Petersburgu, miejsce pozostaje puste, cmentarna kaplica służy sokólszczanom do dziś.

– Nie ma lepszego upamiętnienia pamięci – mówi o. Włodzimierz.

Już w latach 80. batiuszka wyjeżdża na wschód, najczęściej po literaturę albo utensylia cerkiewne. – A ileż ten kielich wina zmieści – dziwili się celnicy, gdy przewoził chrzcielnicę, innym razem wrócił z 24 tomami *Miniei*.

Kiedyś wyprawił się do Grodna razem z matuszką na zaproszenie siostry swojej parafianki.

Nie wziął *obłaczenija*, wiedział, że bez biskupa nikt mu raczej służyć nie pozwoli. Była jesień, zbliżał się dzień świętego Arcystratega Michała. Batiuszka z soboru w Grodnie na wieść, że ma przed sobą nieznanego duchownego z Polski potraktował go z dużym dystansem, pewnie obawiał się, czy nie jest to jakiś agent KGB. Przed Liturgią niedzielną poprosił go, by wyjął cząsteczki, a było tego całe wiadra, podczas *wsienoszczni* przed świętem Arcystratega Michała znienacka poprosił o *wozgłas*. I dopiero wtedy z ulgą odetchnął, a w ołtarzu uściskał: – *Otiec Władimir, zawtra prichoditie, budiem służyt Liturgiju*. Po nabożeństwie, gdy cerkiew opustoszała, zapytał, czy nie chce pokłonić się relikwiom *swiatago mładienca Gawriiła*. – *Światago mładienca Gawriiła?* – batiuszka Włodzimierz nie krył zdumienia. Mówiło się przecież, że relikwie gdzieś się zawieruszyły. A one były tutaj, przed ikoną św. Gabriela w soborze w Grodnie.

Czy mógł wtedy pomyśleć, że cztery lata później relikwie powrócą do Polski, a on będzie współgospodarzem tych uroczystości?

Ale najpierw wyruszy ze swoimi parafianami w pielgrzymkę na Grabarkę, początkowo dołączając do pielgrzymki z Białegostoku, później organizując już własne. Z Sokółki wychodziło około stu pielgrzymów, na Grabarkę dochodziło nawet trzystu. W Sokółce dołączała do nich grupa pielgrzymów z Mińska – kontakty rozpoczęły się od przyjęcia dzieci z Czarnobyla – najczęściej tak od 10 do 15 osób.

Raz, gdy szli przez Ancuty, chłopcy tak rozkołysali kładkę, że zamiast z nimi się droczyć, razem z innymi pielgrzymami postanowił przejść rzekę brodem, woda okazała się balsamem na jego bardzo obolałe nogi, bo już dzień wcześniej był bliski wycofania się z pielgrzymki.

Innym razem, po trudnej rozmowie, jedna z uczestniczek pielgrzymek z Białorusi, daleka jeszcze od Cerkwi, tuż przed wyjazdem, już na peronie w Sokółce, przepraszała za swoje pełne gniewu spojrzenie wywołane uwagą o konieczności zachowania postu.

Kiedyś, ostatniego dnia, mieli do pokonania aż 27 km. *Angieli nas budut niesti, no i projdiom czerez predwierje ada* – zapowiedział pielgrzymom.

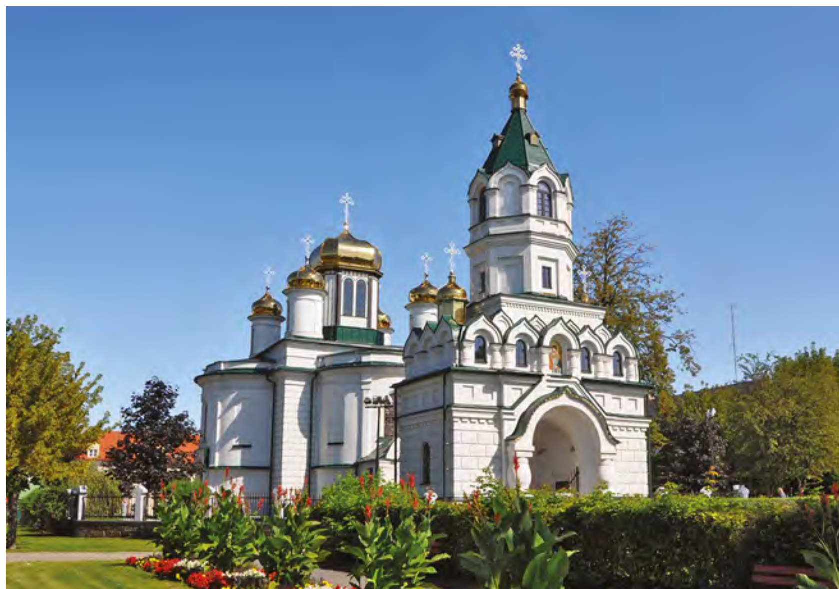
„Batiuszka, i tak było”, mówili potem pielgrzymi, bo szło się im dość łatwo, a pod koniec musieli przebić się przez alejki ze straganami z gorącymi kiełbaskami, piwem, z rozbrzmiewającą hałaśliwą muzyką.

Pielgrzymki dostarczały wielu duchowych przeżyć, pozwalały doświadczyć też serdecznej gościnności.

Tak więc, gdy podczas przeniesienia *moszczi* św. Gabriela trzeba było nie tylko godnie je przyjąć w sokólskiej cerkwi, ale także przenocować około tysiąca pięciuset przybyłych z Grodna pielgrzymów, te doświadczenia okazały się jak znalazł.

Udało się też cmentarz prawosławny poszerzyć, włączając część protestancką. Pastor z Białegostoku nie czynił żadnych przeszkód. To na jego ręce o. Włodzimierz Misiejuk przekazał wydrukowaną pięknym gotykiem Biblię po niemiecku, która pozostała w sokólskiej cerkwi po pierwszej wojnie. Wtedy w prawosławnej świątyni na początku stacjonowali, potem się modlili niemieccy żołnierze.

Teraz cmentarz prawosławny graniczy z cmentarzem żołnierzy radziec-



O. Michał Hryh, obok cerkiew w Jabloncu

kich, na którym spoczywa tysiąc pięciuset sołdatów, wśród nich 23-letni brat o. **Antoniego Dziewiatowskiego**, budowniczego cerkwi w Hajnówce. Mogił nie przestaje przybywać, w ubiegłym roku pochowano szczątki pięciu kolejnych żołnierzy.

Około dwustu grobów jest imiennych. Wszystkie imiona są wymieniane podczas panichidy, wszystkie groby święcone, zarówno na *Prowody*, jak i na *Usieknowienije*.

– Starosta mi opowiadał, jak podczas wojny przyszedł do niego sowiecki politruk. – *Słuszaj Iosif* – mówił – *wot posmotri, zdieś mnie babuszka daże krestik wszyła, znajesz, on mnie pomagajet, ja stolko proszoł, biez odnoj carapiny* – wspomina o. Włodzimierz.

Za modlitewną opiekę nad grobami batiuszka został odznaczony państwowym odznaczeniem.

Batiuszka wiele lat temu przejął po pochłoniętym budową cerkwi bracie, o. Grzegorzu Misijuku, głoszenie kazań najpierw dla V programu radia, potem radia Białystok.

I bardzo się cieszy, że jego cerkiew trafiła do albumu wszystkich cerkwi św. Aleksandra Newskiego na całym świecie. Oprócz sokólskiej świątyni, w albumie, wydanym przez Aleksandronewską Ławrę, znalazła się łódzka katedra oraz kapliczka w skansenie w Białowieży.

O. Włodzimierz obchodził w tym roku dwa duże jubileusze, pięćdziesięciolecia małżeństwa i pięćdziesięciolecia święceń kapłańskich.

Podczas parafialnego święta batiuszka dziękował Bogu za to, że obdarzył go pięćdziesięcioma latami pracy w Jego winnicy. Dziękował też ludziom, którzy go wspomagali, a wszystkich, których spotkał na swojej drodze, zapewniał o szczerej za nich modlitwie. Dziękował też i dziękuje swojej *domaszniej cerkwi*, w pierwszym rzędzie matuszce Walentynie. Nawet we wzruszającym prywatnym wierszu.

Ałła Matreńczyk
fot. **archiwum rodzinne**
Adam Matyszczyk
Anna Radziukiewicz

Co tu zrobimy jest zapisane u Boga

Jedziemy do Jablonca nad Nysą. – Przez Worek Turoszowski? – pyta ojciec **Marek Bonifatiuk**, proboszcz parafii prawosławnej w Zgorzelcu. Worek Turoszowski leży w powiecie zgorzeleckim.



– Tak – odpowiadam. Krajobraz niegdyś piękny, rozciągnięty wzdłuż Nysy Łużyckiej – falisty, z płatami lasów, teraz przeorany przez człowieka na niebie i ziemi. Nie ma gdzie oczu utkwić, by nie potknąć się o „śmieci" cywilizacji. Niebo „przekreślają" wzdłuż, w poprzek, na ukos smugi spalin, zostawionych przez samoloty. Dlaczego tak gęsto? – W pobliżu są duże lotniska – we Wrocławiu, Pradze, Dreznie, Wiedniu, Berlinie – wyjaśnia o. Marek.

Powietrze mielą, wystawione wysoko na wzgórzach, stada wiatraków. Swą obłą, stalową wyniosłością przytłaczają wszystko co różnorodne, żywe i piękne. W nocy migają czerwonym, pulsującym światłem. Niepokoją. Drogę przecinają nad samochodami dziwne kładki. To taśmociągi. Sunie nimi dwanaście milionów ton rocznie brunatnego węgla z kopalni do elektrowni, tam, gdzie ogromne kominy, przypominające kadzie, wypuszczają ze swoich brzuchów srebrzystoszare kłęby. W cieniu kominów, na kilku chyba hektarach, rozlokowało się w jednym szklanym bloku kolejne cywilizacyjne monstrum – fabryka pomidorów. W nocy jarzy się szklana fabryka na dziesięć na pewno kilometrów. Wybija okoliczne wsie i miasteczka ze snu. W takim zanieczyszczeniu osadzona? Pod kominami? Bo tańszy dostęp do ciepła. Ludzie zjedzą pomidory, pięknie wystawione w supermarketach. I jeszcze zraniony kawał ziemi, z ogromnym wyrobiskiem, sięgającym w głąb ze trzysta metrów. Stąd wyjęto węgiel i leja

niczym nie zaplombowano. Można wodą. Ale Nysa Łużycka musiałaby go napełniać sto lat.

Polska Grupa Energetyczna chce rozbudować elektrownię i powiększać kopalnię. Teren już kupiła. Czesi protestują, tam właśnie, gdzie wiezie mnie ojciec Marek – we Frýdlandzie, Hradku, Jabloncu, czyli w kraju libereckim. Kraj, inaczej województwo, przez ogromny pobór wody przez kopalnię i elektrownię, zatrudniające pięć i pół tysiąca osób, traci źródła pitnej wody. Polska strona zaprzecza



czeskim ekspertyzom i niepokojom, choć w ubiegłym roku w Bogatyni, sercu turoszowskiego worka, wyczerpały się dwa ujęcia pitnej wody.

Człowiek nie jest już gospodarzem tego, co mu Bóg ofiarował w swojej miłości – myślę. Jest bezwzględnym eksploatatorem. Będzie dłubać w tej ziemi do 2044 roku, aż wydłubie wszystko.

Ale my jedziemy do Jablonca, z którego sto kilometrów do Pragi, dobrą drogą. Tam spotkamy się z batiuszką **Michałem Hryhą** i jego matuszką **Anną**, przyjaciółmi ojca Marka. – To *molitwiennik* i *postnik* – krótko kreśli portret o. Michała proboszcz ze Zgorzelca.

– Materialny cel – samochód, dom, wykształcenie? Cóż wart! – mówi ojciec Michał, kiedy nasza rozmowa zeszła na tor rozważań. Samochód rdza przeżre. Zbudujesz dom. Powódź go może zniszczyć.

Ma na myśli te domy w Bogatyni? – myślę. Kiedy niewinna Miedzianka, strumyk bardziej niż rzeka, wezbrała w 2010 do prawie sześciu metrów i wylała na Bogatynię, tysiąc mieszkańców zostawiając bez dachu nad głową. Rwała i topiła. Szkody? Na 225 milionów złotych zostawiła. Telewizja, jak sensacyjny spektakl w odcinkach, tamto nieszczęście jednej z najbogatszych gmin w Polsce pokazywała.

– Tam bogactwo Bóg nam przygotował. Tam, nie tu – ciągnie o. Michał, wskazując na niebo. – Ile czasu poświęcamy, żeby zdobyć tamto bogactwo? Powiem jeszcze: wróg zajmuje nas wszystkim, by odciągnąć od Boga.

Ojciec Michał zaczynał swoją posługę jako duchowny w monasterze na zakarpackiej Ukrainie, w irszawskim rejonie, we wsi Busznice – urodził się w pobliżu tego monasteru. Śmieli się ludzie z niego i matuszki Susanny. Bo za co ręce założą? Ani kopiejki nie mają. A trzeba dom dla sióstr pobudować. Ale zaczęli. Nikt nie chciał pracować na budowie za darmo. Więc płacili.

– To *Matier Boża* upodobała sobie to miejsce i nam pomagała – dziś komentuje o. Michał.

W ciągu dwóch lat wybudowali piętrowy korpus, dziesięć na trzydzieści metrów. I tu w Jabloncu się śmieli: – O jeszcze *fary* (po czesku plebania) chce! Minął rok i jest *fara*. Pośrednik sprzedawał dom, niedaleko cerkwi. Nie było pieniędzy. Trzeba było wziąć pożyczkę.

Ale przychodzi parafianin i mówi: „Sprzedałem mieszkanie i pożyczę wam pieniądze”. Minął rok, a on: „Nie zwracajcie mi”.

– To co tu zrobimy, jest zapisane u Boga na górze – mówi ojciec Michał. – A jak dobrze będzie, odejdziemy z tej ziemi, a tam na górze „kapitał”! Ludzie budowali kiedyś świątynie i nie mieli świadomości, że modlitwa za budowniczych będzie trwała wiekami, podczas każdej Liturgii.

Przyjechał tu na zaproszenie metropolity Ziem Czeskich i Słowackich **Krzysztofa**, który chciał, żeby w Jabłoncu zorganizować prawosławną parafię.

Opowiada o swoich ofiarnych parafianach. Jedna kobieta ufundowała *prestoł*, inni ludzie wszystkie dzwony. Ikony w cerkwi to też ofiary.

– Przyjemnie jest modlić się w cerkwi, w której Bóg przyjął wasze ofiary – zwraca się do wiernych batiuszka. – Pamiętacie tę historię z Atosu, jak dzwon oberwał się z dzwonnicy i stoczył się rozbity do morza? – pyta. – Matka Boża nie przyjęła tamtej ofiary, bo była kupiona za „nieczyste” pieniądze.

Kiedy o. Michał tu przyjechał piętnaście lat temu, jego ojciec duchowy powiedział: – Co tylko możesz, rób. Nie czekaj. Nie oceniaj – wyjdzie, nie wyjdzie.

Jesteśmy w cerkwi, dawnym kościele, położonym na peryferiach 50-tysięcznego miasta. Stoi na skarpie, bo teren tu już mocno pofałdowany. Pierwsza kaplica, prywatna, na tym miejscu powstała w 1735 roku. Obok stał rozległy, bogaty dom – stoi do dziś. Jego gospodarz szedł kładką – tunelem, wyprowadzonym z piętra domu do kaplicy na codzienną modlitwę. Kilka razy w roku zapraszał księdza, by ten odsłużył w kaplicy mszę. Nie ma już tej rodziny, która dom i kościół budowała. Byli Niemcami. Po drugiej wojnie Jablonec stał się miastem, zamieszkałym przez Czechów.

Kaplicę rozbudowano potem tak, że stała się niewielkim kościołem. Kiedy przyjechał tu o. Michał, świątynia zdawała się już być nikomu niepotrzebna. Prawosławni wzięli ją od Kościoła katolickiego w arendę. W 2013 roku katolicy kościół sprzedali prawosławnej parafii. Jego ściany były popękane tak, że mogły złożyć się jak domek z kart.

Remontowali świątynię dwa lata, od dachu po fundamenty. Pomagał arcybiskup Pragi i ziem czeskich **Michał**. Parafianie też nieśli swoje ofiary. Widzieli, jak batiuszka trudzi

się tu od rana do nocy, więc i oni się włączali. Wymieniono okna, drzwi, posadzki, kupiono dzwony, których tu nie było od drugiej wojny – wszystko robiono pod okiem konserwatora, który pozwolił wstawić ikonostas, rzeźbiony w drewnie, wykonany na Ukrainie. Boczne ściany z przodu u góry połączono grubym metalowym prętem, by się nie rozchodziły. Z tyłu tę rolę pełni balkon dla chóru.

Batiuszka na naszą wizytę zapalił świece na wszystkich podświecznikach. Było czysto, przytulnie i uroczyście, jak u dobrego gospodarza, który dom chce pokazać gościom.

Na bocznej ścianie duża ikona Bogarodzicy. Przed nią, każdej środy, jak u nas w Supraślu, służą akatyst do Matki Bożej.

Na chórze widzę rzeźbę św. Jana Nepomucena. Był czczony w tej świątyni. I teraz raz w roku gromadzą się w cerkwi katolicy, by go czcić.

Parafianie to głównie Ukraińcy z Zakarpacia, którzy przyjechali tu w poszukiwaniu pracy. Wielu z nich osiedla się na stałe. Spośród Ukraińców to ci z Zakarpacia i Bukowiny najbliżej trzymają się Cerkwi. Bywają związki mieszane – Ukrainki z Czechem. Czech zwykle ateista. Ale jego prawosławna żona powoli wszystko ustawia na swoim miejscu – chrzci w cerkwi dzieci, chodzi z nimi do cerkwi, pomaga sprzątać w świątyni. I oto jej mąż pojawia się z nią, by pomóc przy sprzątaniu przed wielkimi świętami. Czasem przyjdzie z rodziną na Liturgię. „Nie spiesz się. Powoli ucz męża cerkiewnego życia. Bo jak przyjmie za dużą dawkę twojej nauki, jutro może wszystko odrzucić. Po trochu. Nic na siłę", pouczy ją batiuszka. Mija czas, a mąż ateista prosi o chrzest w cerkwi.

– Dusza ochrzczonego inaczej czuje Boga – mówi batiuszka. – A jeszcze jak człowiek się wyspowiada, przyjmie Święte Dary, to jest jak w niebie.

Batiuszka najbardziej boi się o młodzież. W szkołach młodzi prawosławni stykają się ze zateizowanymi rówieśnikami, którzy wstydzą się przynależności do Kościoła. W tym wieku rówieśnik jest największym autorytetem. Dlatego batiuszka myśli o kolejnym kroku, chyba pierwszym takim w Czechach – o założeniu prawosławnej szkoły. O inicjatywie mówi katolikom. A oni: – Niech ksiądz zakłada! My też chętnie poślemy swoje dzieci do takiej szkoły.

W Czechach, jak i w wielu krajach, rośnie problem – coraz więcej ludzi, nawet dzieci i młodzieży, chodzi do psychoanalityków i psychiatrów. Nie radzą sobie ze stresem. Batiuszka mówi zestresowanym: – Kup Biblię. Otwórz ją i czytaj. Ona ci pomoże. Bóg będzie wam najlepszym psychologiem.

Batiuszka idzie w gości i niesie w prezencie Biblię albo ikonę. I zauważa: – W obliczu nieszczęść i spraw ostatecznych wszyscy stajemy się podobni, łakniemy kontaktu z Bogiem. I opowiada: – Znajomy Czech naśmiewał się ze mnie: „O, pop idzie" – wołał i machał ręką, parodiując znak krzyża. Potem ciężko zachorował. Dzwoni do mnie jego syn i prosi, bym odwiedził ojca w szpitalu. Przychodzę, a on pokornie: „Błagosławicie ojcze Michale!".

– Ojcze, co tam będzie? – pyta.

– Tego „co tam będzie", wszyscy się boją, także ci, co nie chodzili do cerkwi czy kościoła, nie wierzyli w Boga – mówi batiuszka. – Bo człowiek nie może żyć bez celu. A tym prawdziwym i ostatecznym celem jest nasze zbawienie.

Może kiedyś przyjdą do duchownego i poproszą o rozmowę ci, co obok cerkwi drewno piłują w czasie Liturgii, nie przerywając nawet na czytanie, obwieszczone dzwonami, Ewangelii? I ci co koszą z rana w niedzielę swoje trawniki? Bo Czech, z obserwacji batiuszki, przywykł odpoczywać w sobotę, a w niedzielę chętnie pracuje. I ci, co na Paschę regularnie wzywają policję, bo w paschalną noc przeszkadzają im dzwony i śpiewy.

Może najpierw przyjdą na święto Objawienia Pańskiego, kiedy parafianie idą 19 stycznia nad rzekę, by wszyscy, od małego po starego, trzy razy zanurzyć się w oświęconej wodzie. Mróz, wiatr, słota im nie przeszkadza. Przebiorą się potem w ciepłym, ustawionym specjalnie dla nich namiocie, wypiją gorącą herbatę albo kawę i poczują radość bycia z Bogiem i ludźmi.

Nikt się nie rozchorował po takim zanurzeniu się. A batiuszka, och, jak cierpiał z powodu bólów w krzyżu. Nie pomagała rehabilitacja, masaże, zastrzyki, leki przeciwbólowe. Ledwie chodził. I zanurzył się na *Kreszczenije*. Ból ustał zupełnie i nie wrócił.

Jeden Czech, który każdej zimy kilka razy chorował, brał antybiotyki, od dwóch lat nie choruje. Od dwóch lat przychodzi, by zanurzyć się w rzece w święto Jordanu.

Batiuszka w ubiegłym roku ochrzcił 31 dzieci – to był rekord. W latach poprzednich chrzcił po około dwadzieściorga. I nie miał ani jednego pogrzebu. Jego rodacy umierają, ale rodziny kremują ciała i w puszkach wiozą je na Ukrainę. Kremacja boli duchownego. Ale zwycięża ekonomia. W Czechach cmentarze są prywatne. Właścicielowi cmentarza drogo się płaci za miejsce na mogiłę, ale i co dziesięć lat uiszcza się opłatę do przodu za to, że nieboszczyk tam spoczywa. Inaczej właściciel cmentarza może ciało wykopać.

Najbliższe od Jablonca prawosławne parafie znajdują się w miejscowościach Frýdland, Mlada Boleslav, Igorec, Żelezny Brod, Straż Podralskie i Rumbork – to wszystkie parafie w liberackim kraju.

Większość parafii w Czechach znalazła swoje miejsce w dawnych kościołach lub kirchach, jak na zachodzie Polski.

– Dobrze, że tych świątyń nie zburzono – cieszy się batiuszka. – A przecież u nas, na Zakarpaciu, było tak, że komuniści chcieli zburzyć cerkiew, monasterski dom, ale Bóg posyłał jakiegoś komunistę, który nosił głęboko zaszytą w kieszeni ikonkę albo krzyżyk i ten proponował: „Zróbmy lepiej skład ziarna, bazę naprawczą dla traktorów, skład węgla". I robili.

– A teraz wszystkie te cerkwie i domy wróciły do Cerkwi – mówi matuszka.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Świątynia dla studentów

Od listopada cerkiew św. Marii Magdaleny w Białymstoku będzie świątynią akademicką. W soboty, niedziele i wielkie święta cerkiewne będą tam sprawowane nabożeństwa dla środowiska akademickiego – studentów, wykładowców, pracowników administracyjnych. To zaproszenie dla wszystkich, którzy to środowisko w Białymstoku tworzą.

Świątynia na wzgórzu Marii Magdaleny jest filią parafii katedralnej św. Mikołaja. Od 1995 roku była współużytkowana przez parafię wojskową św. św. Piotra i Pawła. Ta parafia przenosi się właśnie do swojej siedziby, w zaadaptowanym budynku przy ul. Warszawskiej 16.

Prawie od roku kustoszem cerkwi św. Marii Magdaleny i jednocześnie opiekunem bractwa studenckiego w Białymstoku jest o. **Włodzimierz Misijuk**. Wraz z nim opiekę duszpasterską nad studentami sprawuje o. **Piotr Borowik**.

Początki bractwa sięgają bez mała dwudziestu lat wstecz, kiedy z błogosławieństwa arcybiskupa **Jakuba** opiekę nad studentami objął o. **Marek Wawreniuk**. Co tydzień, we środy, studenci spotykali się najpierw na modlitwie w cerkwi św. Serafina z Sarowa (dolnej cerkwi soboru św. Mikołaja), potem w Centrum Kultury Prawosławnej. Pytania, dyskusje, swobodne rozmowy, wspólne akcje. To wszystko przyciągało i nadal przyciąga do bractwa studenckiego.

– Bractwo właściwie przywróciło mnie do Cerkwi po oddaleniu się od niej w czasie nauki w szkole średniej – mówi były uczestnik **Daniel Szczurko**, który dziś jest przewodniczącym Bractwa św. Spirydona z Tremituntu, radnym gminy Nowy Dwór, aktywnym tamtejszym parafianinem. – Na nowo odnalazłem w niej swoje miejsce. Zyskałem nowe wartościowe znajomości, nabrałem pewności siebie i chęci do działania.

Wspólna modlitwa, *gowienija*, spotkania z ciekawymi osobami, kontakty z prawosławnymi studentami z innych miast – to czeka na bratczyków.

Nadal miejscem cotygodniowych spotkań będzie Centrum Kultury Prawosławnej (ul. św. Mikołaja 5). Duszpasterze zapraszają nowych studentów i dotąd niezdecydowanych. Zawsze w środy, zawsze o 18.00, zawsze modlitwa na początek.

Natalia Klimuk

Rozważania z Prologu Ochrydzkiego

Ukazała się książka **św. Nikołaja (Velimirovicia)** „Rozważania z prologu Ochrydzkiego”, nakladem parafii św. Jana Klimaka w Warszawie na Woli.

„Św. Mikołaj Serbski (Nikolaj Velimirovic) to Jan Złotousty naszych czasów” – tak się o nim wyraził współcześnie mu żyjący św. Jan Maksymowicz, biskup San Francisco. Słowa św. Mikołaja na każdej stronie książki urzekają prostotą, a zarazem dotykają fundamentalnych problemów człowieka, które pojawiają się w naszym życiu od zarania wieków. Autor systematycznie w kalendarium dzień po dniu z ojcowską troską wprowadza nas w świat cnót i nieprzemijających wartości chrześcijańskich, konfrontując je z naszymi ziemskimi przyzwyczajeniami i stereotypami. W każdej krótkiej opowieści znajdujemy siebie w centrum narracji autora i przyglądamy się naszemu wizerunkowi duchowemu jakby w lustrze.

To lustro wyraźnie pokazuje nam



nasze niedoskonałości i dopiero ich dojrzenie i zrozumienie stanowi prolog naszej drogi do zbawienia.

Ów krótki ziemski żywot jest nam dany jako szkoła i egzamin, abyśmy sprawdzili, czy chcemy odpowiedzieć miłością na wielką miłość Bożą, czy nie.

„Każdego dnia i każdej godziny wymaga się od nas dowodu naszej miłości do Boga”, mówi św. Izaak Syryjczyk.

Albowiem i Bóg każdego dnia i każdej godziny pokazuje swą miłość wobec nas.

„Każdego dnia i każdej godziny jesteśmy postawieni pomiędzy Bogiem i grzechem i albo ofiarujemy swą miłość Bogu i wzniesiemy się do zastępów anielskich, albo oddamy się grzechowi i wpadniemy w mroki otchłani (rozważania z Prologu – fragment na dzień 17 marca).

Dzięki poręcznemu formatowi, w jakim wydano to niezwykłe dzieło św. Mikołaja, możemy je zawsze mieć przy sobie, zarówno na kuchennym stole, jak i na biurku w pracy albo w plecaku i czerpać obficie z tego źródła duchowości chrześcijańskiej.

Książkę wydano i wydrukowano starannie z okazji jubileuszu 115-lecia cerkwi św. Jana Klimaka. Jest rozprowadzana przez wydawcę jako cegiełka na remont cerkwi. Wpłat można dokonywać na konto.

Parafia św. Jana Klimaka na Woli w Warszawie
ul. Wolska 138/140
01-126 Warszawa
tel. (22) 836-68-16
fax. (22) 836-88-16
PKO BP 56 1020 1185 0000 4302 0109 8904.

Sławomir Makal



Jubileusz Bractwa

W sobotę 3 października w katedrze metropolitalnej św. Marii Magdaleny pod przewodnictwem arcybiskupa Grzegorza odprawiono Liturgię, która zainaugurowała obchody czterdziestolecia Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Polsce. Władyce asystowali duchowni opiekunowie bractw diecezjalnych i parafialnych. W ołtarzu modlił się metropolita Sawa. Liturgia zgromadziła byłych działaczy BMP wraz z przewodniczącymi oraz młodych, tworzących dzisiejsze struktury organizacji. Modlono się za arcybiskupa Jeremiasza i tych członków Bractwa, którzy zakończyli ziemskie pielgrzymowanie.

Po Liturgii metropolita **Sawa** przypomniał czasy powstawania Bractwa i problemy, z którymi się wówczas borykano.

Wspominał pierwsze pielgrzymki na Świętą Górę Grabarkę, w których brało udział kilka tysięcy osób, a po których ówcześni organizatorzy mieli niemałe problemy. Jednak nie zraziło to młodych ludzi do dalszej działalności na rzecz Cerkwi.

Hierarcha wskazał, że należy zachować ducha Bractwa z początków powstania organizacji, uwzględniając zachodzące w świecie zmiany, całą ich złożoność oraz konieczność poszukiwania nowych form dotarcia do współczesnej młodzieży. Wszystko to powinno być wyzwaniem zarówno dla duchownych, jak i działaczy.

Metropolita wyraźnie zaakcentował, iż Bractwo Młodzieży Prawosławnej powinno być organizacją żywą, która zawsze powinna skupiać się wokół Cerkwi i Eucharystii. Życzył zebranym i całej organizacji odwagi oraz gorliwości w wypełnianiu swej misji.

Zostały wręczone listy pochwalne osobom, których wsparcie i działalność przyczyniła się do rozwoju organizacji. Ponadto, zgodnie z decyzją XXXVIII Walnego Zgromadzenia, wręczono **Aleksandrowi Wasylukowi** honorowe członkostwo Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Polsce za byłą i obecną działalność.

W związku z jubileuszem Bractwa Młodzieży Prawosławnej w nadchodzącym roku odbędą się nawiązujące do niego wydarzenia lokalne, a zwieńczeniem obchodów będzie planowany na jesień festyn w Hajnówce.

za: **http://bmp.cerkiew.pl**
fot. **archiwum Jarosława Charkiewicza**

Na starym cmentarzu

Dwie proste, ale starannie wykonane trumny-skrzynki spoczęły 8 października na cmentarzu prawosławnym w Nowym Dworze, w powiecie sokólskim. W nich kości ponad stu osób, 94 pełne szkielety, pierwszych jego mieszkańców, sprzed kilkuset lat. Odprowadzili je proboszcz o. Józef Sitkiewicz z prawosławnymi duchownymi z okolicy, ksiądz rzymskokatolicki, strażacka kompania honorowa, przedstawiciele lokalnych władz, grupa mieszkańców i – archeolodzy. Bez nich nie doszłoby do tej uroczystości.

W lipcu gmina rozpoczęła prace na drodze, która od ulicy Grodzieńskiej, mijając od południa plac cerkiewny ze świątynią i plebanię, biegła z pół kilometra na cmentarz prawosławny. Miano ją poszerzyć i wylać asfalt.

Kiedy robotnicy natknęli się na pierwsze kości, właściwie nie było zdziwienia. Tutejsi nie bez przyczyny nazywali miejsce przy drodze Popową Jamą. I wcześniej znajdowano tam kości, wystarczyło nieco pogrzebać. Obecny cmentarz parafialny metrykę ma dziewiętnastowieczną, był – jak wynika z wizytacji dziekańskiej w 1804 roku – już wówczas wytyczony, ale wciąż nie wyświęcony. Gdzieś musiał leżeć stary. Najpewniej przy cerkwi.

Pierwszej cerkwi. Najstarsza o niej wzmianka pochodzi z wizytacji, gdzie

Pogrzeb na nowym cmentarzu prawosławnym, w środku o. Józef Sitkiewicz
Niżej cerkiew w Nowym Dworze



opisując archiwum parafialne podano, że *pierwszy przywilej na fundusz cerkwi nowodworskiej dany jest od JOJM ks. Jana kniazia litewskiego, biskupa wileńskiego, roku 1530 dnia 12 Augusta*. W dokumentach z XVI wieku nie brakuje kolejnych wzmianek. W mieście (bo Nowy Dwór był miastem aż do lat trzydziestych XX stulecia) wytyczono ulicę Ruską *(z Rynku do cerkwi po prawej stronie*), stał tam *Kościół Ruski i plac popowski*. *Wizytacja* z 1737 roku cerkiew unicką już opisuje jako budynek niewielki, drewniany, bardzo stary, z uszkodzonym dachem, a przycerkiewny cmentarz jako nieogrodzony. Zalecenia powizytacyjne nakazywały grodzenie i pilny remont.

Nie był chyba solidny, skoro kilkadziesiąt lat później, w 1849 roku, stała już nowa świątynia, także drewniana, wzniesiona ze środków państwowych. Stanęła w innym miejscu, po drugiej stronie prowadzącej na cmentarz drogi. W 1865 roku poddano ją gruntownemu remontowi. Wiemy, jak wyglądała, gdyż zachowała się jej fotografia na niemieckiej pocztówce z lat I wojny światowej.

W 1924 roku do katolickiej kurii wileńskiej raportowano: *Kościół i zabudowania pounickie znajdują się w Nowym Dworze przy ulicy Grodzieńskiej. Na placu pounickim ilości 1,5 ha w Nowym Dworze mieści się były kościół pounicki w stanie rychłego już zawalenia się, co grozi publicznemu bezpieczeństwu, gdyż jest bez dachu, sufitu, belek, okien, drzwi i ma ściany mocno nadgniłe*.



W 1925 roku raportowano, że *w miasteczku Nowym Dworze jest pounicki kościół skasowanej przez Rząd Polski parafii prawosławnej, własność Rządu Polskiego*. Wkrótce cerkiew rozebrano, prawosławni utracili także całą ziemię, ponad osiemdziesiąt hektarów.

W Nowym Dworze było ich ponad stu, w całej parafii blisko tysiąc.

Ponieważ w dawnym domu parafialnym umieszczono teraz szkołę podstawową, biskup grodzieński zgodził się, by nabożeństwa odprawiano w prywatnym, stojącym niedaleko dawnej cerkwi, domu **Antoniego Makarewicza**. Przyjeżdżali duchowni z Jaczna. W 1939 roku tymczasową cerkiew urządzono w dawnej plebanii. Modlono się tam do 1954 roku. Już w 1948 postanowiono zbudować, w miejscu gdzie stała poprzednia, nową świątynię, tym razem murowaną. Stanęła, można powiedzieć, „czynem społecznym", na koszt i dzięki wysiłkowi parafian. Było ich w latach okupacji niemieckiej tysiąc pięciuset, w 1946 mniej niż dziewięciuset, obecnie 180.

Dane te pochodzą z kroniki parafii w Nowym Dworze, założonej w 1982 r. przez o. **Jana Jaroszuka**, od wielu lat proboszcza w Michałowie, wykorzystującej jednak dokumenty i informacje przekazane przez najstarszych parafian. Zapisy z każdego roku kończą dane statystyczne. Ten sprzed dwóch lat nie różni się od innych na wschodnim pograniczu: śluby – 1, chrzty – 1, pogrzeby – 17.

O. **Józef Sitkiewicz** jest w Nowym Dworze proboszczem od trzydziestu siedmiu lat.

Cały ten, skrócony, historyczny wywód jest niezbędny, by zrozumieć rangę dokonanego na starym cmentarzu odkrycia.

Zawiadomiono o nim urząd konserwatorski, ten zwrócił się do archeologów z Muzeum Podlaskiego w Białymstoku. Pracami wykopaliskowymi kierował **Hubert Lepionka**.

Nieprzypadkowo. Od kilku lat jego ekipa penetruje małe, wiejskie, często zapomniane cmentarze i odnajduje rzeczy niezwykłe. Znalazła je także w Nowym Dworze.

Archeolodzy przebadali starannie mniej więcej czterometrowy pas ziemi, jedynie wzdłuż dawnego cmentarza. Nie mieli wielkiego problemu z datowaniem grobów. Pomogły drobne monety z czasów króla Aleksandra, Zygmunta Starego i Zygmunta Augu-

Jeden z odkrytych szkieletów, zebrane z odsłoniętych grobów kamienie i krzyż, upamiętniający dawny cmentarz



sta. Antropolog **Angelika Słodka** ustaliła, że kości należą do miejscowej, jednorodnej pod względem pochodzenia, ludności. Do mężczyzn, kobiet i dzieci. Tych ostatnich było bardzo dużo, co potwierdza tylko informacje o krótkiej wówczas średniej życia.

Pochowani nie byli ani w dobrej kondycji (niedożywienie), ani dobrym zdrowiu. Natrafiono na ślady chorób wirusowych i bakteryjnych (gruźlica), ale nie wielkich epidemii.

Na czym zatem polegała niezwykłość nowodworskiego cmentarza? Na budowie grobów. Zmarli układani byli głowami na wschód, niektórzy w trumnach (zachowały się gwoździe, którymi je zbito), dość płytko przykrywani ziemią. A na ich mogiłach układano, pionowo, kamienne stele, słabo albo wcale nieobrobione. To ich właśnie poszukiwali od pewnego czasu archeolodzy z Białegostoku.

Takie groby nie występują w innych regionach naszego kraju, na wschodzie jedynie w województwie podlaskim i na Grodzieńszczyźnie. Dotychczas odkryto około pięćdziesięciu wiejskich cmentarzy ze stelami, na ogół bez inskrypcji. Nie chodzi przy tym, powtórzę, o mogiłki z zamierzchłych czasów, a nowożytne, chrześcijańskie pochówki. W ubiegłym roku popularnonaukowy miesięcznik „Archeologia Żywa”, po pracach między innymi w Jagintach w gminie Nowy Dwór, uznał badania tych cmentarzy za jedną z archeologicznych sensacji.

Przy okazji wykopalisk, metodą nieinwazyjną, dzięki wsparciu specjalistów w Uniwersytetów Adama Mickiewicza w Poznaniu i Jana Kazimierza w Kielcach, zlokalizowano pierwszą cerkiew (i zapewne kolejne, aż do XIX wieku). Miejsce to upamiętnia duży krzyż, spleciony ze starym drzewem.

Co stanie się z nowodworskim cmentarzem? Zostanie wpisany do rejestru zabytków i otoczony jak najpełniejszą ochroną. Wydobyte z ziemi stele złożą się być może na lapidarium, może na inną formę upamiętnienia. O. Józef chciałby ustawić dwa krzyże – na starym cmentarzu i na nowym, na mogile dawnych mieszkańców. Na nich umieściłby tabliczki z napisami:

W tym miejscu znajdował się cmentarz, który otaczał pierwszą prawosławną cerkiew Nowego Dworu, powstałą w 1530 roku. Na przełomie XVI i XVII wieku parafia przyjęła unię brzeską. Nekropolia była miejscem spoczynku jednych z pierwszych tutejszych mieszkańców i została zamknięta w początkach XIX wieku. W 2020 roku cmentarz został częściowo przebadany przez archeologów. Wydobyte szkielety zostały pochowane na dzisiejszym cmentarzu prawosławnym. Przechodniu, zatrzymaj się na chwilę w tym miejscu i zmów modlitwę za przodków dzisiejszych mieszkańców Nowego Dworu.



A na współczesnym cmentarzu:

W tym miejscu pochowano kości parafian, odkryte w trakcie badań archeologicznych na dawnym cmentarzu prawosławnym i unickim przy cerkwi św. Mikołaja. Nekropolia funkcjonowała od XVI do XIX wieku. Przechodniu, zatrzymaj się na chwilę w tym miejscu i zmów modlitwę za przodków dzisiejszych mieszkańców Nowego Dworu.

Przodków, choć ze względu na pandemię uroczystość nie zgromadziła wielu mieszkańców, pożegnano godnie, z szacunkiem i szczerą modlitwą. Proboszcz dziękował władzom gminy, z wójtem **Andrzejem Humiennym**, które prace sfinansowały, pracownikom ośrodka kultury za pomoc w przygotowaniach do uroczystości, wszystkim za obecność, a nieobecnych prosił o modlitwę i pamięć o tych, którzy spoczywają na starych cmentarzach.

Dorota Wysocka

fot. **autorka** i **Hubert Lepionka**



Na rosyjskim cmentarzu

Jeden z największych i najbardziej interesujących prawosławnych cmentarzy Europy znajduje się w Berlinie, w dzielnicy Tegel. Spacerując alejkami tej nekropolii można zapoznać się z historią dwustutysięcznej (są źródła utrzymujące, że trzystutysięcznej) rzeszy rosyjskich emigrantów, którzy uciekli do Niemiec przed rewolucją bolszewicką. Większość z nich zdecydowała się zamieszkać w Berlinie.

Cmentarz prawosławny w dzielnicy Tegel pojawił się w stolicy Niemiec wraz z cerkwią św. św. Konstantyna i Heleny. Inicjatorem budowy świątyni był batiuszka **Aleksy Malcew**, duszpasterz rosyjskiej ambasady w Berlinie. W 1892 roku duchowny kupił działkę przeznaczoną na prawosławną nekropolię i cerkiew. Była to ważna inicjatywa dla przebywających w Niemczech dyplomatów, kupców, naukowców i członków ich rodzin, gdyż wcześniej prawosławnych chowano na cmentarzu protestanckim. Budową świątyni i urządzeniem terenu zajęło się Bractwo św. Włodzimierza. 3 czerwca 1893 roku założono kamień węgielny pod planowaną cerkiew, zaprojektowaną przez niemieckiego architekta **Alberta Bohma**.



W 1894 roku, przed otwarciem cmentarza, **Aleksander III** rozkazał wysłać do Berlina 4 tony (niektóre źródła mówią nawet o 40 tonach) rosyjskiej ziemi z różnych guberni cesarstwa, by zmarli na obczyźnie rodacy mogli czuć związek z ojczyzną nawet po śmierci. W tym samym roku wyświęcono pięciokopułową cerkiew, dla której sprowadzono ikony z Atosu.

Pierwszą osobą pochowaną w tej nekropolii był **Ioann Ioannowicz Łaskin** (1855-1893), diakon cerkwi mieszczącej się w ambasadzie Rosji, również biorący udział w urządzeniu nowej świątyni i cmentarza. Pogrzeb duchownego odbył się miesiąc przed założeniem kamienia węgielnego. Ciekawostką jest, iż jednym z pierwszych księży w nowo otwartej cerkwi był Niemiec i ewangelik, który przeszedł na prawosławie, zmienił imię na Wasilij i z biegiem czasu przyjął święcenia kapłańskie.

W pierwszych latach istnienia cmentarza spoczął tutaj książę **Siergiej Pawłowicz Golicyn** (1864-1898), mistrz ceremonii dworu cesarskiego. Nieznane są powody, które przywiodły go do stolicy Niemiec, ale wiadomo, iż jego zacna i wielce zasłużona familia pochodziła od wielkiego księcia **Giedymina**, którego potomkami byli m.in. książęta litewscy i ruscy, a także Jagiellonowie. Wśród przodków Siergieja Pawłowicza Golicyna był **Michaił Michajłowicz** (1675-1730), zdobywca twierdzy Noteburg, w miejscu której stanął Petersburg, i bohater bitwy pod Połtawą w 1709 roku, i **Natalia Pietrowna Golicyna** z domu Czernyszowa (1741-1837), która stała się prototypem głównej bohaterki powieści „Dama Pikowa" **Aleksandra Puszkina**. Z kolei **Dmitrij Władimirowicz Golicyn** (1771-1844) był odpowiedzialny za odbudowę Moskwy po najeździe Napoleona w 1812 roku.

Przed 1900 rokiem pochowano tutaj 45 osób. Założyciele cmentarza zakładali, że ze względu na stosunkowo niedużą prawosławną społeczność Berlina liczba pochówków również będzie nieznaczna. Nikt nie podejrzewał, że w 1917 roku w Imperium Rosyjskim wybuchnie rewolucja, która zmusi tysiące obywateli do ucieczki z własnego kraju.

W powszechnej opinii to Paryż jest uważany za główny ośrodek rosyjskiej kultury emigracyjnej, ale przez dekadę była nim stolica Niemiec. Obywatele Imperium Rosyjskiego uznali Berlin za atrakcyjne miejsce do życia z kilku powodów. Po pierwsze, Niemcy przyciągały emigrantów, gdyż już przed pierwszą wojną światową Rosjanie tłumnie odwiedzali niemieckie uzdrowiska oraz zabytki, co pozwoliło im na poznanie obyczajów kraju. Nie bez znaczenia był też fakt, iż wielu emigrantów władało językiem niemieckim. Ale przede wszystkim za Berlinem przemawiały względy finansowe – w ogarniętych kryzysem finansowym Niemczech, gdzie inflacja sięgała kilkuset procent rocznie, rosyjski rubel wciąż był uważany za mocną walutę i przybysze mogli zapewnić sobie wygodne życie.

W Berlinie osiedlili się przedstawiciele wszystkich warstw społecznych carskiej Rosji – szlachta, wojskowi, kupcy, działacze kultury, politycy, chłopi. Berlin lat dwudziestych można określić mianem kulturalnej stolicy rosyjskiej emigracji. Tutaj mieszkali i publikowali swoje dzieła **Borys Pasternak**, **Aleksy Tołstoj**, **Władimir Nabokow** czy **Władysław Chodasiewicz**. W mieście pojawiły się rosyjskie sklepy, kawiarnie, banki, zakłady fryzjerskie, restauracje, wydawnictwa, szkoły. Gościły tutaj teatry i zespoły baletowe z Moskwy i Piotrogrodu (w 1924 roku jego nazwę zmieniono na Leningrad).

Ciekawostką jest, że nawet niemieckie wydawnictwa zaczęły publikować przewodniki po Berlinie w języku rosyjskim. Jako że tysiące emigrantów osiedlało się głównie w dzielnicy

Charlottenburg, mieszkańcy nazywali ją Charlottengrad. Władze Niemiec umożliwiły przybyszom bezpłatną naukę na tamtejszych uczelniach i udostępniły pomieszczenia do przeprowadzania naukowych wykładów i odczytów. Stolica Niemiec oferowała Rosjanom możliwość udziału w Liturgii w cerkwi św. św. Konstantyna i Heleny, obecnie najstarszej prawosławnej świątyni w Berlinie.

Stopniowo Rosjanie zaczęli opuszczać Niemcy, udając się do Paryża czy Pragi. Po roku 1933, tj. objęciu władzy przez Hitlera, gdy państwo niemieckie zaczęło nieprzychylnie traktować mniejszości narodowe i wyznaniowe, zdecydowana większość przybyszy wyjechała z kraju. Można domniemywać, że w Berlinie pozostali tylko ci, którzy z prywatnych względów nie mogli opuścić miasta lub nie mieli dokąd jechać.

Potwierdzeniem ogromnej roli Berlina w życiu rosyjskich emigrantów jest nekropolia, gdzie spoczywa m.in. wielu członków znamienitych familii szlacheckich. Wśród nich jest księżna **Anastazja Szachowska**, z domu Bachtiejarowa (1847-1923). Rodzina jej męża wywodziła się od Rurykowiczów, do 1610 roku sprawujących władzę w Księstwie Moskiewskim i Carstwie Rosyjskim (ostatnimi przedstawicielami tej dynastii byli **Fiodor I Iwanowicz**, syn **Iwana Groźnego**, i **Wasyl Szujski**). Do wybitnych członków rodziny Szachowskich można zaliczyć m in. bohatera wojen napoleońskich **Iwana Leontijewicza** (1777-1860) i dekabrystę **Fiodora Piotrowicza** (1796-1829).

Hrabina **Jelizawieta Pawłowna Musina-Puszkina** (1890-1940) urodziła się w starej, pochodzącej z Transylwanii, rodzinie, której członkowie otrzymali tytuły hrabiowskie pod koniec XVII wieku, co umożliwiło im szybkie wspinanie się po szczeblach kariery w służbie państwowej. **Walentin Płatonowicz** (1735-1804) dowodził armią rosyjską podczas wojny ze Szwedami w latach 1788-1789. **Aleksiej Iwanowicz** (1744-1817) nie tylko pełnił funkcję oberprokuratora Świątobliwego Synodu, ale był również wybitnym archeologiem i członkiem Londyńskiej Akademii Nauk.

Na cmentarzu w dzielnicy Tegel leży ośmiu członków rodu baronów von Osten-Sacken, z pochodzenia Niemców nadbałtyckich, których przodkowie zrusyfikowali się i przyjęli prawosławie. **Konrad Gienrichowicz Oster-Sacken** (1875-1946) uczestniczył w ruchu „białych" i był jednym z członków ich administracji. **Gotchard Gienrichowicz** to oficer marynarki wojennej i uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej. W późniejszych latach mężczyzna przeszedł do formacji lądowej i w składzie pułku piechoty walczył w pierwszej wojnie światowej i wojnie domowej.

Jeden z członków rodu Osten-Sacken – **Dmitrij Nikołajewicz** (1831-1912) – aż do śmierci był rosyjskim ambasadorem w Berlinie. Na tym cmentarzu został pochowany jego następca i zarazem ostatni rosyjski wysłannik na niemieckim dworze, **Siergiej Nikołajewicz Swierbiejew** (1857-1922), wnuk dekabrysty **Siergieja Trubieckoja**. Wiosną 1914 roku dyplomata niejednokrotnie donosił swoim szefom w Petersburgu, że Niemcy planują rychłą wojnę, gdyż obawiają się, iż po przeprowadzeniu przez Rosję reformy wojskowej wojska cesarza niemieckiego nie będą w stanie jej pokonać. Po wybuchu działań wojennych 1 sierpnia 1914 roku Swierbiejew wrócił do Petersburga. Jego czterej synowie wybrali karierę wojskową, a jeden z nich – 23-letni **Nikołaj** – zginął jesienią 1914 roku. Trzech pozostałych znalazło się na emigracji, przy czym najstarszy **Dmitrij** w Berlinie, gdzie umarł w 1940 roku i został pochowany na prawosławnym cmentarzu.

Warta odnotowania jest też historia barona **Gieorgija Clodta von Jurgensburga** (1886-1940), pochodzącego z rodziny Niemców nadbałtyckich i ochrzczonego w kościele ewangelickim. Mężczyzna zrobił karierę wojskową, ukoronowaniem której było stanowisko adiutanta dowódcy marynarki wojennej. Po wybuchu pierwszej wojny zmienił wyznanie na prawosławie, aby zademonstrować lojalność wobec swojej drugiej ojczyzny.



Aleksander Wasiljewicz Kriwoszein (1857-1921) był zastępcą ministra finansów Rosji, współpracował z premierem **Stołypinem** podczas przeprowadzania reformy rolnej i był wielkim orędownikiem rozwoju Syberii. W 1919 roku opuścił Rosję i osiedlił się w Paryżu, a już w marcu 1920 roku przyjął propozycję generała **Piotra Wrangla**, dowódcy armii „białych", by objąć stanowisko jego zastępcy ds. cywilnych. Kriwoszein zdawał sobie sprawę, iż wojska antybolszewickie przegrywają walkę z nowymi włodarzami, lecz – jak zaznacza rosyjski historyk **Kiryłł Aleksandrow** – „pojechał na Krym, by spełnić swój obowiązek wobec ojczyzny". W listopadzie tego roku Aleksander Wasiljewicz opuścił Rosję wraz z generałem Wranglem i jego wojskiem, a po krótkim pobycie w Gallipoli udał się do Berlina, gdzie wkrótce zmarł.

Jednym ze wzruszających miejsc jest pomnik żołnierzy i oficerów Rosyjskiej Armii Cesarskiej, walczących w pierwszej wojnie światowej i domowej. Dla nich emigracja była jedynym sposobem na uratowanie życia, bo w oczach bolszewików carscy wojskowi byli ich najgorszymi wrogami. Na początku lat 30. w wyniku represji prawie wszyscy oficerowie zostali zgładzeni lub przebywali w łagrach.

Pomnik zbudowano, jak zaznaczono w ówczesnej berlińskiej prasie, „z dobrowolnych datków rosyjskiej emigracji w Niemczech" i „z inicjatywy członków Rosyjskiego Związku Ogólnowojskowego", zrzeszającego weteranów walki antybolszewickiej. Na pomniku znalazł się napis: „Wiernym synom wielkiej Rosji". Gazety donosiły, że na jego otwarciu zgromadzili się nie tylko rosyjscy emigranci, ale również przedstawiciele niemieckiego związku weteranów wojennych. Wyświęcenia obiektu dokonał batiuszka **Rozanow**, następnie zebrani wzięli udział w nabożeństwie w cerkwi św. św. Konstantyna i Heleny.

Wokół pomnika oraz nieopodal znajdują się groby „białych" oficerów, którym wyjazd z ojczyzny ratował życie. **Aleksander Iłłarionowicz Woroncow-Daszkow** (1881-1936) to syn rosyjskiego namiestnika na Kaukazie, absolwent prestiżowej rosyjskiej uczelni wojskowej – Korpusu Paziów, a także pułkownik elitarnego Lejbgwardyjskiego Pułku Huzarów, którego honorowym szefem był **Mikołaj II**. Kapitan **Nikołaj Aleksandrowicz Ruczijewskij** (1881-1947) został odznaczony najwyższą rosyjską nagrodą – Orderem św. Jerzego. Rotmistrz **Arkadij Aleksandrowicz Skriabin** (1892-1919) służył w I Piotrogrodzkim Pułku Ułanów, ranny w 1914 roku, nagrodzony Orderem św. Jerzego.

Wśród wojennych bohaterów znalazły się też kobiety. Moskwianka **Anna Azbukina-Płatonowa** była pielęgniarką, pracowała m.in. na statku przekształconym w szpital. Ewakuowała się z Rosji razem z armią generała Wrangla, osiedliła się w Berlinie, była członkiem Związku Rosyjskich Sióstr Miłosierdzia i kierownikiem internatu dla dzieci emigrantów.

Po drugiej wojnie cmentarz prawosławny w Berlinie pozostawał zaniedbany. Prace zmierzające do uporządkowania nekropolii rozpoczęły się na początku XXI wieku i zostały ukończone w 2005 roku.

Violetta Wiernicka
fot. **ze zbiorów autorki**

Zawiązana z inicjatywy naszej redakcji, pod opieką prof. Aleksandra Naumowa, grupa prawosławnej inteligencji, stawiająca sobie za cel, poprzez wykłady, samodoskonalenie się, rozpoczęła działania od serii spotkań z naukowcami, artystami, duchownymi, ludźmi twórczymi, opowiadającymi o swojej własnej drodze do osiągniętej pozycji. 2 czerwca wysłuchaliśmy Aleksandra Naumowa, 1 września architekta Jerzego Uścinowicza, 6 października posła Eugeniusza Czykwina. Spotkania odbywają się w pierwszy wtorek miesiąca o godzinie 17 w Akademii Supraskiej. Mają charakter otwarty. W listopadzie spotkania nie będzie. Kolejne w grudniu.

Z Orli do Sejmu

Urodziłem się w 1949 roku. Moi rodzice przyjechali do Orli, miasteczka, które przed wojną liczyło trzy tysiące mieszkańców, w tym dwa tysiące Żydów, kilka rodzin katolickich, reszta to prawosławni. Prawie wszyscy Żydzi zginęli w obozie na Majdanku. Przeżyła rodzina Wajsztejnów, właścicieli trzech kaflarni. Sowieci, którzy przyszli w 1939, wywieźli ich, jako fabrykantów, w głąb Związku Radzieckiego.

Dzieciństwo wspominam jako szczęśliwe, chociaż rodzice byli bardzo biedni, od swoich rodziców nie mogli niczego otrzymać. Wieś mamy, która za mąż wyszła podczas okupacji, została po białoruskiej stronie. Mama nieraz płakała, że nie może odwiedzić ani rodziców, ani sióstr. Nawet na pogrzeb ojca, mego dziadka Emeliana, nie zdołała pojechać. W mojej pamięci utrwaliło się powiedzenie: *Kob nie taja proklataja hranicia*. Wykorzystałem jej zdanie jako przewodniczący polsko-białoruskiej grupy parlamentarnej w latach 2001-2005, podczas spotkania z prezydentem Białorusi Aleksandrem Łukaszenką, prosząc go o otwarcie nowych przejść granicznych w Białowieży i na Kanale Augustowskim. Na co wyraził zgodę.

Ojciec, Grzegorz, urodził się w 1914 roku jako półsierota, ponieważ mojego dziadka Simiona wzięto tego samego roku do carskiej armii jako *mładszego fejerwierkera moskowskowo artileryjskowo połka* i już do domu nie wrócił. Babcia w biedzie wychowywała pięcioro dzieci.

Byłem czwartym synem. Mama, jak opowiadała, była niezadowolona, że jest w czwartej ciąży, ale sąsiadki pocieszały, że teraz urodzi się dziewczynka. Gdy przyszedłem na świat, była tak rozczarowana, że ojcu, pytającemu, jakie mi nadać imię, odparła: „Sam swoich synów nazywaj".

W Orli była cegielnia, betoniarnia. Wielu więc było chłoporobotników, jak mój ojciec.

Kończąc szkołę podstawową, w 1963 roku, chciałem wyruszyć do Warszawy, by tam uczyć się na kolejarza. Zainspirował mnie mój starszy o dwa lata kolega Romek, katolik, który miał w Warszawie ciotkę. U niej mieszkał i chodził do technikum kolejowego. – Gdzie, do Warszawy!? – przerazili się rodzice. Ale mój wybór uszanowali. Ojciec powiózł mnie na egzaminy. Jechaliśmy całą noc – najpierw do Hajnówki, stamtąd odjeżdżał tak zwany „warszawiak", czyli pociąg do stolicy, który stawał na każdej stacji, a może i przy każdym słupie. Egzamin zdałem. Mama wtedy mi powiedziała: – *Synku, nie każy chto ty, bo nas Polaki nie lubiat*. To był wyraz matczynej troski. Dziś mam żonę Polkę, wielu przyjaciół Polaków i wiele im zawdzięczam, ale to *izreczenije*, że „oni nas nie lubią" pozostało w pamięci. Teraz wiem, że ta cywilizacyjna granica jednak między nami jest i w różnych formach się przejawia, choć w bezpośrednich kontaktach mam wiele przykładów dobrej współpracy.

Jak znalazłem się w polityce? O zaangażowaniu się w politykę nigdy nie myślałem. Chociaż zainteresowania moje, chłopca z Orli, który

zaczął się uczyć języka polskiego, tak jak i moi koledzy, dopiero w drugiej klasie szkoły podstawowej, bo jeszcze w pierwszej uczyliśmy się wszystkiego po białorusku, były nieco inne, to w Warszawie miałem piątki z polskiego i historii. Ciągnęło mnie do historii. Nawet chciałem na nią zdawać. I kiedy o tym powiedziałem swojej wychowawczyni, zaśmiała się: „Co ty, studiuj kolejnictwo”. Ukończyłem wydział transportu kolejowego na Politechnice Warszawskiej i zostałem kolejarzem.

Na studiach wchodziliśmy w dorosłe życie i przed każdym stały pytania o stosunek do Boga, do Cerkwi, ale też o to, kim jesteśmy w sensie narodowym. Musieliśmy dokonywać także innych wyborów, od których zależała kariera zawodowa – by awansować trzeba było zapisać się do PZPR lub „sojuszniczych” partii: Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego lub Stronnictwa Demokratycznego.

Kończąca przed nami studia młodzież z biednych białostockich wsi takich rozterek raczej nie miała. Zbyt żywe było doświadczenie Polski międzywojennej z jej represyjną wobec mniejszości polityką, zbyt świeże rany zadane przez polskie podziemie po drugiej wojnie, by wobec PRL-owskiej rzeczywistości zgłaszać większe pretensje.

My, dorastający w czasach późnego Gomułki i wczesnego Gierka, także docenialiśmy stworzoną przez socjalistyczną Polskę szansę wyrwania się „białoruskiej hołoty” z zamkniętego dla naszych rodziców kręgu biedy. Nie przyjmowaliśmy już jednak partyjnej propagandy bezkrytycznie. Czytaliśmy przemycane z Zachodu, z rosyjskim nie mieliśmy problemów, książki Sołżenicyna, emigracyjnych rosyjskich teologów i filozofów.

Dystansując się od obowiązującej w państwie ideologii nie mogliśmy też przyjąć za własną postawy naszych, w większości pochodzących z inteligenckich rodzin, polskich kolegów, według których prawdziwy Polak to katolik. Odstraszała nas ich coraz wyraźniejsza katolicko-narodowa identyfikacja. Raniło wyśmiewanie przez nich wszystkiego, a więc i naszej prawosławnej wiary, co ruskie. Byliśmy na rozdrożu. I wtedy, jakby na nowo, odnaleźliśmy się w Cerkwi.

A z Cerkwią u mnie było tak. W Orli rodzice prowadzili nas do cerkwi, chociaż orlanie nie za bardzo do niej chodzili. O. Grzegorz Sosna, zmarły w 2016 roku, mawiał, że orlanie do cerkwi za bardzo nie chodzą, ale kłócić się z batiuszką wszyscy biegną. Jako dziecko bardzo emocjonalnie przeżywałem szczególnie wielkopostne nabożeństwa. Ojciec, prosty, niepiśmienny, zawsze modlił się przed jedzeniem, po jedzeniu, rano i wieczorem. I był bardzo konserwatywny. Pięć hektarów ziemi obrabialiśmy bez konia, więc za konia trzeba było odrabiać u innych gospodarzy. Całe wakacje pracowałem na polu, bo starsi bracia już szukali pracy zarobkowej, a na czterech hektarach rosło zboże. Ojciec nie pozwalał go kosić kosą, bo to chleb i żaden kłos nie mógł się zmarnować. Sam ciężko pracował w cegielni, potem biegł jeszcze na pole. Więc z mamą żąłem sierpem, choć nikt w okolicy tego już nie robił, a ja, student Politechniki Warszawskiej, musiałem wysłuchiwać docinków o naszym zacofaniu. Później uświadomiłem sobie, jakie to było ważne dla mnie doświadczenie. Przebywałem z mamą przez kilka tygodni po dwanaście godzin w polu. Mogliśmy rozmawiać. Przy koszeniu rozmów nie ma. Koszącego i podbierającego zboże dzieli odległość, a żnący sierpami są obok siebie. Wysłuchałem tych wszystkich historii, szczególnie z jej białoruskiej wioski, o tym choćby, jak Bóg pokarał chłopca, który skrzywdził dziewczynę. Dziś nawet małe, zajęte komputerem, dzieci nie mają czasu na rozmowę z rodzicami.

Ojciec, mimo że nie oglądał telewizji, nie czytał prasy, przewidział na pół roku wcześniej upadek Gorbaczowa. W maju 1991 roku powiedział: *Lude howorat, że tomu Gorbaczu uże bude chutko konec bo pokłoniwsia tomu biłomu.* Nie zapytałem, skąd ojciec wiedział o rozmowie bez świadków Gorbaczowa z papieżem Janem Pawłem II. Największe instytuty w



Ameryce i w całym świecie tego nie przewidziały.

Jak więc trafiłem do polityki? Przez Bractwo Młodzieży Prawosławnej. Przy cerkwi w Warszawie pojawił się młody człowiek w okularach. – Zapraszam was na spotkanie – powiedział. Okazało się, że to Jan Anchimiuk, wtedy młody asystent Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, późniejszy władyka Jeremiasz. Władyka Jeremiasz poświęcił dziesięć lat pracy i wychował dwa pokolenia – moje było pierwsze – warszawskich studentów. Przełom lat 60. i 70. był okresem krytycznym dla naszej społeczności. Gierek budował państwo jednego narodu, jednej nacji. Poza tym następował rozpad dawnych więzi. Wieś pozostawała tradycyjna. Ludzie chodzili do cerkwi, ale cała powojenna sytuacja wywracała wszystko do góry nogami – monastery znalazły się za wschodnią granicą, prawosławnych z Chełmszczyzny i Bieszczad przesiedlono na Ukrainę i tzw. Ziemie Odzyskane, szalał powojenny terror, następowała migracja ludzi ze wsi do miast, rządziła jedna partia. Jeśli w takiej Orli ktoś był magazynierem w Gminnej Spółdzielni, to zapisywał się do PZPR-u. Nauczyciele nie chodzili do cerkwi. W Białymstoku, o czym opowiadał mi o. Serafin Żeleźniakowicz, jak jakiś, z pochodzenia prawosławny, urzędnik szedł ulicą Lipową, to przed cerkwią przechodził na drugą stronę, by ktoś nie pomyślał, że idzie na nabożeństwo. „Już w końcu lat 60. było wyraźnie widać, że lekcje religii

Eugeniusz Czykwin podczas wystąpienia w Sejmie, koniec lat 80.

i kazania nie trafiały do wszystkich, że bardzo wielu ludzi miało fałszywe albo nie miało żadnego wyobrażenia o życiu Cerkwi prawosławnej" – tak władyka Jeremiasz opisywał ówczesną sytuację.

To wszystko groziło rozpadem więzi, utratą tożsamości, polonizacją, odejściem od prawosławia. A jaka była wtedy sytuacja? Jedni z najbardziej aktywnych później członków bractwa – Mirosław Matreńczyk i Sławomir Makal – chodzili do jednej klasy w tym samym ogólniaku i przez lata nauki się nie dowiedzieli, że są prawosławni. Chyba taka była bojaźń, może ostrożność, zmuszająca naszych ludzi do ukrywania się. Bractwo było odpowiedzią na te wyzwania. Poza Warszawą spotkania z młodzieżą prowadzili duchowni – o. Serafin Żeleźniakowicz w Białymstoku, o. Leoncjusz Tofiluk w Hajnówce, o. Grzegorz Misijuk w Drohiczynie.

W 1980 roku zorganizowano pierwszą młodzieżową pielgrzymkę na Grabarkę. W drugiej poszło ze trzysta osób. Wpadliśmy w zachwyt. Tylu nas jest! Bractwo tworzyło się przed stanem wojennym. Władze miały inne problemy i za bardzo nami się nie interesowały. Wtedy na „drugiej" Grabarce napisaliśmy podanie do metropolity z prośbą o błogosławieństwo na utworzenie Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Poprosiliśmy Ałłę Matreńczyk, wówczas jeszcze Niesteruk, córkę duchownego, by została jego przewodniczącą. W 1982 roku odbyły się pierwsze formalne wybory przewodniczącego, po otrzymaniu błogosławieństwa soboru biskupów na założenie organizacji. Nazwa organizacji była długa i dziwna – Koło Teologów Prawosławnych Szkół Teologicznych, Świeckich i Młodzieży Laickiej.

Przy wyborze przewodniczącego odpowiedzialność tak nas przytłaczała, że nikt nie chciał wyrazić zgody na kandydowanie. Władyka Jeremiasz, wtedy jeszcze świecka osoba, zaproponował, że wybierzemy trzy osoby, a przewodniczącego wylosujemy spośród nich. Znalazłem się w trójce, otrzymując najmniejszą liczbę głosów. Poszliśmy do cerkwi. Kartki włożyliśmy do Ewangelii. Pomodliliśmy się. Matuszka Warwara wyciągnęła kartkę i powiedziała: „Po woli Bożej Jewgienij Czykwin".

A ja miałem już dwoje małych dzieci, z trzecim żona była w zaawansowanej ciąży i jako kontroler odpowiadałem za bezpieczeństwo ruchu pociągów na węźle białostockim i kilku przyległych stacjach. Do domu wracałem bardzo zmęczony. Kładę się do łóżka, zasypiam, ale wybudza mnie głos żony, Elżbiety:

– Gienek, jadę. – Dokąd? – Rodzić.
– To jedź.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że trzeba wstawać. I właśnie tej nocy urodziła się nasza Marysia.

Nie było możliwe dłuższe łączenie pracy zawodowej z przewodniczeniem bractwu, mimo że żona wzięła na siebie większość obowiązków związanych z dziećmi, nie ograniczała mojej aktywności, a między „kupką i zupką" pisała doktorat, potem robiła habilitację, z jej książki dowiedziałem się, że jako Białorusin jestem jednostką stygmatyzowaną. Za wszystko jestem jej bardzo wdzięczny.

Funkcja była wymagająca. Trzeba było jeździć po parafiach. Opinie na temat nowej organizacji były różne. Takie też: „Co ten Anchimiuk nam proponuje, jakieś protestanckie pomysły". W innej parafii: „Batiuszka, zaproście młodzież na spotkanie", zwracam się do proboszcza. A on nie i nie. „Dlaczego?" – pytam. „A, bo ludzie powiedzą, że matuszki mu mało, to jeszcze dziewczęta zwołuje". I niespodziewanie pojawiła się propozycja pracy w chrześcijańskim stowarzyszeniu.

W PRL-u istniały trzy koncesjonowane organizacje skupiające ludzi wierzących – PAX, Polski Związek Katolicko-Społeczny i Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, w skrócie ChSS – o charakterze ekumenicznym. Przewodniczący ChSS-u zwrócił się do metropolity Bazylego z prośbą, by zaproponował kogoś do działalności ze środowiska prawosławnego. Metropolita wskazał na mnie. Poszedłem do swojego arcybiskupa Sawy. „Idź i może coś zrobisz pożytecznego dla naszej społeczności" – powiedział władyka. Wahałem się, ponieważ myśleliśmy już wtedy o budowaniu własnej białorusko-prawosławnej reprezentacji o wydźwięku społeczno-politycznym. Więc albo tu, albo tam. Propozycję jednak przyjąłem. Odszedłem z kolei. Dostałem pobory na poziomie nauczyciela.

W moim życiu niezwykle ważna była znajomość i współpraca z trzema wybitnymi postaciami: arcybiskupem Jeremiaszem, metropolitą Sawą i Kazimierzem Morawskim.

Władyka Jeremiasz zawsze odgrywał w moim życiu bardzo ważną rolę. W Rowach nad morzem władyka kupił dla diecezji skromny domek. Jeździliśmy tam z dziećmi. Takie wakacje z władyką to był piękny czas. Ale dach w tym domku zaczął przeciekać i postanowiliśmy, że sami go naprawimy. Rozgrzaliśmy smołę. Mówię: „Sam polazę na dach. Bo co ludzie powiedzą, kiedy zobaczą prawosławnego arcybiskupa i jeszcze profesora smołującego dach". A on: „Bądź cicho, a jak będziesz spadał, to kto ci rękę poda". To były symboliczne słowa. Zawsze w trudnych dla mnie sytuacjach podawał mi rękę i był przy mnie. Był przy mnie w 1993 roku, gdy moi przyjaciele uznali, że nie mogę kandydować do Sejmu, a to już było po moich trzech parlamentarnych kadencjach i po uchwaleniu ustawy o stosunku państwa do naszej Cerkwi. Związane to było z ujawnieniem tzw. listy Macierewicza, na której znalazłem się jako tajny współpracownik. Byłem tym zaskoczony i zdruzgotany. Podałem do sądu ministra spraw wewnętrznych i sąd nakazał, by mnie publicznie przeprosił, ponieważ nie znalazł żadnych dowodów na moją współpracę.

Potem ta sprawa wróciła w czteroletnim procesie. Wtedy władyka Jeremiasz powiedział mi krótko: „Jak cię uznają za współpracownika, to się za bardzo nie przejmuj i jak cię nie uznają, to się za bardzo nie ciesz. Wiedz jedno – kto chce służyć Cerkwi, nie przeżyje życia, nie odczuwając ciężaru krzyża. Wiesz co robiłeś, ludzie wiedzą i Bóg wie". Przyszedł mi też z pomocą, gdy mnie, już jako posła, w czasie majowej pielgrzymki młodzieży na Świętą Górę

Grabarkę, jedna z uczestniczek z oburzeniem zapytała: „A co tu na Świętej Górze robi polityk”?. Nie bardzo wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Wyręczył mnie władyka, mówiąc do zgromadzonych: „Bóg jest miłosierny. Może to trudno zrozumieć, ale Jego miłosierdzie jest tak wielkie, że nawet polityk może być zbawiony”.

W Bractwie nauczyłem się oczywistej prawdy – w Cerkwi należy słuchać biskupa, a opiekę nad Bractwem w imieniu Soboru Biskupów sprawował władyka Sawa, który był drugą kluczową osobą w jego historii i moim życiu. Wszystkie nasze inicjatywy, także powstanie Przeglądu Prawosławnego, realizowane były z jego błogosławieństwem. Organizować każdego roku po piętnaście letnich obozów dla dzieci i młodzieży, budować ośrodek w Białowieży, prowadzić ożywioną międzynarodową wymianę młodzieży, wydawać Przegląd – mogliśmy dzięki surowej, ale i przyjaznej, prawdziwie ojcowskiej opiece władyki Sawy.

Wracam do politycznego aspektu. Znalazłem się w ChSS-ie. Kierował nim Kazimierz Morawski, który okazał się w moim życiu także ważną postacią. Był wnukiem księżnej Marii Branickiej i księcia Zdzisława Lubomirskiego. Książę Lubomirski był w 1915 roku prezydentem Warszawy. Wchodził w skład Rady Regencyjnej. Gdy Piłsudski przyjechał do Warszawy, najpierw udał się do pałacu Lubomirskich na Frascati. Później Lubomirski przekazywał Piłsudskiemu władzę. Mama Morawskiego, księżna Julia, wyszła za mąż już nie za arystokratę, tylko ziemianina Morawskiego z Wielkopolski.

Dla nas jako mniejszości Kazimierz Morawski, a dla przyjaciół Adzio, okazał się człowiekiem niezwykłym. Żartowaliśmy, że był arystokratą w czerwonym krawacie. Urodził się w pałacu w Małej Wsi pod Grójcem na około czterdziestu tysiącach hektarach ziemi, z pałacem w Warszawie na Frascati, gdzie dziś mieści się Muzeum Ziemi PAN. Morawski, podobnie jak duża część przedwojennej inteligencji, uznał PRL za trwały byt, w którym trzeba ratować wszystko co z narodowo-katolickiego dziedzictwa w nowej rzeczywistości da się zachować. Jednocześnie bliska mu była idea sprawiedliwości społecznej, jaką proponował nowy ustrój. Wychowany w pałacu, widział nędzę żyjących w czworakach bezrolnych chłopów. Na jego stosunek do powojennej rzeczywistości – o czym mi opowiadał – miały wpływ rozmowy z ukrywającą się w czasie wojny w ich pałacu (była Żydówką) przedwojenną senator o lewicowych poglądach, Dorotą Kłuszyńską.



Kazimierz Morawski miał bardzo dobre kontakty z moskiewskim patriarchatem. Ruska Cerkiew w tamtych latach walczyła o pokój. Takie zadanie wyznaczyły jej sowieckie władze. Potem jeden z władyków tej Cerkwi żartował: – *Tak borolis za mir, szto jele ot toj borby ostaliś żywyje*. Ale jednocześnie Cerkiew pokazywała władzom, że może służyć społeczeństwu, jeśli da się jej jakąkolwiek wolność. Morawski był zapraszany przez patriarchów i darzony zaufaniem. Zabierał mnie ze sobą do Moskwy. Najpierw składaliśmy wizyty u patriarchy Pimena, potem Aleksego II i Kiryła. Bywaliśmy w Moskwie ze dwa razy w roku, co wynikało z przekonania Morawskiego, że Polska powinna mieć ze wschodnim sąsiadem dobre stosunki. A kto tego nie rozumie – Kazimierz często to publicznie powtarzał – jest politycznym głupcem. Teraz, wspominając go, myślę, jakby reagował na rusofobię naszych polityków. Gdyby nie on, gdzie mógłbym poznać trzech patriarchów ruskiej Cerkwi, tylu biskupów, światłych ludzi, archimandrytów, którzy potem stali się biskupami, o. Witalija Borowoja czy metropolitę Antoniego Blooma? Jechaliśmy do Moskwy pociągiem niemal całą dobę i tak samo wracaliśmy. I to między innymi w tych podróżach zawiązywała się nasza przyjaźń, która pod koniec jego życia okazała się naprawdę głęboka.



Moskiewskie spotkania owocowały potem w Polsce. W 1988 roku na majową pielgrzymkę na Świętą Górę Grabarkę przyjechał władyka Kirył, wtedy jako metropolita smoleński i

Eugeniusz Czykwin z arcybiskupem Jeremiaszem i Kazimierzem Morawskim
Niżej w swoim mieszkaniu – w środku władyka Kiryl (obecny patriarcha moskiewski i całej Rusi), biskup Sawa (obecny metropolita warszawski i całej Polski), stoją z prawej Helena Pavinski i Elżbieta Czykwin, rok 1988

kaliningradzki. Był autentycznie zadziwiony, gdy zobaczył kilka tysięcy młodych ludzi, czego nigdy się nie spodziewał w katolickiej Polsce. Patriarcha Kirył, oczywiście jeszcze w randze metropolity, przyjeżdżał także na organizowane przez nas konferencje. Kiedyś zaprosiłem go do domu na kolację. Elżbieta w kuchni obierała ziemniaki. Dzieci małe. „Może w czymś pomóc, może ziemniaki obiorę?" – zgłosił się do żony metropolita. Teraz w naszej kuchni funkcjonuje powiedzenie: „Może chcesz, żeby ci patriarcha pomógł?".

Wiele razy spotykałem się z patriarchą Kiryłem. Bardzo mu zależało na kontaktach studentów szkół teologicznych (o świeckich w czasach ZSRR nie było mowy) z naszą młodzieżą. Mieliśmy już aktywną współpracę z młodzieżą w Finlandii i włączyliśmy do niej Rosjan, w czym bardzo pomocna była pracująca w fińskiej dyplomacji Helena Pavinski. Po upadku Związku Radzieckiego widziałem jego głębokie rozczarowanie postawą chrześcijańskich Kościołów Zachodniej Europy. Hierarchowie ruskiej Cerkwi byli przekonani, że po upadku ideologii ateistycznej najbliższy nam dogmatycznie Kościół rzymskokatolicki przyjdzie Cerkwi z pomocą. Stało się inaczej – Zachód wysłał, jak określał patriarcha, hordy swoich misjonarzy, tłumacząc że posyła ich tylko do ateistów. Ale wtedy niemal wszyscy byli ateistami, oderwanymi od wiary ojców, czyli prawosławia. Kościół ogłosił Rosję polem misyjnym. To bardzo zaszkodziło wzajemnym relacjom. Prozelityzm Kościoła rzymskokatolickiego był powodem odwołania, uzgodnionego już, spotkania patriarchy Aleksego II z papieżem Janem Pawłem II w Wiedniu w 2002 roku.

Swoistym zwieńczeniem wieloletniego zaangażowania Kazimierza Morawskiego w budowę przyjaznych relacji z największym wschodnim sąsiadem było podpisanie przez patriarchę Kiryła i arcybiskupa Michalika w 2012 roku wezwania do narodów Polski i Rosji o pojednanie. W tym historycznym akcie, szczególnie w pierwszej fazie rozmów, czego byłem świadkiem, Kazimierz też miał niemały udział. Wyniszczony chorobą, zmobilizował się jeszcze, by spotkać na Okęciu patriarchę. Witając się z nami patriarcha powiedział: – To od Was wszystko się zaczęło. Te słowa były nagrodą i podziękowaniem za wieloletni trud Kazimierza. Przyjął je ze wzruszeniem. Wielokrotnie zastanawiałem się i nie znajduję odpowiedzi na pytanie: dlaczego ten arystokrata, potomek najznakomitszych polskich rodów, obdarzył mnie swoją przyjaźnią.

Także powstanie redakcji Przeglądu Prawosławnego nie byłoby możliwe bez wsparcia Kazimierza Morawskiego. Widziałem możliwości ChSS-u. Stowarzyszenie wydawało kolorowy tygodnik o stutysięcznym nakładzie „Za i Przeciw", także „Tygodnik Polski". Poprosiłem, by w jego ramach wydawać periodyk adresowany do społeczności prawosławnej. Morawski po stanie wojennym został członkiem Rady Państwa. Miał wtedy większe możliwości i rangę. Zapewnił mnie, że stowarzyszenie będzie opłacało kilka etatów dziennikarzy. To był wielki gest, trwający do jego śmierci, czyli do 2012 roku. Najpierw jednak przez półtora roku chodziłem po urzędach, by tam uzyskać zgodę. Okazało się, że w sytuacji, gdy w PRL ukazywało się kilkanaście kierowanych do katolików periodyków, decyzja czy prawosławna mniejszość ma prawo do wydawania pisemka, wtedy proponowanego jedynie jako skromny comiesięczny dodatek do „Tygodnika Polskiego", zapadała w Komitecie Centralnym PZPR. Dla mnie to było wielkie wyzwanie. Pieniądze na etaty są, ale chętnych do pracy dziennikarzy nie było. Idę do władyki Sawy. – Władyko – mówię – nie ma komu redagować pisma, a ja, kolejarz z zawodu, tego nie potrafię. A władyka: „Jak nie masz z kim, to rób sam". Dał pomieszczenie, błogosławił, skierował batiuszkę do pomocy. Zrobił, ile mógł. W pierwszym numerze ukazały się poważne teksty – profesorów Aleksandra Naumowa, Jerzego Nowosielskiego, władyki Jeremiasza. Byliśmy dumni. Drukowano pismo w Łodzi, składano w Warszawie. Przegląd to moje czwarte dziecko i kiedyś, gdy tłumaczyłem żonie, że nie jest ważniejszy od naszych dzieci, to z wyrzutem powiedziała, że pierwszy numer oglądałem jak pierworodnego syna.

Ale Przeglądu zapewne by już nie było, gdyby do redakcji nie przyszła w 1989 roku Anna Radziukiewicz. Ania mogłaby być cenioną publicystką w wielu ogólnopolskich tygodnikach. Wybrała jednak „lokalny" miesięcznik, gdyż wiedziała, że jest on potrzebny naszym ludziom. Pracując w Przeglądzie zredagowała jedenaście podręczników dla szkół, gdzie nauczany jest język białoruski, napisała kilka książek, m.in. „Na Wschód od Zachodu", „Bliski mi Wschód", pozwalających zrozumieć naszą historię, nasze, prawosławnych, w Rzeczypospolitej miejsce.

W 1985 roku Morawski zaproponował, bym kandydował do Sejmu. Wybory były wtedy fasadowe. Niemniej obecność w Sejmie dawała pewne możliwości. Zostałem wpisany na listę i zostałem posłem.

Słyszałem zarzuty pod moim adresem – dlaczego Cerkiew miesza się do polityki. Ale polityka miesza się do Cerkwi, odpowiadałem. Tamta obecność okazała się wtedy niezbędna. Zbliżał się koniec kadencji. Władza wtedy tak osłabła, że szykowano przyspieszone wybory 1989 roku, częściowo demokratyczne. I wtedy pojawił się projekt ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, przygotowany przez wspólną komisję rządu i Kościoła katolickiego. Przeczytałem go i ze zdziwieniem zauważyłem zapis – nieruchomości, które w przeszłości były własnością Kościoła greckokatolickiego (unickiego) przechodzą z mocy ustawy na własność Kościoła katolickiego. A decyzje komisji majątkowej w tej sprawie miały być ostateczne. Nie byłoby od nich odwołania. Dyrektorem Urzędu do Spraw Wyznań był wtedy Aleksander Merker, którego zapytałem: – Czy w mojej Orli cerkiew, która do 1838 roku była unicka, jeśli ustawa zostanie uchwalona, może przejść na własność Kościoła katolickiego? Przytaknął mi. Kościół rzymskokatolicki w Sejmie reprezentowali wtedy ksiądz, później

biskup Alojzy Orszulik, i mecenas Jacek Ambroziak, który w rządzie Mazowieckiego był ministrem administracji. Gdy się o coś pytano, padała odpowiedź: „Taką decyzję podjęto na komisji wspólnej".

Zacząłem ostrzegać, że dojdzie do niepokojów społecznych, jeśli ten zapis w ustawie przejdzie. Kilka razy pytałem, czy intencją Kościoła i rządu jest wzniecanie niepokojów na tle religijnym? Biskup Orszulik odpowiadał: – Panie pośle, kolejny raz powtarzam, że nie jest naszą intencją… Gdy po raz kolejny powtórzyłem pytanie, prof. Secomski, który prowadził obrady komisji, przerwał posiedzenie i zaproponował, by „prawosławni i katolicy spotkali się w tej sprawie". Do spotkania doszło w Urzędzie do Spraw Wyznań. Kościół katolicki reprezentowali biskupi Jerzy Dąbrowski i Kazimierz Romaniuk oraz prof. Andrzej Stelmachowski, Cerkiew władyka Jeremiasz i ja. I udało się nam przekonać stronę katolicką, żeby zrezygnowała z tego zapisu. Zapis zmieniono tak, że wyklucza próby rewindykacji świątyń będących w użytkowaniu innych Kościołów.

Następna kadencja to Sejm kontraktowy. Wtedy podjąłem próbę, by uregulować sytuację prawną naszej Cerkwi. W moim przekonaniu Bóg nad tym czuwał. Były dwa ostatnie posiedzenia Sejmu, bo kadencja skrócona. Masa projektów czekała na zatwierdzenie, przecież to czas reformy całej gospodarki, a tu udaje się projekt ustawy o stosunku państwa do Cerkwi wprowadzić na trzecie czytanie, na przedostatnim posiedzeniu! To była wola Boża! Opór oczywiście był, największy ze strony posła Włodzimierza Mokrego z Solidarności. Ale bardzo ważne okazało się przekonanie przeze mnie do uchwalenia tej ustawy prof. Bronisława Geremka i marszałka Sejmu, Mikołaja Kozakiewicza, którego mama, jak się okazało, była prawosławna.

Ustawy trzeba było przedtem komuś napisać. Nie było komu. Więc władyka Sawa powiedział: „Pisz sam". Wzorowałem się na katolickiej ustawie. Pomagali mi prawnicy Aleksander Stelmaszuk i Anatol Pańko, ale oni nie specjalizowali się w prawie wyznaniowym.

Ustawa, choć przy sprzeciwie znacznej liczby posłów, została uchwalona.

Jej uchwalenie przetarło drogę dla innych Kościołów mniejszościowych w Polsce, protestanckich czy gmin żydowskich. Choć w Senacie, po protestach biskupa obrządku greckokatolickiego Jana Martyniaka, odłożono kwestię uregulowania własności 24 cerkwi w diecezji przemysko-nowosądeckiej – problem rozwiązano dopiero w 2008 roku po skardze metropolity Sawy do Trybunału w Strasburgu – to uchwalenie ustawy „O stosunku państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego" miało ważne, wręcz historyczne, znaczenie.

Przy jej uchwalaniu pomagało nam wielu ludzi, wśród nich Józef Oleksy, którego poprosiłem, by był posłem sprawozdawcą w czasie trzeciego czytania. Muszę też powiedzieć kilka dobrych słów o Włodzimierzu Cimoszewiczu. Na jedno z posiedzeń komisji przyszedł przedstawiciel (świecki) Kościoła katolickiego i oznajmił, że Kościół ma wobec projektu negatywny stosunek. Patrzę po PZPR-owcach – to był Sejm kontraktowy – i piszę kartkę do Cimoszewicza: „Włodek, zabierz głos. Przemów do nich. Przekonaj!". Cimoszewicz zajął zdecydowane stanowisko, broniąc Cerkwi, a PZPR-owcy poszli za nim. Cimoszewicz wspierał prawosławnych także w sprawie Supraśla.

Sprawa Supraśla także dotarła na sejmowe forum. Byliśmy zaskoczeni nieprzejednanym stanowiskiem metropolity Stanisława Szymeckiego, zabiegającego o przejęcie monasteru przez Kościół rzymskokatolicki. Wspierali go historycy, nazywaliśmy ich „naukowcy do usług", którzy udowadniali unickie początki klasztoru. Zbieraliśmy podpisy znaczących osób, popierających przekazanie monasteru prawosławnym. Zebrałem 121 podpisów posłów, a Alik Naumow przysłał petycję podpisaną przez profesorów krakowskich uczelni, w tym ojca obecnej Pierwszej Damy Polski Agaty Dudy, Juliana Kornhausera. Ogromne zasługi w procesie odzyskania i odbudowy Supraśla poniósł metropolita Sawa, który kiedyś powiedział do nas: – Jeśli nie odrodzimy supraskiego monasteru, nikt dobrym słowem naszego pokolenia nie wspomni.

W kadencji 2001-2005 pracowałem nad ustawą o mniejszościach narodowych i etnicznych, bardzo dla mniejszości ważną. Prace nad nią ciągnęły się piętnaście lat. Została uchwalona przy rządach SLD. Opór przeciwko niej był ogromny. Używano argumentu, że zagrozi integracji państwa.

I jeszcze jedna ustawa – o wspieraniu z budżetu państwa naszego duchownego seminarium. Wszyscy wiedzieliśmy, że sprawa jest trudna, ale się udało. Przy jej procedowaniu z wdzięcznością wspominam postawę Andrzeja Smirnowa, przewodniczącego Sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży, oraz ówczesną minister Barbarę Kudrycką.

I na koniec o porażkach. Nie zdołałem przekonać większości sejmowej do poparcia projektu ustawy, której uchwalenie umożliwiałaby przyznawanie zadośćuczynienia prawosławnym rodzinom osób pomordowanych w latach powojennych przez oddziały zbrojnego podziemia. Rodzinom sprawców tych zbrodni, m.in. rodzinie Romualda Rajsa „Burego", zadośćuczynienia zostały wypłacone. W obecnej kadencji – stosowny projekt przygotowałem – podejmę kolejną próbę załatwienia tej szkodzącej wizerunkowi Polski jako demokratycznego państwa prawa sprawy. Nie zdołałem też przekonać działaczy białoruskich organizacji do wspólnego działania choćby w najważniejszych sprawach, a do takich zaliczam kwestie naszej wiary, języka i szerzej kultury oraz zagrożenia, wynikającego z wyludniania naszej małej ojczyzny.

Myśląc o Bractwie Młodzieży Prawosławnej, o ludziach, których spotkałem, o mojej pracy w Sejmie dziękuję za wszystko Bogu. Gdy przychodzą zwątpienia i smutek, pocieszam się, że poprzez moją skromną służbę świętemu prawosławiu nie zmarnowałem życia.

wysłuchała **Anna Radziukiewicz**

Antykomunizm, czyli upadek Polski

To tytuł najświeższej książki Andrzeja Romanowskiego, z podtytułem „Publicystyka lat 1998-2018". Tytuł może szokować. Jaki upadek! Nie tyle może o upadek autorowi chodziło, ile o przestrogę, że wszystko może się zdarzyć, jeśli będziemy znać tylko historię lukrowaną, czyli zaprawioną propagandą (polityka historyczna), jeśli ludzi tworzących najnowszą historię będziemy przedstawiać jedynie w bieli i czerni, przy czym w biel oblekając jedynie wybranych, jeśli nie nauczymy się pokory wobec własnych dziejów i siebie samych.

W zasadzie chyba majsterkowanie przy narodowej pamięci uznałabym za główny temat książki. Profesor opiera się na faktach, a nie rzeczywistości bajecznej. Mity poddaje intelektualnej rewizji. Nieraz z tego powodu cierpi, jak choćby w 1994 roku po opublikowaniu eseju w Tygodniku Powszechnym (nr 13) o Tadeuszu Kościuszce jako osobie, którą historia zmusiła do podejmowania kontrowersyjnych decyzji. Patriotyczna prawica trzęsła się z oburzenia, wzywając publicznie do odebrania autorowi tytułu profesorskiego. Ale i tak przez kolejne dziesięciolecia będzie przeciwstawiał się zbiorowości kochającej mit i kicz. Będzie napominał, za wielkim polskim historykiem **Józefem Szujskim**, że „fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki". Bo polityczne konsekwencje kłamstwa historycznego – doda – są porażające. Mogą nawet zrodzić mit o „spisku Tuska z Putinem" i „trotylu we wraku Tupolewa", a ten rozbija polską zbiorowość „na śmiertelnie ze sobą skłócone plemiona".

Czy **Andrzej Romanowski** ma tytuł do ostrzegania przed upadkiem? Jak mało kto w Polsce. Łączy w swojej osobie co najmniej trzy dziedziny – polonisty (Uniwersytet Jagielloński), historyka (Instytut Historii PAN) i publicysty (lata pracy w „Tygodniku Powszechnym", obecnie felietonista „Przeglądu"). I literaturę, i historię traktuje jako nauczycielkę życia, a nie sługę własnej partii czy awansu. Uważny i odpowiedzialny obserwator współczesnej polityki, widzi związek między przeszłością i współczesnością – ostrzega, krytykuje, podpowiada, naprowadza. Stawia trudne pytania władzy i Kościołowi. Pyta o geopolitykę i w niej „miejsce pod słońcem" Polski. Jasną myśl, pogłębioną, ubiera w język klarowny. Przy każdym problemie zmierza do sedna zjawiska.

I rzecz niemal niespotykana. Otóż jest to wybór publicystyki. Przy wyborze niemal zawsze powtarzają się myśli i całe wątki. Tu tego nie ma. Uderza świeżość spojrzenia na każdej stronie. W Polsce tak się przyjęło, że patriotą jest ten, kto myśli tak, jak nakazuje aktualna władza. Korzystający samodzielnie ze swojego intelektu i sumienia mogą spaść do kategorii ludzi „gorszego sortu". Prof. Andrzej Romanowski pozwala sobie na myśl własną, niezależnie od „utkanej" na dany okres normy. Pokażę tę myśl choć w kilku aspektach.

Pamięć wybiórcza

Zaznaczę, że Romanowski nie opowiada się ani za apologetyczną, ani za krytyczną wizją narodowych dziejów. Za realną się opowiada. Dlatego tak go boli, gdy pamięć zbiorową zastępuje się wybiórczą, gdy podważa się tożsamość historyka, niszczy jego warsztat. Widzi, jakie szkody w tym procesie czyni Instytut Pamięci Narodowej, nazwany przez niego w jednym z tekstów Instytutem Polowania Narodowego, w którym mówi o historii według IPN i już w 2008 roku proponuje rozwiązanie tej instytucji, celującej w wybiórczej pamięci.

A taka pamięć nie tłumaczy przeszłości, bo przemilcza ważne fakty, często rozmija się z prawdą, posługuje się zużytymi frazesami, sytuując się na poziomie propagandy. Do takich zalicza choćby frazy: „zbrodniczy charakter PRL", „PRL była państwem totalitarnym", „oprawcy stanu wojennego", także „wartości chrześcijańskie" (autor nie wie już, co pod tym pojęciem się kryje), zastąpienie terminu „radziecki" „sowieckim".

Termin „komunizm" został w Polsce wyprany ze wszelkiego sensu – czytamy. „Komunista" jest dziś wyzwiskiem najgorszym z możliwych, wskazującym na ostrość, zajadłość i demagogiczność oskarżenia. Tymczasem, upomina autor, komunizm, „ten potworny fenomen", choć pochłonął miliony istnień ludzkich, „był zarazem wielką, ponadnarodową ideą, posiadającą olbrzymią siłę atrakcyjną". Zastanawia się nad paradoksem, polegającym na tym, że apogeum wrogości dotknęło „komunistów" wtedy akurat, gdy oddali władzę, gdy zdecydowali się na odwołanie dogmatu, że raz zdobytej władzy nie oddadzą nigdy. Gdy zrobili krok w skali światowej bezprecedensowy, od którego zaczął się demontaż komunizmu w Europie Środkowej, a ten krok uczynił przede wszystkim gen. **Wojciech Jaruzelski**, w 1989 roku.

Profesor martwi się, że „nawarstwiające się kłamstwa tworzą spiralę wznoszącą, w której możliwe jest powiedzenie każdej już bzdury", jak choćby tej przeczytanej 18 września 2013 roku na Onecie: „Gdybyśmy przyjęli pozycję Hitlera, nie byłoby Auschwitz ani Katynia, Kreml zdobiłoby polskie godło, a w Europie bylibyśmy dziś najważniejszym graczem. Tak przynajmniej twierdzą polscy historycy". Martwi się, że dziś w społecznym obiegu opowieść o narodowej historii przestaje być *migistra vitae*, staje się nauczycielką bezmyślności, papką dla maluczkich.

Cytuje **Jerzego Giedroycia**: „Nikt nie ma historii tak skłamanej jak Polacy". A ta myśl pochodzi jeszcze z czasów przed IPN.

Problem Jaruzelskiego

Problem sądu nad generałem Wojciechem Jaruzelskim wraca w książce kilka razy, chyba jako jedyny. Autor upomina się o godną pamięć wobec tej postaci. Zauważa, że osoba generała stanowi „punkt wstydliwy" nawet dla najbardziej umiarkowanych centrystów. A powinna być – to sąd profesora – dla wszystkich Polaków tytułem do chwały. Bo oto Jaruzelski, który w roku 1981 stłumił Solidarność, w 1988 roku przeforsował jej relegalizację, rok później oddał jej władzę. W okresie swojej prezydentury współdziałał z pierwszym premierem III RP **Tadeuszem Mazowieckim** w demontażu komunizmu… „Czy można sobie wyobrazić większy triumf polskiej idei niepodległościowej?" – pyta. III RP była więc zbudowana przez obie formacje historyczne – postsolidarnościową i postkomunistyczną, ale taka myśl o „wspólnocie dziedzictwa" – zauważa – jest dla „polityków historycznych" grzechem nie do wybaczenia.

I gdyby nawet Jaruzelski nie współuczestniczył w przemianach, które doprowadziły do narodzenia III RP, to i tak trzeba go szanować za wierną służbę PRL. Po stronie PRL autor przypomina trzy oczywistości – że w latach 1944-1945 Polska została wydana – i to z błogosławieństwa wolnego świata – na łaskę i niełaskę **Stalina**, że jedyną siłą, która mogła ocalić odrębność państwową Polski, choćby wasalną, było ugrupowanie serwilistyczne wobec Sowietów: PPR, a później PZPR i że tylko temu ugrupowaniu Stalin miał interes podarować poniemieckie ziemie na zachodzie oraz że „gdyby Polacy nie przejęli zarządzania Polską, ktoś musiałby zrobić to za nich. A gdyby cały naród stał się Jednym Wielkim Żołnierzem Wyklętym, to cały naród by zginął". Cytuje **Czesława Miłosza**, który pisał w „Roku myśliwego": „Rzec można, że Polska istnieje z woli i łaski Stalina".

Autor sumuje, że za bezkrwawe, wręcz graniczące z cudem doprowadzenie kraju do wolności i demokracji Jaruzelski powinien dostać awans na Marszałka Polski i Order Orła Białego. Otrzymał zaś niekończące się procesy, codzienne szczucie, zamiar degradacji do stopnia szeregowca, wycie pod domem każdego 13 grudnia, kamień w głowę jako patriotyczną zemstę… A pogrzeb generała? Ekscesy na pogrzebie pokazały, że w dzisiejszej Polsce nie obowiązują żadne normy. I nawet Kościół nie zdał egzaminu z miłosierdzia i miłości podczas pogrzebu Jaruzelskiego.

Kult

Romanowski nie krytykuje papieża **Jana Pawła II**, choć zachęca do uczciwej i rzetelnej debaty nad jego pontyfikatem. Patrzy na to, ile co roku rośnie w Polsce pomników JPII i w październiku 2008 roku policzył, że w Krakowie stanął dziewiąty pomnik, a w Polsce zapewne czterechsetny lub czterysta pięćdziesiąty. Autor boleje może nie tyle nad gigantomią w tym względzie, ile nad tym, że przy polskim papieżu niknie, wątleje postać Chrystusa. I nad tym, że setki pomników papieża, przykrywających polską ziemię, przysłaniają historyczną Polskę, „w której sąsiadowały prawosławna czy unicka cerkiew oraz rzymskokatolicki kościół, a także luterańska kircha, muzułmański meczet, karaimska kenesa… Nie mówiąc już o żydowskich synagogach. Dziś zaś te pomniki współtworzą mit Polski Zawsze Wiernej, Polski Odwiecznie Katolickiej".

Polak – katolik

Niepokoi profesora, że dzisiejszy przekaz w mediach i w szkole mówi już niemal wyłącznie o przeszłości katolickiej. „To co niekatolickie, jest spychane w niebyt, marginalizowane, instrumentalizowane i zamazywane, a rolę katolicyzmu w Polsce ukazuje się wyłącznie afirmatywnie". Nawet dzisiejsze oblicze Przemyśla, Chełma, Drohiczyna nie ma uświadamiać innej przeszłości niż katolicka. W procesie niszczenia dziedzictwa Rzeczypospolitej Wielu Narodów widzi gorliwość



polskiego Kościoła i sekundujących mu samorządów i władz.

Wiele miejsca poświęca autor kwestii Kościoła rzymskokatolickiego i jego uwikłania w politykę. Nas to zdecydowanie mniej interesuje niż kwestia tego, co się dzieje na styku Wschodu i Zachodu, polsko-ruskim. A temu stykowi też poświęca kilka tekstów.

Na polsko-ruskim styku

Autor stwierdza, że dziś mamy odgrzany kilkusetletni polsko-rosyjski konflikt o Ukrainę, z parciem, by Ukraina, wzorem Polski, należała do struktur zachodnioeuropejskich. Właśnie Polska, zachęcając by Ukraina obrała opcję zachodnią, stała się stroną konfliktu, narażając się na konflikt z Rosją, jedynym mocarstwem w regionie, i ponosząc współodpowiedzialność za pomarańczową rewolucję, która miała także swoje krwawe żniwo. Tłumaczy: Rosja to Ruś i ta sprawa jest kluczowa. Ukraina to też Ruś. „Ruskość" Ukrainy jest w każdym razie nie mniejsza, a może nawet większa niż „ruskość" Rosji, tyle że Ukraina ma szczupłe tradycje państwowe, a przy tym jest zlepkiem różnych narodów, kultur i religii, odkąd Ruś Kijowska, nie tyle jako państwo ile przestrzeń kulturowa weszła w polityczne rozczłonkowanie,

a jej księstwa zachodnie (dzisiejsza Galicja) zaczęły ciążyć ku Zachodowi. Pozostałe ziemie trwały ponad dwieście lat w składzie Wielkiego Księstwa Litewskiego, nie tracąc ruskiego charakteru, od 1569 roku wchodziły w skład Korony. Kijowszczyzna i Czernihowszczyzna pozostawały w składzie Korony tylko 80 lat, potem przeszły pod panowanie Rosji. Rosja czuje się spadkobiercą Rusi. A Kijów jest kolebką Rusi, miastem świętym, nad którym Moskwa panuje w sposób faktyczny od połowy XVII wieku. A Charków, Ługańsk, Donieck czy Odessa panowania polsko-litewskiego nigdy nie zaznały. Kopalnie, huty i fabryki Zagłębia Donieckiego zakładane były na potrzeby całego rosyjskiego (sowieckiego) imperium. Krym był tatarski, a od końca XVIII wieku rosyjski, zasiedlony głównie przez Rosjan. Sewastopol stał się symbolem chwały oręża rosyjskiego. Krym podarowała Moskwa Ukrainie w 1954 roku. Państwo ukraińskie pojawiło się w 1991 roku. Co jest jego spoiwem? – pyta. I odpowiada: historia – nie, kultura – nie (Lwów ciągnie do Wiednia, Kijów do Moskwy), religia – nie (prawosławny wschód i centrum, unicki zachód), język nie (zachód mówi po ukraińsku, wschód po rosyjsku).

Tłumaczy swoim czytelnikom, jak trudny i złożony jest problem ukraiński, zwłaszcza jeśli się weźmie kontekst historyczny. Radzi, by polska „misja antyrosyjska” nie była w tym względzie jedyną nauczycielką układania stosunków polsko-ukraińskich, by rusofobia nie starczała teraz za całą polską myśl polityczną. Proponuje zastanowić się, czy w konflikcie rosyjsko-ukraińskim prowadzimy politykę zgodną z własną czy amerykańską racją stanu? „Czy nadal chcemy być w Europie „trojańskim osłem Ameryki?”

Wskazuje na to, że Rosja ma także zasługi wobec Ukrainy. Czytamy: „(…) jednoczenie ziem ukraińskich, dokonujące się od osiemnastego do dwudziestego wieku, byłoby nie do pomyślenia bez rosyjskiego, a potem sowieckiego, oręża”.

Wobec Rosji

Romanowski odrzuca zasadę, będącą podstawą specyficznego polskiego patriotyzmu – szkodzić Rosji gdzie się tylko da, mówiąc przy tym o niej ironicznie, szyderczo, doszukując się wszędzie tendencji imperialnych, nie dostrzegając niczego w Rosji sympatycznego. Skąd to poczucie wyższości i niechęci wobec Rosji się wywodzi – zastanawia się. Uważa, że nie tyle wyrasta ono z czasów zaborów, ile z okresu Sarmacji, czyli przeświadczenia o polskiej wyższości kulturowej. To poczucie wyższości jest dziedziczone do dziś. I tu cytuje publicystę **Piotra Skwiecińskiego**, który na łamach Rzeczypospolitej (31 stycznia 2013) zastanawia się nad tym, czy w XIX wieku mogła nastąpić rusyfikacja Królestwa Polskiego. I odpowiada: „Nie mogła (…) postąpić w sytuacji kulturowej wyższości żywiołu polskiego nad rosyjskim”. Romanowski żachnął się: „Powiedzieć coś takiego w kontekście XIX-wiecznej cywilizacji rosyjskiej, czasu Dostojewskiego, Tołstoja i Turgieniewa, Piotra Czajkowskiego i Dymitra Mendelejewa, pozostaje żałosnym świadectwem polskiej pychy”.

Z tej samej gazety (17 stycznia 2015) cytuje **Jerzego Surdykowskiego**: „Każde dziecko w Polsce wie, że Rosja to najgorszy z zaborców (…) Prusy mimo germanizacji – pozostawiły po sobie poszanowanie prawa, uprzemysłowienie i wielkopolską gospodarność. Austria – mimo galicyjskiej biedy – szanowała lokalne kultury i języki wielonarodowego imperium, (…) jedynie Rosja pozostawiła po sobie czarną dziurę prześladowań, ciemnoty i zacofania”.

Pamiętam jak przed Auchan w Fastach z dziesięć lat temu podczas festynu dla dzieci, zorganizowanego przed nowym rokiem szkolnym, zapytała prowadząca konkurs: – Który zabór był najcięższy? – Ro-syj-ski – dzieci odpowiedziały chórem. – Tak!... – na to prowadząca.

No więc z taką historyczną świadomością Romanowski polemizuje. Pisze, że w początkach XIX wieku najcięższy był zabór austriacki, rosyjski akurat był najlżejszy. Zabór pruski, w majestacie prawa, wynaradawiał najskuteczniej. Odnośnie „ciemnoty i zacofania – to car-król **Aleksander** ustanowił w Warszawie uniwersytet (w 1816 roku), carski generał **Sokrat Starynkiewicz** założył w Warszawie kanalizację i wybrukował ulice, Rosjanie w Mińsku Litewskim ufundowali szereg wysokonakładowych czasopism, podczas gdy Polacy wydawali tu wcześniej jedynie efemeryczną „Gazetę Mińską”.

Polska osiągnęła swoje strategiczne cele – czytamy w „Antykomunizmie…”. Należy do Unii Europejskiej, NATO. Wobec Rosji nie wykazuje żadnego gestu sympatii ani przyjaźni. Przy konflikcie na Ukrainie, w Gruzji i Czeczenii, opowiadała się za wszystkim, co tylko może zaszkodzić Rosji. Andrzej Romanowski przypomina, że Rosja niejedno ma imię. I nawet jeśli ktoś ostro krytykuje politykę prezydenta **Putina**, to Putinowie przychodzą i odchodzą, a Polska wobec swojego sąsiada, którego chce odsunąć jak najdalej od swych granic, nie powinna zachowywać się jak jastrząb, tylko jako mediator. Proponuje też, by Polacy zrozumieli Rosję, która od piętnastego do dwudziestego wieku nieustannie rozszerzała swoje imperium, a w końcu XX wieku zaczęła ustępować, kurczyć się. Proponuje więc zrozumieć jej ból kryzysu.

Anna Radziukiewicz

Andrzej Romanowski, *Antykomunizm czyli upadek Polski. Publicystyka lat 1998-2018*, Kraków 2019, ss. 432.

Przepraszamy Pana Tomasza Grzesia za pominięcie jego nazwiska przy podpisie zdjęcia z tegorocznego festiwalu Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej, zamieszczonego na stronie 35 w PP 10/2020, oraz inne osoby, których autorstwa we wcześniejszych numerach nie ustaliliśmy. Pragniemy także zapewnić, że dołożymy starań, by podobne zaniedbania nie powtórzyły się w przyszłości.

Wśród jesiennych liści znajdź brakujące słowa modlitwy do Anioła Stróża.

DANNYJ

TY MIA

BOŻYJ

SWIATYJ

ZŁA

DIEJANIJU

Anhiele _ _ _ _ _ _ ,

Chranitielu moj _ _ _ _ _ _ _ _ ,

na sobludienije mnie od Boha s niebiesie _ _ _ _ _ _ _ ,

prileżno molu tia: _ _ _ _ _ dnies' proswieti

i ot wsiakaho _ _ _ sochrani, ko błahomu _ _ _ _ _ _ _ _ _ _

nastawi, i na put' spasienija naprawi.

Amiń.

TRUD I MODLITWA

Pewna leniwa uczennica zapytała raz swą koleżankę, która zawsze miała odrobioną pracę domową i dobrze odpowiadała:

– Jak udaje ci się wciąż być przygotowaną do lekcji?

– Modlę się i proszę o pomoc w nauce Boga.

– No dobrze, ja też będę się modlić – powiedziała leniwa dziewczynka.

Następnego dnia poskarżyła się jednak swojej pilnej koleżance:

– Wczoraj wieczorem pomodliłam się, a mimo to dziś nie umiałam odpowiadać na lekcji.

– Uczyłaś się? – zapytała dobra uczennica.

– Nie.

– Teraz rozumiem, dlaczego nic nie potrafiłaś powiedzieć. Trzeba najpierw samej trochę się potrudzić, a potem prosić o pomoc Boga.



KRAKÓW
POKROW – ŚWIĘTEM MŁODZIEŻY

Biskup łódzki i poznański **Atanazy** błogosławił, by święto Opieki Matki Bożej – obchodzone 14 października – stało się świętem młodzieży diecezji łódzko-poznańskiej.

Młodzież zgromadziła się na Liturgii w cerkwi Zaśnięcia Bogarodzicy w Krakowie, służonej przez ojców **Mirosława Drabiuka** z Częstochowy, **Adama Weremijewicza** z Łodzi, **Pawła Sidoruka** z Radomia, **Jerzego Mogilewskiego** z Poznania, **Marcina Bielawskiego** z Krakowa. O. Paweł Sidoruk mówił w homilii, jak Bogarodzica pomaga każdemu na drodze do zbawienia.

W tym dniu odbyło się także walne zgromadzenie diecezjalnego Bractwa Młodzieży Prawosławnej.

Po nabożeństwie młodzież z duchownymi udała się na obrady. Wszystkich powitał o. Marcin Bielawski, duchowy opiekun bractwa diecezji.

O. Mirosław Drabiuk przybliżył historię oraz początki działalności młodzieży w ramach bractwa.

Przewodniczący bractwa diecezji łódzko-poznańskiej **Aleksiej Pawlenko**, którego ponownie wybrano na to stanowisko, opowiedział o tym, co młodzież robiła w diecezji w ubiegłym roku. Liczbę członków zarządu bractwa zwiększono z sześciu do dwunastu.

Spotkanie zakończono modlitwą i rozmową z jego duchowym opiekunem.

O. Marcin Bielawski





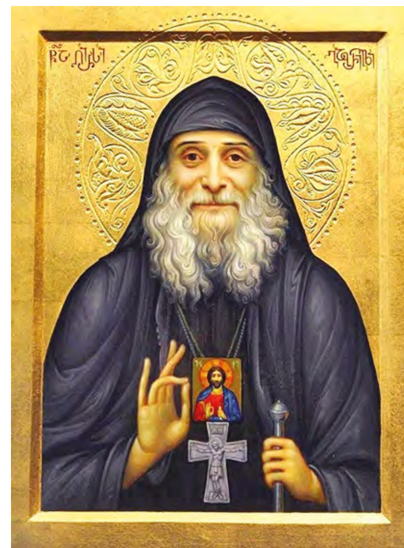


Fot. Tadei Makarczuk, Bohdan Petrenko, o. Marcin Bielawski

KONKURS PLASTYCZNY

Przypominamy, że do 2 listopada można składać lub nadsyłać prace plastyczne na konkurs (Redakcja Przeglądu Prawosławnego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok), którego tematyka powinna obejmować różne wydarzenia związane z rokiem liturgicznym. Do udziału zapraszamy uczniów klas I - III i IV - VI. O szczegółach konkursu pisaliśmy w poprzednim wydaniu PP oraz piszemy na naszej stronie internetowej www.przegladprawoslawny.pl w zakładce "Z kraju".

Redakcja merytoryczna : Maria Ptaszyńska, opracowanie graficzne: Anna Miszczuk



Współczesny gruziński święty

Podczas studiów na uniwersytecie w Szwajcarii otrzymałem od znajomego Gruzina ikonę św. Gabriela (Urgebadze), który został kanonizowany przez Gruzińską Cerkiew Prawosławną w 2012 roku. Po kilku miesiącach dane mi było spotkać się w Tbilisi i porozmawiać z katolikosem-patriarchą Eliaszem II, a także oddać pokłon relikwiom św. Gabriela w cerkwi Przemienienia Pańskiego w Mcchecie. Ten współczesny święty jest wspominany liturgicznie 2 listopada.

Św. **Gabriel (Urgebadze)** urodził w Tbilisi 26 sierpnia 1929 roku. Od dziecka wyróżniał się spokojnym usposobieniem i łagodnym charakterem. W wieku dwóch lat stracił ojca, zabitego w niewyjaśnionych okolicznościach. Wychowaniem syna zajęła się matka **Barbara**, kobieta wierząca, która później została mniszką o imieniu Anna. Zmarła w 2000 roku.

Św. Gabriel po ukończeniu szkoły został w 1949 roku powołany do wojska. Podczas służby w Batumi udawało mu się przestrzegać postu, a nawet potajemnie uczęszczać na nabożeństwa do miejscowej cerkwi św. Mikołaja Cudotwórcy, gdzie regularnie przystępował do Eucharystii. Po powrocie z wojska, w związku z publicznym i odważnym świadczeniem o swojej wierze, uważano go za chorego. Przyszły święty rozpoczął budowę kaplicy z siedmioma kopułami przed swoim rodzinnym domem. Na Liturgię chodził do soboru katedralnego Sioni w Tbilisi, gdzie decyzją katolikosa-patriarchy Gruzji **Melchizedeka III** został lektorem psalmów.

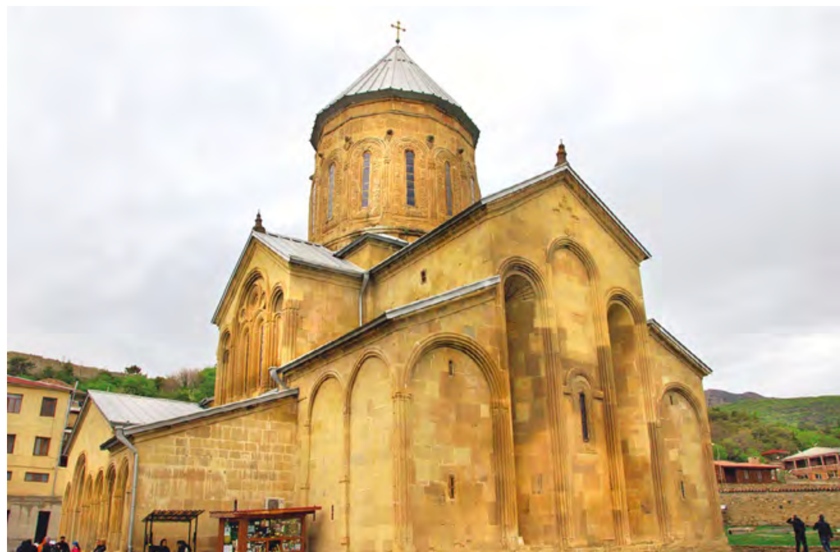
W styczniu 1955 roku otrzymał święcenia diakońskie. W kolejnym miesiącu przyjął stan mniszy w monasterze Mocameta nieopodal Kutaisi. W lutym 1955 roku odbyła się jego chirotonia kapłańska. W latach 1955-1960 służył w soborze katedralnym Sioni w Tbilisi, od 1960 roku przez dwa lata w monasterze w Betani. Po zamknięciu monasteru powrócił do Tbilisi, gdzie od 1962 do 1965 roku pełnił posługę kapłańską.

1 maja 1965 roku, w czasie pochodu, o. Gabriel podpalił dwunastometrowy portret Lenina, wywieszony na budynku Rady Najwyższej Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, za co został okrutnie pobity przez manifestujących. Z kilkunastoma złamanymi kośćmi został aresztowany za „antysowiecką działalność". Podczas przesłuchania z niezwykłym męstwem stwierdził, że „należy kłaniać się ukrzyżowanemu Chrystusowi, a nie Leninowi. Nie można czcić zwykłego człowieka, lecz tylko Boga". Po takich wyjaśnieniach zdiagnozowano u niego „osobowość dysocjalna, wierzy w istnienie Boga, aniołów. Podczas rozmów mówi o wierze, Bogu, ikonach". W kontekście tego zdarzenia niezwykle aktualne stały się słowa ojca pustyni św. Antoniego Wielkiego, żyjącego na przełomie III i IV wieku: „Przyjdą takie czasy, że ludzie będą szaleni i jeśli kogoś zobaczą przy zdrowych zmysłach, to powstaną przeciw niemu, mówiąc – jesteś szalony, bo nie jesteś do nas podobny".

Po siedmiu miesiącach o. Gabriel został zwolniony. Od tego czasu zaczął żyć jak *jurodiwyj*, czyli szaleniec dla Chrystusa. Chodził po ulicach i nawoływał do powrotu do wiary ojców, śpiewał modlitwy, m.in. *Hospodi pomiłuj*, po gruzińsku *Upalo szemickale*. W obecności ludzi udawał głupiego, aby ukryć swoją świętość. Takie zachowanie w kategoriach świeckiego myślenia to ogromne poniżenie, ale przed Bogiem ogromna wartość. Wymagało to od niego zdumiewającej odwagi, wielkiej duchowej siły i łaski Bożej. *Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co słabe, aby mocnych poniżyć* (1 Kor 1,27). Cerkiewna hierarchia pod wpływem ateistycznej władzy nie pozwalała mu uczęszczać na nabożeństwa. Ze względu na swoją dzielną postawę w głoszeniu Chrystusa był wyganiany z cerkwi. Sytuacja przysporzyła mu wiele goryczy. *Wszystkich, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, spotkają prześladowania* (2 Tm 3,12). Jednak liczne pokusy wzmocniły duszę o. Gabriela, dodały mu zapału i duchowych sił. Zgodnie ze słowami św. Jana Chryzostoma: „Choćby napadło cię tysiąc wilków i band złych ludzi, nie bój się niczego. Ciesz się więc i bądź dobrej myśli. Jak ogień podnosi wartość złota, tak i cierpienie, znalazłszy złote dusze, czyni je czystszymi i szlachetniejszymi". Ze względu na niezwykłą pokorę, szczerą chrześcijańską miłość, duchową mądrość i dar *prozorliwosti*, czyli przewidywania przyszłości, o. Gabriel był darzony czcią i szacunkiem przez wielu duchownych i świeckich.

W 1970 roku władze nakazały zniszczyć cerkiew, którą wybudował przed swoim rodzinnym domem przy ulicy Tetri Tskaro 11 w Tbilisi. Została uszkodzona. Ojciec Gabriel sam odbudował zniszczoną część cerkwi. Unikalna świątynia w stolicy Gruzji do dziś jest wymownym świadectwem jego wielkiego modlitewnego trudu.

Pewnego dnia o. Gabriel z powodu głośnego głoszenia kazania przy ulicy Rustaveli w Tbilisi został aresztowany.



Cerkiew Przemienienia Pańskiego w monasterze Samtawro w Mcchecie

Milicjanci postanowili zawieźć go motocyklem na posterunek. Podczas jazdy duchowny wysoko podniósł trzymany w ręku krzyż i jeszcze głośniej nawoływał: „Kochajcie Boga naszego Jezusa Chrystusa, kochajcie krzyż". Motocykl pędził przez stołeczne ulice, a *mantija*, czyli ubranie mnicha, powiewała jak sztandar. Było to spektakularne wydarzenie, które przykuło uwagę zateizowanego gruzińskiego społeczeństwa. W ten sposób funkcjonariusze milicji nieświadomie i niezamierzenie rozsławili imię o. Gabriela na całe Tbilisi.

W 1971 roku decyzją katolikosa-patriarchy **Efrema II** i metropolity **Eliasza** (obecnego patriarchy) archimandryta Gabriel został spowiednikiem żeńskiego monasteru Samtawro w Mcchecie, oddalonej od Tbilisi o około 20 kilometrów na północ. Duchowny niestrudzenie udzielał porad wszystkim przychodzącym do niego.

Pewnego dnia przybył do niego wyznawca hinduizmu. O. Gabriel wziął chleb, przeżegnał go i wnet pojawiły się woda, pszenica i ogień. Wyjaśnił, że tak samo istnieje jeden Bóg w trzech osobach, czyli Święta Trójca – Ojciec, Syn i Święty Duch. Znów uczynił znak krzyża i woda, pszenica i ogień ponownie zamieniły się w chleb. Tak jak niepodzielny jest chleb, tak Święta Trójca jest współistotna i niepodzielna. Ten cud w swojej wymowie jest bardzo podobny do tego, jaki św. Spirydon biskup Tremithus dokonał na I Soborze Powszechnym w Nicei w 325 roku z cegłą, która przekształciła się w ogień, wodę i glinę.

W ciągu ostatnich lat życia archimandryta Gabriel był cenionym starcem. Powtarzał, że tylko po owocach można poznać prawdziwego chrześcijanina, który powinien być przykładem łagodności, sprawiedliwości i szczerości. Przestrzegał przed cerkiewną hipokryzją, obłudą, zgorszeniem i kłamstwem. Zwracał się do ludzi: „Chodźcie do cerkwi, nie wyrzekajcie się Chrystusa i bez względu na wszystko starajcie się prowadzić prawdziwie duchowe życie". Pomimo licznych obelg, zniewag, niegodziwości i upokorzeń, których doświadczał od nieprzychylnych mu ludzi, zwracał się do wszystkich z szacunkiem.

Zmarł 2 listopada 1995 roku. Przy grobie św. Gabriela w monasterze Samtawro w Mcchecie miały miejsce liczne cudowne uzdrowienia dusz i ciał. Mnóstwo ludzi zaczęło przyjeżdżać z odległych miejscowości. 20 grudnia 2012 roku synod biskupów Gruzińskiej Cerkwi Prawosławnej podjął decyzję o jego kanonizacji. Wkrótce wiele ikon świętego zaczęło wydzielać pachnące miro. 22 lutego 2014 roku relikwie św. Gabriela wydobyto z ziemi i umieszczono w ozdobnym drewnianym relikwiarzu. Początkowo znajdowały się one w soborze katedralnym Świętej Trójcy (gruz. *Cminda Sameba*) w Tbilisi, który jest jedną z największych świątyń prawosławnych na świecie. 1 kwietnia 2014 roku z błogosławieństwa katolikosa-patriarchy Eliasza II zostały uroczyście przeniesione na stałe do cerkwi Przemienienia Pańskiego w monasterze Samtawro w dawnej stolicy Gruzji Mcchecie, którego historia, zgodnie z zachowanymi rękopisami, sięga IV wieku. W świątyni znajdują się również grobowce króla Iberii św. Miriana III (265-360) i jego żony królowej św. Nany, którym w uznaniu za zasługi dla gruzińskiej Cerkwi prawosławnej nadano miano „równi apostołom". Przyjęli oni chrześcijaństwo jako religię państwową w 326 roku. Gruzja stała się drugim na świecie, tuż po Armenii, państwem chrześcijańskim.

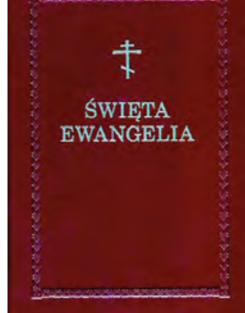
29 listopada 2015 roku relikwie świętego umieszczono w nowym rzeźbionym, kamiennym relikwiarzu wykonanym z białego onyksu, dostarczonego z Iranu.

Przed śmiercią do chorego starca Gabriela przybył lekarz chirurg **Zura Varazi**, który pobrał krew do analizy i badań. Po czterech latach podczas remontu w laboratorium nieoczekiwanie odnaleziono probówkę z krwią, która wbrew naturalnym procesom nie skrzepła i nie wyschła, pozostała płynna, jak świeża. Wywołało to zdumienie i konsternację wśród lekarzy. Z błogosławieństwa katolikosa-patriarchy Eliasza II umieszczono ją w grobie św. Gabriela. Ponieważ liczni pielgrzymi brali stamtąd po odrobinie ziemi i ciągle mogiłę rozkopywali, opiekująca się grobem mniszka **Paraskiewa** wyjęła ją i obecnie przechowuje u siebie. Wiele ludzi jest świadkami, że znak krzyża czyniony probówką z płynną krwią św. Gabriela jest źródłem wielu uzdrowień.

Cenionego starca jeszcze za życia odwiedził amerykański duchowny, o. **Gierasim** ze wspólnoty św. Germana z Alaski w Platinie w Kalifornii, będącej jednym z najbardziej znanych prawosławnych monasterów w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do ojczyzny napisał książkę „Wyznawca Chrystusa we współczesnym świecie", w której zawarł następujące słowa: „Ojciec Gabriel pobłogosławił nas. Pożegnaliśmy się. Wracaliśmy do siebie i nie mijało wrażenie, że byliśmy świadkami triumfu Cerkwi Nowego Testamentu w naszych czasach".

Andrzej Charyło

fot. **autor**, **www.monkgabriel.ge**



Nowe wydanie Ewangelii

Od pierwszego i drugiego wydania prawosławnego przekładu „Świętej Ewangelii" (w 2014 i 2015 roku) upłynęło niemało czasu. Nakład wyczerpał się stosunkowo szybko. W związku z wciąż dużym zainteresowaniem przygotowano kolejne wydanie, które ujrzało światło dzienne dokładnie 1 października.

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu jest dla wszystkich chrześcijan najświętszą księgą, swoistym elementarzem wiary. Jej rdzeniem jest bezsprzecznie Ewangelia – Dobra Nowina naszego Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

O ile przekładu Biblii na język starocerkiewnosłowiański dokonano jeszcze w IX wieku, to na jej tłumaczenie na język polski należało czekać aż do XVI stulecia.

Od tej pory ukazało się już co najmniej kilka pełnych polskich przekładów Pisma Świętego, żaden z nich nie był jednak uważany za odpowiadający naszej Cerkwi do użytku liturgicznego. Dlatego też podjęta została decyzja o dokonaniu przez komisję soborową oficjalnego, prawosławnego tłumaczenia.

Cztery Ewangelie, wchodzące w skład „Świętej Ewangelii", to niezwykły zapis życia i działalności Jezusa Chrystusa. Nie ma księgi bardziej przesyconej potem i krwią naszego Zbawiciela, księgi wskazującej wszystkim chrześcijanom drogę ku zbawieniu. Napisać o Ewangelii wiele, to nie napisać nic. Ewangelię, jak żadne inne zawarte w Biblii treści, trzeba znać, szanować i kochać. Ewangelia, jak żadna inna księga, powinna być codzienną lekturą każdego chrześcijanina. Ewangelia, jak żadna inna księga, powinna być dla nas źródłem przemyśleń, inspiracji i działań…

Prawosławne wydanie „Świętej Ewangelii" powinno znaleźć się w każdym prawosławnym domu, tym bardziej że we współczesnych zlaicyzowanych czasach coraz mniej naszych wiernych zdobyło umiejętność czytania po cerkiewnosłowiańsku.

Księga w twardej oprawie, zaopatrzona w tasiemki-zakładki, bez wątpienia znajdzie się również w każdej naszej cerkwi. Głoszenie słowa Bożego za pomocą tej Ewangelii będzie tym wygodniejsze, że zawiera ona wykazy czytań ewangelicznych na cały rok liturgiczny oraz na inne stosowne okoliczności.

Najnowsze wydanie „Świętej Ewangelii" można nabyć m.in. w Składzie Metropolitalnym w Warszawie (Al. Solidarności 52), siedzibie wydawnictwa (Białystok, ul. św. Mikołaja 5, tel./fax 85 744 36 46, wydawnictwo@orthodox.pl), Centrum Kultury Prawosławnej w Białymstoku, sklepiku Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Białymstoku i poprzez internet: http://sklep.cerkiew.pl/product_info.php?products_id=4733&osCsid=22d8a17f8625721d155e453859eaac74.

Jarosław Charkiewicz

Święta Ewangelia, wydanie trzecie poprawione, Warszawska Metropolia Prawosławna, Warszawa 2020, ss. 336.

Biblię w całości przetłumaczono na siedemset języków



W ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba pełnych tłumaczeń Biblii podwoiła się. W 1990 roku istniało 351 przekładów, natomiast w 2020 roku całą Biblię można przeczytać już w siedmiuset językach świata.

Oznacza to, że około 5,7 miliarda ludzi ma Biblię w swoim języku – podaje Christian Headlines.

Znaczny wzrost tłumaczeń Biblii w ciągu ostatnich dekad związany jest z postępem w technologii tłumaczeniowej, jak również ze wzrostem poziomu współpracy między autorami przekładów.

Rozpowszechnianiem i propagowaniem Biblii zajmuje się 146 krajowych towarzystw biblijnych na całym świecie.

Według Wycliffe Bible Translatons najnowszymi trzema tłumaczeniami Biblii są wersje w językach huichol (język Indian mieszkających w środkowym Meksyku), lomwe (język grupy etnicznej używany w Malawi i Mozambiku), a także igede (język grupy etnicznej w Nigerii).

Przetłumaczenie całej Biblii na nowe języki wymaga wielu lat pracy, gdyż związane jest z licznymi wyzwaniami na różnych płaszczyznach. Teksty biblijne, odzwierciedlające specyficzną kulturę starożytnego Bliskiego Wschodu, niełatwo jest przełożyć na rzeczywistość innych kultur.

Pojawiają się także dylematy dotyczące słownictwa teologicznego, gdyż niektóre kluczowe terminy w wielu językach nie istnieją.

Obecnie szacuje się, że około dwóch miliardów ludzi, czyli ponad jedna piąta wszystkich żyjących na świecie, nadal nie ma całej Biblii w swoim języku.

Andrzej Charyło
fot. **autor**

Zmarły we wrześniu Siergiej Choruży był człowiekiem nieprzeciętnym. Powiedzieć, że był filozofem lub teologiem, to zaszufladkować go i ograniczyć jego osobowość. Był to po prostu człowiek wielkiego formatu – doktor nauk matematycznych, fizyk, któremu bliska okazała się rodzima myśl rosyjska oraz teologia prawosławna, patrystyka, a w szczególności tradycja hezychastyczna. O nim jako o naukowcu najlepiej świadczy jego działalność translatorska. Dokonał dzieła tytanicznego – przetłumaczył z języka angielskiego na rosyjski powieść Jamesa Joyce'a „Ulisses". Każdy, kto miał choć raz w życiu tę książkę w rękach, wie co znaczy „wielki format". I tak jak wielki był Joyce, tak wielki był także Choruży.

Odszedł rosyjski myśliciel religijny

Urodził się w 1941 roku, szybko stracił matkę, wychowany został przez ciotkę. Skończył studia fizyczne i matematyczne. Do Kościoła prawosławnego przyszedł już jako dorosły. Przyjął chrzest z rąk o. **Aleksandra Mienia**, który wywarł wielki wpływ na młodego człowieka. **Siergiej Choruży**, zapytany o rolę o. Mienia w swoim życiu, odpowiadał zawsze: „Był to duchowny, który swoją postawą potrafił przyciągnąć młodzież rosyjską do świątyni. Potrafił zgromadzić wokół siebie inteligencję i przekazać jej religijne dziedzictwo kultury rosyjskiej, które w ZSRR było zakazane".

W czasach radzieckich Siergiej Choruży działał w *samizdacie*, pisząc i publikując teksty w obiegu podziemnym. W latach 90. zaczął działać oficjalnie. To wtedy pracował przy wydawaniu dzieł zebranych **Pawła Florenskiego** i innych filozofów religijnych. Mimo że w rodzącej się stopniowo w jego głowie nowej koncepcji filozoficzno-teologicznej nie było już miejsca dla koncepcji z epoki Srebrnego Wieku, to jednak z wielkim podziwem i szacunkiem odnosił się do tych mistrzów.

Można nawet powiedzieć, że w pewnym sensie był jednym z nich, kimś, kto przywracał myśli religijnej należyte miejsce w kulturze rosyjskiej. Badał także tradycję hezychastyczną, jest autorem olbrzymiego zbioru „Hezychasmos", który do dziś jest najlepszym źródłem wiedzy o tekstach ascetycznych. W tym samym czasie zaczął przekonywać się, że nowa religijna myśl rosyjska powinna odwoływać się do odradzającej się w drugiej połowie XX wieku tradycji hezychastycznej. Dlatego swoją koncepcję filozoficzną nazwał antropologią synergiczną, którą należy rozumieć jako naukę o człowieku w świetle jego relacji (współpracy) z Bogiem.



Choruży był pewien, że tylko w całokształcie ludzkiego doświadczenia, w którym znajduje się także doświadczenie religijne, można zrozumieć człowieka. W zasadzie ostatnim filozoficznym pytaniem, które nurtowało go najbardziej, było pytanie Diogenesa: „Kim jest człowiek?". Lektura jego dzieł pozwala nam zrozumieć, że najbardziej przerażało go rozmycie się pojęcia „człowiek". Dlatego, tworząc Instytut Antropologii Synergicznej przy Wyższej Szkole Ekonomii Uniwersytetu Państwowego w Moskwie, spróbował jako myśliciel opowiedzieć o różnorodnych problemach antropologicznych, o potrzebie ponownego poznania siebie, zaangażowania się we własne człowieczeństwo, we własną tradycję religijną i intelektualną. Jego ostatnie publikacje, wydawane w ramach projektu „Lampa Diogenesa", były próbą odpowiedzi intelektualisty na kryzys antropologiczny, w jakim znalazła się kultura współczesna.

Siergieja Chorużego poznałem zimą 2009 roku, przygotowując się do pisania pracy magisterskiej w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. O. **Henryk Paprocki**, przyjaciel Chorużego, pomógł mi się z nim skontaktować, mówiąc jednocześnie, że każdy, kto interesuje się palamizmem, powinien przeczytać dzieła tego współczesnego filozofa rosyjskiego.

W Polsce w tamtym czasie znana była tylko jedna jego książka *Posle piererywa*. Pozycja ta jest swego rodzaju podsumowaniem filozofii rosyjskiej okresu Srebrnego Wieku. To bardzo interesujące przedstawienie głównych idei rosyjskiej myśli religijnej, począwszy od idei soborowości **Aleksego Chomiakowa**, przez ideę wszechjedności, sofiologię **Sergiusza Bułgakowa**, symbolizm Pawła Florenskiego, filozofię **Lwa Karsawina**, skończywszy na okresie rewolucyjnym, na emigracji i na wielkim filozofie okresu prześladowań religii – **Aleksym Łosiewie**. Sam tytuł książki sugeruje nam, że okres ZSRR był przerwą w rozwoju myśli rosyjskiej, a po upadku tego bezbożnego systemu pojawiła się możliwość kontynuowania i rozwijania tego, co zapoczątkowali rosyjscy myśliciele religijni. A w Srebrnym Wieku zapoczątkowano przede wszystkim żywy dialog ze współczesnością, zaangażowano inteligencję w życie i teologię Kościoła, otwarto się na problemy współczesnego człowieka. Tak też rosyjską myśl religijną chciał postrzegać i rozwijać Siergiej Choruży.

Spotkanie z prof. Chorużym w 2009 roku było wyjątkowe. Do swojego

mieszkania w *mikrorajonie Biełaja Dacza* pod Moskwą zaprosił mnie niewysoki człowiek w okularach zawieszonych na sznureczku. Był bardzo życzliwy i gościnny. Pokazał mi dwie swoje świętości – kącik z ikonami, w którym znajdowały się pisane ikony, odwołujące się do dawnych tradycji ikonograficznych Rusi, i bibliotekę. W mieszkaniu o powierzchni około stu dwudziestu metrów kwadratowych połowę stanowiła biblioteka. Cały salon był zastawiony regałami z książkami, a wśród nich całą klasyką literatury światowej, klasyką filozofii, nauk ścisłych, itp. Siergiej Choruży podszedł do regału z dziełami filozofów rosyjskich i wyjął jedną, chyba najcenniejszą dla niego, książkę – *Stołp i utwierżdienije Istiny* Pawła Florenskiego. Było to pierwsze jej wydanie, z oryginalnymi rysunkami o. Pawła, w oryginalnych kolorach. To jego dziełom Siergiej Choruży poświęcił dużą część swojego życia. I to do tego filozofa czuł największy sentyment. Pracował przy wydawaniu jego dzieł, fascynował się jego wszechstronnością. Być może dlatego, że sam był fizykiem, umysłem ścisłym, który inaczej postrzega kwestie filozoficzne i teologiczne niż przeciętni filozofowie i teologowie. Można nawet powiedzieć, że Choruży, dzięki matematyczno-fizycznemu przygotowaniu, potrafił głębiej rozróżniać niuanse filozoficzno-teologiczne koncepcji patrystycznych oraz filozoficznych swoich poprzedników.

Podczas rozmowy Siergiej Choruży był bardzo precyzyjny. Kładł nacisk na to, by rozmówca go zrozumiał, chciał każdego zapoznać ze swoimi ideami. Nie rozróżniał studenta i profesora, każdego traktował życzliwie i starał się mu pomóc. Podpowiadał lektury, prosił o częstsze pisanie własnych tekstów i przysyłanie mu do korekty, zapraszał do współpracy naukowej. Innymi słowy, potrafił dzielić się wiedzą oraz przyjmować spostrzeżenia innych. Tego wieczoru udało mi się przeprowadzić z profesorem obszerny wywiad, w którym bardzo rzetelnie, skrupulatnie i niesamowicie precyzyjnie opowiadał o swojej pracy, swojej koncepcji antropologii synergicznej i o niuansach tradycji hezychastycznej. Hezychazm, czyli tradycja ascetyczna Kościoła wschodniego, ujęła go formą i treścią, jaka się za nią kryje. W swoich pracach starał się pokazać, że odkrywane w XX wieku jako nowe koncepcje filozoficzne, psychologiczne czy pedagogiczne zostały opisane dużo wcześniej w pismach ascetycznych. Uważał, że hezychazm jest jedyną tradycją europejską, która w precyzyjny i zrozumiały dla naszej kultury sposób opisała całokształt doświadczenia ludzkiego. Twierdził nawet, że właśnie hezychazm, w kontekście antropologicznym, daje najwięcej możliwości współpracy ze współczesnymi koncepcjami, ponieważ tak jak one jest wyrażony w języku europejskim, w europejskich kategoriach.

Właśnie temu poświęcona została inna książka Chorużego *Diptich bezmołwija* („Dyptyk milczenia"). Można ją nazwać wprowadzeniem do tematyki antropologii synergicznej, którą rozwinął rosyjski myśliciel. Dostrzegłszy wcześniejszych myślicieli nierozwinięty temat, uznał, że wspólne współczesnej myśli filozoficznej i teologicznej jest zainteresowanie człowiekiem. To próba ukazania filozoficznych i teologicznych fundamentów myślenia o człowieku. W zasadzie od tej książki rozpoczyna się wyraźny zwrot Chorużego w kierunku tworzenia filozofii człowieka. W oparciu o doświadczenie duchowe Cerkwi, o tradycję hezychastyczną, Choruży stworzył współczesną filozofię człowieka. I to jest właśnie jego największą zasługą.

W ostatnich dziesięciu latach życia dużo podróżował. Zapraszano go z wykładami do wielu państw świata, najczęściej odwiedzał Chiny i USA.

W Polsce był kilkakrotnie. Zapraszano go z cyklem wykładów na Uniwersytet Warszawski oraz na inne uczelnie. Stał się postacią ważną dla polskich badaczy filozofii rosyjskiej, ale przede wszystkim zainteresował wielu swoim spojrzeniem na filozofię i teologię. W swoich książkach ożywił dawną teologię bizantyńską, zestawiając ją z myślą współczesną. Zawsze, odwiedzając Polskę, prosił o spotkanie, rozmowę, podzielenie się nowymi doświadczeniami naukowymi. Ostatni raz odwiedził nasz kraj w listopadzie 2017 roku. Opowiadał wówczas przy herbacie o swoich planach naukowych, o coraz większym zainteresowaniu jego książkami w Europie i o europejskiej społeczności akademickiej, która z nim współpracuje.

Jeden z rosyjskich teologów nazwał go „ostatnim wolontariuszem teologii" i jest to trafne określenie. Zmarł człowiek, który był wybitnym myślicielem religijnym. Swoją aktywnością naukową nawiązywał do tej pięknej szkoły teologicznej, która u nas w Polsce była obecna w dwudziestoleciu międzywojennym w Studium Teologii Prawosławnej przy Uniwersytecie Warszawskim. Wśród wykładowców Studium było wielu świeckich teologów – **Mikołaj Arsieniew**, **Aleksander Łotocki**, **Bazyli Bidnow**. Siergiej Choruży był taki jak oni. Jego śmierć zaskoczyła wszystkich. W Rosji można usłyszeć, że jego odejście „wyraźnie świadczy o tym, że XX wiek pod względem kulturowym się zakończył" (**E.A. Tacho-Godi**), a Choruży, „co nie podlega żadnej wątpliwości, był rzeczywiście świetlistym zjawiskiem naszej kultury" (**W.G. Morow**). Można więc powiedzieć, że wraz z tą śmiercią nastąpił kres postrenesansu rosyjskiego, który tworzyli wielcy myśliciele – **S. Awierincew**, **W. Bibichin**, S. Choruży i inni.

Co przyniesie przyszłość? Można tylko mieć nadzieję, że ich dziedzictwo będzie docenione i kontynuowane, tak jak oni kontynuowali intelektualne dzieło swoich poprzedników. Zasłużona dla kultury rosyjskiej filolog i filozof, uczennica i żona Aleksego Łosiewa, prof. Aza Tacho-Godi, o Chorużym napisała: „Siergiej Siergiejewicz był wyjątkowym i interesującym człowiekiem! Był wspaniałym człowiekiem, który miał dobrą duszę!".

Niech Pan Bóg przyjmie jego dobrą duszę tam, gdzie sprawiedliwi pokojem się cieszą!

o. Łukasz Leonkiewicz
fot. **archiwum autora**

Odszedł o. Mikołaj Mielniczuk

W nocy z 7 na 8 października zmarł w wieku 65 lat, dzień po swoich urodzinach, o. Mikołaj Mielniczuk. Był zawsze pogodny i uśmiechnięty, jakby dawał sygnał wiernym – gotów jestem was wysłuchać, porozmawiać z wami.

Ojca **Mikołaja** znałam od 1983 roku, czyli od czasu, kiedy zaczął służyć w Siemiatyczach, wtedy w jedynej cerkwi w mieście, św. Apostołów Piotra i Pawła. Przyszedł do Siemiatycz z parafii w Łosince, gdzie przez kilka lat, od 1981 roku, był psalmistą. Dla 26-letniego duchownego, który właśnie ukończył duchowne seminarium i Chrześcijańską Akademię Teologiczną i otrzymał święcenia diakońskie (29 marca 1981) od metropolity Bazylego, była to pierwsza parafia. Również metropolita Bazyli wyświęcił go na kapłana (18 stycznia 1987). Po święceniach kapłańskich o. Mikołaj był wikariuszem – najpierw *Piotropawłowskiej* cerkwi w Siemiatyczach, a od 1996 roku, przez piętnaście lat, w *Woskresieńskiej*, gdzie wszystko było w budowie – i cerkiew, i wspólnota.





Musiał się tu sprawdzić i jako duszpasterz i organizator, skoro po śmierci o. **Eugeniusza Niesteruka** został mianowany proboszczem jednej z najstarszych w Polsce prawosławnych parafii, w Mielniku.

Tu z niezwykłym oddaniem kontynuował dzieło swoich poprzedników. Kiedy odwiedziłam o. Mikołaja Mielniczuka dwa lata temu, u schyłku pięknego, słonecznego lata, ciągle wskazywał na dokonania poprzednich proboszczów, choć dzieło „jego czasu" było dobrze widoczne.

To przy nim z zewnętrznych murów cerkwi zbito stary „baranek". Położono nowy tynk. A cała elewacja zaczęła grać sensem, kolorami i dyskretnym urokiem. Sensem? Bo w dziesięciu niszach na dzwonnicy **Jarosław Wiszenko**, ikonopisiec z Mielnika, rozpisał ikony. Biała elewacja zaczęła „grać" pomarańczem i błękitem, ponieważ tymi kolorami, zgodnie z propozycją Wiszenki, pomalowano gzymsy, pilastry i łuki. Prowadzą do niej granitowe schody, a przez ozdobną kutą kratę turyści mogą oglądać wnętrze. Wykonano też niemało prac restauracyjnych wewnątrz cerkwi. Tchnęła świeżym blaskiem kolumn, chóru, sklepienia, na którym pojawiły się w medalionach ikony, napisane przez tego samego mielnickiego ikonopisca.

Kiedy wyszłam z cerkwi i spojrzałam na rozległą dolinę Bugu, zobaczyłam cmentarz i drewnianą cmentarną cerkiew. Jej remont zewnętrzny, dzięki uzgodnieniom konserwatorskim i dotacji pozyskanej przez o. Eugeniusza, przeprowadził już o. Mikołaj, przy którym wykonano też rozległy parking przed cmentarzem, okolonym kamiennym murem oraz wyłożono płytami główną aleję. Przy o. Mikołaju wyremontowano dom parafialny.

Mielnicka cerkiew i cmentarz rozlokowały się w cieniu Góry Zamkowej. A na niej stała kaplica św. Aleksandra Newskiego, w okresie międzywojennym rozebrana jako „zbędny obiekt". Marzeniem o. Mikołaja było na pewno odtworzenie tamtej kaplicy. Bo inną, przy nim właśnie dokończoną, po wschodniej stronie Mielnika, jakże uroczą, drewnianą, krytą strzechą, postawiono na rozstaju dróg.

O. Mikołaj był po prostu dobrym, troskliwym gospodarzem i przede wszystkim dobrym duszpasterzem, który modlitwę i *propowied'* w cerkwi przedłużał, organizując spotkania, wystawy, pielgrzymki do miejsc świętych w swojej parafii i poza nią.

Wiecznaja pamiat', ojcze Mikołaju!

Anna Radziukiewicz, fot. **autorka**

Człowiek modlitwy



Biskupem był często więzionym, znanym z nieprzejednania wobec *raskolników*, *obnowleńców* i jednocześnie czułej troski o wiernych. Objawił mu się Onufry Wielki. Zginął jako męczennik. Święty Onufry, arcybiskup kurski i obojański, bo o nim mowa, połączył swoim życiem Chełmszczyznę, Charków, Kursk, kraj chabarowski. W pierwszą niedzielę listopada wspomina go niewielka parafia prawosławna św. Marii Magdaleny w Puławach.

Puławy oddalone są o jakieś trzydzieści kilometrów od Opola Lubelskiego. Tu, w położonej na uboczu leśniczówce, w 1889 roku urodził się **Antoni**. Był szóstym dzieckiem leśniczego **Maksyma Gagaluka**, prawosławnego, i jego żony katoliczki, **Katarzyny**. Po śmierci ojca bieda dała się rodzinie we znaki. Chłopiec pocieszał: „Mamusiu, nie płacz. Jak będę biskupem, wezmę cię do siebie". Słowa się sprawdziły, ale wcześniej przyszło im wypić głęboki kielich goryczy. Przede wszystkim trzeba było oddać chłopca do sierocińca. Potem była szkoła parafialna, a po niej decyzja o wstąpieniu do słynnego Chełmskiego Seminarium Duchownego. Zachorował, ciężko. Ukazał mu się starzec, który chciał, by Antoni, poświęcił swoje życie Bogu i ludziom. Chłopak, poruszony wizją, zgodził się. Wyzdrowiał. Po latach na ikonie w monasterze w Jabłecznej rozpoznał, że odwiedził go **Onufry Wielki**.

Ukończył seminarium. Duży wpływ wywarł na niego ówczesny biskup chełmski i lubelski **Eulogiusz**. Rozpoczął studia teologiczne na petersburskiej akademii. Jeszcze jako student został nauczycielem teologii dla nauczycieli w monasterze w Jabłecznej. Postanowił zostać mnichem. Śluby zakonne złożył 5 października 1913 i przyjął imię Onufry. Już w grudniu został wyświęcony na kapłana. W 1915 ukończył studia teologiczne i rozpoczął pracę wykładowcy w seminarium w eparchii chersoneskiej, przy monasterze św. Grzegorza. Tu zastał go wybuch wojny domowej. Trafił do Berysławia w obwodzie chersońskim, tam został proboszczem cerkwi Zaśnięcia Matki Bożej. I tak jak zapowiedział kiedyś mamie, w 1923 roku został biskupem. Dokładnie biskupem jelizawietgradzkim, wikariuszem eparchii chersońskiej i odeskiej. Gdy przyjechał do powierzonego mu miasta, został zatrzymany. Działali tu *obnowleńcy* z Żywej Cerkwi, wspomaganej przez nowe władze. Biskup Onufry już wtedy pokazał, że wobec *raskolników* będzie nieprzejednany. Nauczał, pisał listy pasterskie, listy do dzieci duchowych. Oskarżono go również o działalność szpiegowską, po czym uwolniono w maju 1923, po podpisaniu przezeń zobowiązania, że nie powróci do Odessy. Biskup wyjechał wówczas do Krzywego Rogu, gdzie ponownie zaangażował się w zwalczanie Żywej Cerkwi. Po wydaniu kolejnego listu pasterskiego w tej sprawie, został ponownie zatrzymany i w styczniu 1924 wypuszczony po zobowiązaniu, że pozostanie w Charkowie.

Owo nieprzejednanie młodego hierarchy zauważył patriarcha **Tichon**. Bacznie obserwowały go władze świeckie. I tak jesienią 1926 roku został skazany na trzy lata zesłania we wsi Kudymkor na Uralu. Nie mógł odprawiać nabożeństw. Skupił się na pisaniu. Nie złamał się. Po zakończeniu zesłania osiedlił się w Starym Oskole koło Biełgorodu. Został biskupem starooskolskim. We wspomnieniach pozostał jako kapłan skupiony na modlitwie. Tutejsi wspominali go jako dobrego kapłana (telewizja „Soyuz" nagrała dokument, uwypuklający ten okres życia świętego *Strannik idziot*).

Kiedy mianowano go arcybiskupem kurskim i obojańskim, wyjechał na północ. Nie pozwalano mu na opuszczenie Kurska. W 1935 roku został aresztowany pod zarzutem zbyt częstego głoszenia kazań, nielegalnego udzielania święceń zakonnych oraz wspierania kapłanów prawosławnych wracających z zesłania. Został skazany na 10 lat łagru i przewieziony do Kraju Chabarowskiego.

W lutym 1938 przeciwko arcybiskupowi wszczęto śledztwo w sprawie domniemanej działalności kontrrewolucyjnej i skazano na śmierć. Został rozstrzelany 1 czerwca 1938. Data śmierci długo pozostawała nieznana.

Święty podczas swojej piętnastoletniej służby biskupiej był więziony 11 razy. „Widzimy w tym świętym gorliwego pasterza, który do końca wypełniał swoje biskupie obowiązki i oddał życie za owczarnię, powierzoną mu przez Chrystusa, w jego życiu wspaniały przykład «obcowania świętych», którzy w każdej chwili naszego życia wstawiają się za nami i pomagają nam nie tylko w sprawach doczesnych, ale przede wszystkim w duchowych. Może on także patronować wszystkim apostołującym za pomocą słowa drukowanego, gdyż w tej działalności kierował się myślą: «Podczas gdy słowo wypowiedziane pobudza wiernych do modlitwy, pisane wzmacnia jej siłę»" – pisał w 2005 roku z okazji tygodnia modlitw o jedność chrześcijan w katolickim Tygodniku Niedziela brat **Marek Urbaniak**.

Święto ku czci męczennika w 2013 roku ustanowił arcybiskup lubelski i chełmski **Abel**. To było wielkie wydarzenie, wszak parafia prawosławna w Puławach została reaktywowana ledwie dziesięć lat wcześniej. W świeżo zbudowanej cerkwi pojawiła się ikona świętego, w stroju biskupim, z charakterystycznymi długimi włosami wypuszczonymi na *mantii*. Tu, tak jak w Charkowie, Starym Oskole czy Kursku wierni za jego pośrednictwem kierują modlitwy ku Najwyższemu.

Natalia Klimuk

Zasnął w Panu starzec Tymoteusz

23 września w swej mniszej celi po długotrwałej onkologicznej chorobie zasnął w Panu archimandryta Tymoteusz (Sakkas) z greckiego monasteru Paraklitu. Archimandryta był człowiekiem wielkiej wiary, w pełni poświęcił się służbie Bogu i ludziom. Na podstawie jego życia można byłoby napisać niejedną książkę i nakręcić niejeden film. Przez trzydzieści lat był ihumenem monasteru w Milesi w rejonie Oropos (Attyka) niedaleko Aten.



Ojciec **Tymoteusz** urodził się 22 stycznia 1933 roku w Woroneżu w Związku Radzieckim w rodzinie greckich emigrantów **Georgiosa** i **Despiny Sakkas**, pochodzących z Eupatorii. Familia Sakkas wywodziła się z Pontu, z którego musiała emigrować na skutek czystek etnicznych, jakich na chrześcijanach dopuszczali się Turcy. Osiedliła się na Krymie, najpierw w Eupatorii, następnie w Sewastopolu. Ciekawostką jest to, że ród Sakkasów wywodzi się od słynnego greckiego filozofa **Ammoniosa Sakki** (ur. około 175 roku, zm. około 242), nauczyciela Plotyna i Orygenesa.

W związku z tym, że rodzice nie chcieli zrzec się greckiego obywatelstwa, byli poddawani szykanom i wywózkom. W 1938 roku Sakkasowie, podobnie jak inni greccy mieszkańcy Eupatorii, zostali wysiedleni z miasta. Przenieśli się do Sewastopola, gdzie mieszkał dziadek, ojciec mamy Tymoteusza. Spokój trwał tam krótko. Georgios Sakkas znów odmówił zrzeczenia się greckiego obywatelstwa, za co został zesłany na Syberię, z której powrócił na początku 1941 roku.

Wojna niemiecko-radziecka przyniosła Sewastopolowi zniszczenie, mimo to greckie rodzinny nie opuściły miasta i żyły w trudnych warunkach okupacji. Dwukrotnie Bóg uchronił starca od śmierci. Raz, gdy w czasie godziny policyjnej żandarmi niemieccy strzelali, a pociski świstały tuż obok niego. Za drugim razem, kiedy z pojmanymi w łapance oczekiwał na rozstrzelanie, uratował go przechodzący niemiecki oficer. Zabrał małego Tymoteusza spod ściany, mówiąc do zdziwionych żołnierzy, że Wehrmacht z greckimi dziećmi nie walczy.

Wyzwolenie spod niemieckiej okupacji nie przyniosło radości. Władze radzieckie zaczęły deportować rdzenną ludność Krymu – tatarską, ormiańską i na koniec grecką. Rodzina o. Tymoteusza, podobnie jak wiele innych greckich rodzin, została zesłana do Uzbekistanu. Życie tam było bardzo trudne, wielu deportowanych zmarło, ale jak wspominał o. Tymoteusz, Uzbecy okazali się ludźmi sprawiedliwymi i dobrymi, pomagającymi greckim zesłańcom.

Drogę greckiej rodzinny do ojczyzny można porównać do antycznego powrotu Odyseusza na rodzinną Itakę. Gdy w 1948 roku nadażyła się okazja do opuszczenia „sowieckiego raju", przez Moskwę dotarli do Odessy, by tam wsiąść na statek płynący do wymarzonej Hellady. Niestety, przez długi czas żaden statek grecki nie zawijał do tego portu. Georgios Sakkas, bojąc się anulowania przez władze zezwolenia na opuszczenie Związku Radzieckiego, zdecydował się wsiąść na włoski statek płynący do Brindisi. Płynęli przez Chersoń, Konstantynopol, Bejrut, Hajfę, Neapol. Z Włoch przez grecką wyspę Korfu, następnie miasta Patra i Lutraki dotarli do Aten.

W Grecji młody Tymoteusz chciał zostać artystą malarzem, niestety realia życia zmusiły go do pracy w zakładzie rzemieślniczym. W międzyczasie kontynuował naukę. Miłości do farb nigdy nie utracił, szczególnie uwielbiał sceny marynistyczne.

Już w gimnazjum związał swoje życie z Bractwem Świętej Trójcy, nad którym opiekę sprawował atoski mnich, o. **Cherubin** (**Karambelas**). To on został jego duchowym mentorem i ukształtował życiową drogę przyszłego starca.

W 1962 roku został mnichem i otrzymał święcenia diakońskie, rok później ukończył studia teologiczne na Uniwersytecie Narodowym im. Kapodistriasa w Atenach. W 1964 roku otrzymał święcenia kapłańskie i został proboszczem parafii św. Pantelejmona na przedmieściach Aten. W 1966 roku wyznaczono go na proboszcza rosyjskojęzycznej parafii Świętej Trójcy w Atenach. Młody kapłan tchnął nowego ducha w skostniałe przedwojenne środowisko rosyjskiej emigracji. Między innymi wprowadził całonocne nabożeństwa – *agrypnie*, które w Atenach były od dłuższego czasu niepraktykowane. Wprowadził dwujęzyczność – cerkiewnosłowiański i grecki – by nabożeństwa były zrozumiałe dla wszystkich.





Przez cały ten czas był mnichem przy Bractwie Świętej Trójcy, a następnie mnichem wspólnoty, oficjalnie uznanej w 1978 roku za monaster Świętego Ducha – Pocieszyciela.

W 1980 roku po archimandrycie **Ignacym** (**Pouloupatis**) został wybrany przez braci monasteru Paraklitu nowym ihumenem, pozostając przełożonym nieprzerwanie przez trzydzieści lat, do marca tego roku, gdy zrzekł się tej funkcji z powodu złego stanu zdrowia. Nowym ihumenem wybrany został o. archimandryta **Mojżesz**.

W okresie, gdy był przełożonym, nastąpił niespotykany rozkwit monasteru. Powstała większość z istniejących budynków, w tym główna cerkiew (1987-1990), zaprojektowana przez jednego z braci, o. **Romana** (**Aleksopulosa**). Liczba braci w tym czasie wzrosła do około trzydziestu, co na greckie warunki jest ewenementem (za wyjątkiem żeńskich monasterów i monasterów na Atosie). Sam monaster jest często nazywany „małym Atosem pod Atenami".

Dzięki jego staraniom monaster Paraklitu wydawał książki i broszury teologiczne w wielu językach, również polskim. Sam archimandryta pisał książki, ale przede wszystkim tłumaczył z języka rosyjskiego na grecki lub na odwrót. Ostatnim dokonaniem jego życia było tłumaczenie na grecki dzieł **św. Ignacego** (**Branczaninowa**), którego bardzo cenił.

Do tego roku o. Tymoteusz był opiekunem Bractwa Świętej Trójcy i dyrektorem „Ruskiego Domu" (czyli opieki społecznej) w Atenach. Domowi starców poświęcał wiele energii i serca.

Za swą pracę na rzecz Cerkwi wielokrotnie był nagradzany, m.in. w 2011 roku Orderem św. Równej Apostołom Marii Magdaleny drugiego stopnia, nadanym przez sobór biskupów naszej Cerkwi.

Archimandryta mocno był związany z polską Cerkwią. To w monasterze Paraklitu swe duchowe cnoty pogłębiał arcybiskup **Jerzy** (**Pańkowski**). W czasie studiów teologicznych w Grecji obecny władyka wrocławski i szczeciński, prawosławny ordynariusz Wojska Polskiego, był diakonem w cerkwi Świętej Trójcy w Atenach, gdzie proboszczem był o. Tymoteusz.

W monasterze Paraklitu od 1992 roku *posłuszanije* wiedzie o. hieromnich **Atanazy** (**Ugolik**), rodem z Kropiwna pod Dąbrową Białostocką.

Archimandryta przyjaźnił się z władyką wrocławskim i szczecińskim **Jeremiaszem**. Mimo odległości często ze sobą rozmawiali telefonicznie. Kilkakrotnie starzec gościł władykę w monasterze i Ruskim Domu. Sam trzykrotnie odwiedził diecezję wrocławsko-szczecińską. Ostatni raz w 2014 roku, gdy uczestniczył w położeniu kamienia węgielnego pod budowę cerkwi w Zgorzelcu, której był jednym z inicjatorów. Wcześniej między innymi dzięki jego pomocy udało się tam wybudować plebanię. Wielokrotnie duchowieństwo diecezjalne i wierni z zachodniej Polski odwiedzali monaster, pogłębiając istniejącą od 2004 roku współpracę.

Archimandryta Tymoteusz był mnichem niezwykle skromnym, dobrym i lubiącym pracę. Kapłanem, który sprawował każde nabożeństwo tak, jakby było ono ostatnie w jego życiu. Był człowiekiem modlitwy i świętego życia.

W połowie września ubiegłego roku jednej z osób z Polski, która z nim rozmawiała, powiedział, że jeszcze można się będzie z nim spotkać przez rok, ale nie dłużej, bo tyle pozostało mu życia. Starzec Tymoteusz umarł dokładnie rok i sześć dni po wypowiedzeniu tych słów.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 24 września w monasterze Paraklitu. Przewodniczyli im **Symeon**, metropolita Nowych Smyrn, i **Amfilochiusz**, metropolita Adrianopola. Umiłowanego starca żegnało dziesięciu ihumenów i pięć przełożonych greckich monasterów. Na cmentarz ciało o. Tymoteusza nieśli bracia monasteru Paraklitu w otoczeniu około siedemdziesięciu duchownych, mnichów i mniszek. Archimandrytę żegnało około czterystu pięćdziesięciu świeckich. Gdyby nie zakazy związane z epidemią koronowirusa, byłoby ich znacznie więcej.

Tak żegnano starca naszych czasów.

Wiecznaja pamiat'

Αἰωνία ἡ μνήμη.

o. Marek Bonifatiuk

fot. **https://orthodoxia.info/news/**



Białorusinów coraz mniej

„Matko ratuj, bo giniemy" – taki transparent w końcowych latach PRL-u wisiał na jednym z kościołów w Białymstoku. Jego treść przypomniałem w czasie posiedzenia sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, na której omawiano sytuację mniejszości białoruskiej w Polsce.

Zaplanowane jako wyjazdowe na marzec posiedzenie z powodu pandemii odbyło się w Sejmie 30 września – uczestniczący mieli możliwość porozumiewania się za pomocą środków komunikacji elektronicznej.

Informacje o sytuacji mniejszości białoruskiej przedstawili wiceminister Spraw Wewnętrznych i Administracji **Błażej Pobożny**, wiceminister Edukacji Narodowej **Maciej Kopeć** i prezes Głównego Urzędu Statystycznego **Dominik Rozkrut**.

Oddzielnym punktem posiedzenia była informacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych – przedstawił ją wiceminister **Marcin Przydacz** – o sytuacji na Białorusi w kontekście jej wpływu na mniejszość białoruską w Polsce.

W swoich wystąpieniach przedstawiciele rządu sytuację mniejszości białoruskiej w Polsce oceniali jako dobrą. Tak liczna mniejszość narodowa – stwierdził wiceminister Pobożny – ma swoje organizacje działające od lat, bardzo sprawnie i prężnie. Dbają o ochronę, zachowanie i rozwój tożsamości kulturowej. Myślę, że na tle organizacji reprezentujących inne mniejszości narodowe, w przypadku mniejszości białoruskiej warto wskazać na bardzo szeroką paletę organizacji. Gdyby policzyć tylko te, które są w jakiś sposób dotowane z budżetu poprzez MSWiA, to jest ich dwadzieścia trzy.

Omawiając formy aktywności Białorusinów w Polsce wiceminister wymienił szereg tytułów (tygodniki, miesięczniki, półroczniki, roczniki, książki), których wydawanie jest dofinansowane z budżetu państwa. Odbywają się – informował – festiwale, koncerty, festyny, przeglądy twórczości i konkursy.

Zachowaniu własnej tożsamości – o czym przypomniał wiceminister – służą także emitowane w publicznym radiu i telewizji audycje i programy w języku białoruskim – w rozgłośni regionalnej Polskiego Radia w Białymstoku istnieje specjalna białoruska redakcja, a w TVP Białystok emitowany jest cotygodniowy program białoruski. W Białymstoku, od 1999 roku, działa finansowane ze środków polskiego MSZ niepubliczne białoruskie radio Racja, a od 2007, jako część Telewizji Polskiej, działa, nadający w języku białoruskim i rosyjskim, kanał Biełsat TV, na którego funkcjonowanie – jak poinformował z trybuny sejmowej premier **Mateusz Morawiecki** – polski rząd przeznaczył ostatnio czterdzieści milionów złotych.

Sytuację w białoruskim szkolnictwie wiceminister Maciej Kopeć ocenił, i trudno się z nim nie zgodzić, także jako dobrą. W dwóch przedszkolach, 25 szkołach podstawowych i dwóch liceach ogólnokształcących, w formule – takie jest życzenie rodziców – lekcji dodatkowych nauczany jest język białoruski. W 2019 roku uczestniczyło w nich 2730 uczniów. Na realizacje tych lekcji organy prowadzące szkoły otrzymują zwiększoną subwencję oświatową. W 2019 roku było to ponad 11 mln zł. Z budżetu ministerstwa pokrywane są koszty wydawania podręczników do nauki języka białoruskiego, a także historii i geografii Białorusi.

Choć przedstawiciele istniejących w Polsce organizacji mniejszości zgłaszają, ja także je mam, krytyczne uwagi do niektórych, dotyczących podziału środków finansowych, decyzji MSWiA, trudno nie przyznać, że ze strony państwa mniejszości, w tym białoruska, otrzymują znaczącą pomoc.

Po wysłuchaniu przedstawicieli rządu, gdybym nie znał rzeczywistej sytuacji mniejszości białoruskiej, zapewne bym zaklaskał i po cichu zanucił: *Czamu mnie nie pieć, czamu nie hudzieć*?, ale miałem inne pytanie. Brzmi ono: Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? A o tym, że jest źle, świadczą dane statystyczne, świadczące o szybkim „wymieraniu" Białorusinów w Polsce.

W obszernym, przesłanym komisji przez GUS, opracowaniu obok danych o liczbie osób deklarujących przynależność do białoruskiej narodowości zawarto informacje o sytuacji demograficznej w powiatach bielskim, hajnowskim, siemiatyckim, białostockim i sokólskim, w których mieszka około 90 proc. polskich Białorusinów.

W tym miejscu warto sięgnąć do nieodległej historii: „Istniejące dokumenty – czytamy w przygotowanym przez prof. **Eugeniusza Mironowicza** na zlecenie Biura Analiz Sejmowych (Warszawa 2014 r.) opracowaniu „Sytuacja mniejszości białoruskiej w Polsce w latach 1944-1956" – pozwalają na stwierdzenie, że tuż po zakończeniu wojny na terenie województwa białostockiego w powiatach sokólskim, białostockim i bielskopodlaskim mieszkało około 160 tys. Białorusinów. Do tej kategorii narodowej zaliczano wówczas wyznawców prawosławia, mówiących różnymi gwarami białoruskimi. Oprócz prawosławnych, na Białostocczyźnie mieszkało także 230 tys. katolików, posługujących się w życiu codziennym językiem białoruskim, lecz w zdecydowanej większości posiadających polską świadomość narodową".

O ile w latach – o czym pisze prof. Mironowicz – bezpośrednio po wojnie około 40 tys. Białorusinów zmuszono do wyjazdu do ZSRR – podziemie antykomunistyczne traktowało Białorusinów jako potencjalne zagrożenie dla polskiej racji stanu i pacyfikacje białoruskich wsi miały przyspieszyć ewakuacje, to po wojnie w Polsce pozostało ponad 100 tys. Białorusinów. Po 1956 roku białoruska mniejszość otrzymała, choć ograniczone, moż-

liwości (edukacja, wydawnictwa, kultura) działalności.

Zakres tych możliwości znacznie poszerzył się po przełomie 1989 roku, a zobowiązania państwa polskiego do wspierania inicjatyw służących zachowaniu przez zamieszkujące w Polsce mniejszości własnej tożsamości zostały zapisane w Konstytucji RP i sprecyzowane w uchwalonej w styczniu 2005 roku ustawie „o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz języku regionalnym".

Będąc posłem, w kadencjach po 2005 roku, wraz z posłami **Ryszardem Gollą** (mniejszość niemiecka) i **Mironem Syczem** (mniejszość ukraińska) zabiegaliśmy o rzeczywiste, a nie tylko deklaratywne, wspieranie edukacji i kultury mieszkających w Polsce mniejszości. Większość naszych inicjatyw wspierana była przez posłów, członków komisji, w tym – co chciałbym podkreślić – przez przewodniczącego komisji w kadencji 2011-2015, posła PiS **Marka Asta**. W rezultacie obecnie dotacje, służące zachowaniu i rozwojowi tożsamości dla wszystkich mniejszości, kształtują się na poziomie około 16 mln zł każdego roku, z czego mniejszość białoruska otrzymuje ponad dwa, w bieżącym roku 2,25 mln zł.

Wróćmy jednak do statystyki. W przeprowadzanych w 2002 i 2011 roku spisach powszechnych pojawiły się pytania o narodowość i używany w domu język. Wyniki dla mniejszości białoruskiej okazały się katastrofalne. W spisie z 2002 roku zaledwie 47 640 osób zadeklarowało białoruską narodowość. Odpowiedź na pytanie, co stało się z ponad 60 tys. „powojennych" Białorusinów jest oczywista – wyrzekli się swojej tożsamości, stali się Polakami. Przyczyn polonizacji, a proces ten wciąż trwa, było i jest kilka. O nich w końcowej części tekstu.

Działacze białoruskich organizacji, ja także, pocieszaliśmy się myślą, że dużą część „naszych" ludzi w spisie z 2002 roku, z obawy przed polską większością, nie ujawniła swojej narodowości. Nadzieje te rozwiały wyniki spisu 2011 roku, w którym jako jedyną narodowość białoruską wskazało zaledwie 38 tys. osób. Z tej liczby tylko 26,4 tys. zadeklarowało, że język białoruski jest ich językiem domowym. W tym miejscu warto przypomnieć, że liczebność innych mniejszości w okresie między spisami 2002 i 2011 znacząco wzrosła – mniejszości rosyjskiej, żydowskiej, tatarskiej kilkakrotnie, łemkowskiej dwukrotnie, a litewskiej, ukraińskiej i romskiej o około 30 proc.

W tym samym czasie liczba Białorusinów w kluczowym dla nich ośrodku regionalnym, a takim jest południowo-wschodnia część województwa podlaskiego, zmalała o blisko 20 proc.

I o przyczynach. Jest ich kilka. Zacytuję tak, jak przedstawiłem je na posiedzeniu komisji. Jedną z najważniejszych przyczyn – stwierdziłem – jest depopulacja (wyludnianie) i społeczno-ekonomiczna degradacja obszaru zamieszkałego przez Białorusinów. Mówiąc o sytuacji w województwie podlaskim prezes GUS Dominik Rozkrut stwierdził: „Pod względem wskaźnika obciążenia demograficznego, to jest takiej relacji liczby osób w wieku poprodukcyjnym przypadającej na sto osób w wieku produkcyjnym, sytuacja województwa podlaskiego wydaje się być umiarkowana na tle przeciętnej krajowej. Powiatem, który pod względem obciążenia demograficznego zdecydowanie wyróżnia się niekorzystnie na tle regionu i kraju, jest powiat hajnowski. Tam notujemy jedną z najniekorzystniejszych sytuacji pod względem demograficznym ze wszystkich powiatów w Polsce w ogóle. Tam jest bardzo zła sytuacja demograficzna. Podobnie zresztą źle jest w powiatach bielskim i siemiatyckim".

Główną, choć nie jedyną, przyczyną migracji jest brak perspektyw w rozwoju, wynikających z peryferyjnego położenia oraz ograniczeń gospodarczych i inwestycyjnych. W powiecie hajnowskim 60 proc. powierzchni to obszary przyrodnicze prawnie chronione. Tylko w jednym Hajnowskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego przed 1989 rokiem zatrudnionych było ponad 2 tys. osób. Dziś, po przekształceniach, niespełna pięćset. Zmuszani do wyjazdu, zastraszani, stygmatyzowani przez polskich nacjonalistów w marszach głoszących chwałę tych, którzy pacyfikowali prawosławne wsie i mordowali ich mieszkańców, wyjeżdżają i tracą kontakt ze swoją ojcowizną, tracą swą tożsamość, szybko się polonizują.

Inna ważna przyczyna to mimowolna presja asymilacyjna, a więc szkolnictwo powszechne, służba wojskowa, kultura popularna, rytuały polityczne, włączanie młodych w ogólnonarodowe sieci zależności. To kształtuje zasoby kulturowe i kompetencyjne.

Ale obok obiektywnych, niezależnych od członków mniejszości, istnieją przyczyny wynikające ze specyfiki tej społeczności. Tę specyfikę trafnie opisał w sporządzonej na zlecenia Biura Analiz Sejmowych analizie „Przyczyny zmniejszenia się liczby osób, deklarujących przynależność do białoruskiej mniejszości narodowej w województwie podlaskim" prof. Uniwersytetu Łódzkiego **Marek Barwiński**, w której czytamy: „Na Podlasiu, które pomimo spadku koncentracji mniejszości białoruskiej i tak pozostaje jej zdecydowanie najliczniejszym skupiskiem, czynnikiem najsilniej jednoczącym, niepoddającym się asymilacji i zarazem zdecydowanie wyróżniającym osoby o wschodnim pochodzeniu etnicznym jest wyznanie prawosławne – wyznanie prawosławne rozumiane nie w kategorii religijnej, ale kulturowo-cywilizacyjnej". Profesor słusznie zauważa, że dla dużej części niepolskiej społeczności Podlasia to przede wszystkim przynależność do wspólnoty prawosławnej jest najważniejszym wyznacznikiem przynależności etniczno-kulturowej. Z tego wynika także niechęć uczniów i rodziców do nauczania przedmiotów w języku białoruskim, nawet w „etnicznych" liceach w Bielsku Podlaskim i w Hajnówce, co sprowadza język białoruski do kategorii przedmiotu dodatkowego.

Fakt. Wielowiekowe życie na cywilizacyjnym polsko-łacińskim i prawosławno-ruskim pograniczu w sytuacji wciąż ponawianych przez Kościół rzymskokatolicki prób nawrócenia „schizmatyków" na jedyną

słuszną wiarę, wytworzyło w lokalnej społeczności specyficzny, niepasujący do podręcznikowych określeń model tożsamości narodowej.

Od tego, czy działacze białoruskich, ale także powstałych po 1989 roku na Podlasiu ukraińskich organizacji, a także odpowiedzialne za politykę państwa wobec mniejszości instytucje, w pierwszej kolejności urzędnicy MSWiA, będą dostrzegać i uwzględniać tę specyfikę zależy przyszłość prawosławno-białorusko-ukraińskiej mniejszości na Podlasiu.

Wybór jest prosty. Albo potrafimy porozumieć się i podjąć wspólne działania na rzecz zachowania własnego języka, tradycji, kultury – powstrzymanie wyludniania się naszej „małej ojczyzny" ma w tym kapitalne znaczenie – albo jako „przedstawiciele" jednej z 23, o czym mówił wiceminister Pobożny, białoruskich organizacji będziemy przekonywać ministerialnych urzędników, że to nasze pisemko, nasz festyn, nasz konkurs jest najważniejszy.

W przyszłym roku odbędzie się kolejny spis powszechny. Istnieją obawy, że jego wyniki potwierdzą szybki proces polonizacji mniejszości białoruskiej. Jeśli liczba Białorusinów w województwie podlaskim zmniejszy się o kolejne 20 proc., to działaczom rozlicznych białoruskich organizacji, o ile nie podejmą radykalnej próby zmiany sposobu działania, pozostanie wywieszenie transparentu z napisem: „Matko ratuj, bo giniemy".

Na komisji zgłosiłem projekt dezyderatu, w którym komisja zwraca uwagę rządu na trudną sytuację mniejszości białoruskiej i postuluje podjęcie konkretnych działań, między innymi wsparcie inwestycji w powiecie hajnowskim i bielskim.

Żaden przedstawiciel, oprócz prof. **Olega Łotyszonka**, którego o to osobiście poprosiłem, białoruskich organizacji nie był zainteresowany – a mógł zabierać głos – obradami komisji. O posiedzeniu i omawianych problemach nie poinformowały ani lokalne, ani białoruskie środki przekazu.

Eugeniusz Czykwin



GALICYJSKIM OKIEM

Arcach czy Qarabag?

W Karabachu trwa wojna. Najprawdziwsza. Codziennie giną tam setki ludzi. Świat już zdążył znudzić się codziennymi newsami, wszystko powoli powszednieje i blaknie. Moje serce krwawi i nie ukrywam tego. I to nie tylko dlatego, że kocham Ormian. Bo ja generalnie kocham ludzi. I Azerów też bym chciał, choć na razie nie było jakoś ku temu okazji. Opisując więc to co poniżej, postaram się o taki obiektywizm, na jaki mnie stać.

Karabach, Arcach (orm.), Qarabag (az.) – to niewielka górzysta i lesista kraina, wielkości najmniejszego naszego województwa, a zamieszkana jedynie przez 150 tysięcy osób (w roku 1990 było ich 200 tysięcy, z czego trzy czwarte stanowili Ormianie, prawie jedną czwartą Azerowie, a reszta to Kurdowie i Rosjanie). W Karabachu nie ma ropy ani gazu, nie ma złota i innych bogactw, nie ma wieży Eiffla ani niczego, o co według 99 procent ludzi na świecie warto by walczyć.

O co więc ta wojna?! – pytają mnie niemal wszyscy znajomi. Odpowiedź i łatwa, i piekielnie trudna zarazem. Najprościej ujmę to tak: Karabach jest dla Ormian tym, czym dla Serbów Kosowo, a dla prawosławnych w Polsce Grabarka. Czy Serbowie mogą żyć bez Kosowa, a my bez Grabarki? Tak – tylko jak?

Żeby więc zrozumieć, o co ten konflikt, bez odrobiny historii się nie obejdzie. Wiem, że nikt jej nie lubi, ale jeśli nie napiszę tego, co teraz napiszę, nigdy nie zrozumiecie, o co chodzi.

Według najstarszych źródeł pisanych, Arcach w VIII wieku p.n.e. był częścią państwa Urartu, które dało początek Armenii. Stało się to bardzo dawno, lat temu ponad dwa tysiące. W każdym razie chrześcijaństwo dotarło tu równie szybko jak do Armenii, czyli w połowie pierwszego wieku, za sprawą dwu apostołów – Judy Tadeusza i Bartłomieja. Osobisty uczeń tego pierwszego – św. Dadi – do dziś, czyli już blisko dwa tysiąclecia, spoczywa w monasterze Dadivank. W ogóle cerkwi tu i monasterów z pierwszych wieków chrześcijaństwa – moc (pisałem o tym na stronie internetowej Przeglądu Prawosławnego).

Gdy tysiąc lat temu Turcy zniszczyli Armenię, wielu Ormian uciekło do tego trudno dostępnego, górskiego obszaru. W roku 1813 Karabach został włączony do Imperium Rosyjskiego, czyli piętnaście lat wcześniej niż reszta Armenii.

Gdy więc w 1822 roku Rosja postanowiła stworzyć nową prowincję, która z czasem stanie się Azerbejdżanem, a jeszcze potem sowiecką republiką, to Arcach zdecydowano włączyć właśnie do niej, gdyż Ormianie wciąż dążyli do niepodległości.

Azerowie napłynęli tu w XVI-XVII wieku. W zasadzie nie tyle w góry, co do nizinnej części Karabachu, na której istniało kiedyś państwo Albanów kaukaskich (nie mających nic wspólnego z dzisiejszą Albanią), którzy już kilka wieków wcześniej zostali sturczeni i porzucili chrześcijaństwo. Nie mieli więc Azerowie (również należący do rodziny tureckiej i muzułmańskiej) większych problemów z osiedleniem się na ich ziemiach.

Próbuję to wszystko zrozumieć i sobie poukładać. Więc tak: Ormianie mieszkają tu od „zawsze", Azerowie od pięciuset lat (jedni i drudzy albo ten okres skracają, albo wydłużają). Nieistotne – zgódźmy się, że od dawna. Czy wobec tego, logicznie, mają prawo mówić, że są u siebie, skoro trwa to już kilka wieków?

W czasie pierwszej wojny światowej Azerowie, wspierani przez Turcję, zajęli Karabach. I gdy po wojnie Turcja znalazła się wśród państw po-

konanych, alianci przyznali Karabach właśnie Azerom, licząc na ich ropę i gaz, gdyż złoża w Baku uznawane były wówczas za największe w świecie.

W międzyczasie cały Kaukaz zajęli bolszewicy, którzy decyzją Stalina również przyznali Karabach Azerom, karząc w ten sposób wciąż wojujących o niepodległość Ormian. W roku 1923 na większości jego terytorium utworzono Ormiański Okręg Autonomiczny, a resztę wcielono bezpośrednio do Azerskiej SRR. Od tego momentu liczba ludności azerskiej, co zrozumiałe, zaczęła wzrastać gwałtownie. Perfidia polegała i na tym, że ta ormiańska autonomia została przez Stalina tak pomyślana, by jej terytoria w całości okrążone były przez okręgi azerskie, co pozbawiało ormiański Arcach łączności z resztą Armenii.

A potem nastały dziesiątki lat wspólnej armeńsko-azerskiej biedy, pod komunistycznym butem. Granice stały się w zasadzie iluzoryczne, zresztą i tak wszędzie obowiązywały przepustki, pozwolenia i *komandirowki*. Przemieszały się więc nacje w Karabachu, za głównego wroga mając bolszewika, a nie sąsiada. Bo sąsiad z czasem okazywał się i kumplem, z którym razem pito to samo wyborne wino, zakąszając tym samym przepysznym szaszłykiem. Śpiewała więc często młodzież przy ognisku te same piosenki, nie bacząc na to, czy kto chodzi do cerkwi, czy do meczetu. A zresztą i tak nikt tam nie chodził, bo w ateistycznym państwie tego nie czyniono.

Gdy po rozpadzie ZSRR w grudniu 1991 roku zorganizowano referendum, przytłaczająca większość mieszkańców, tak Ormian jak i Azerów, opowiedziała się za niezależnością. Na przełomie lat 1991/1992 wojska radzieckie, a w zasadzie już rosyjskie, wycofały się więc z Karabachu, co momentalnie wykorzystali Azerowie, przeprowadzając wiosenną ofensywę, by wziąć pełną pulę. Bez rezultatu jednak. Bo gdy dwa lata później podpisywano rozejm, Ormianie kontrolowali niemal cały swój okręg autonomiczny plus tereny oddzielające ich od Armenii. Azerbejdżan stracił więc dziesięć procent tego co posiadał (Azerowie twierdzą, że dwudziestu). Około 750 tysięcy osób z obydwu państw i z Karabachu oczywiście zostało przesiedlonych, zginęło sześć tysięcy Ormian i jedenaście tysięcy Azerów, odpowiednio 20 i 30 tysięcy osób odniosło rany.

Od tego czasu Karabach, pomimo ogłoszonej, ale przez nikogo, nawet przez Armenię, nieuznawanej niezależności stanowi swoiste *quasi-państwo*. Jest to zabieg celowy, obliczony na tzw. opinię publiczną, bo *de facto* Arcach jest w pełni ormiański, zamieszkany przez Ormian, którzy płacą ormiańskimi pieniędzmi, posługują się językiem ormiańskim i do ormiańskich szkół posyłają swoje dzieci. Pozostała nizinna część Karabachu po staremu przypadła Azerom. Tyle tylko, że ci nigdy się z tym nie pogodzili.

Myślę tak sobie teraz o tym wszystkim, próbując zrozumieć, co się porobiło. I dlaczego? Bo ciągle przed oczyma mam te codzienne spisy poległych żołnierzy ormiańskich, które publikuje ich naczelne dowództwo. Kilkadziesiąt nazwisk każdego dnia! (Po stronie azerskiej z pewnością jest podobnie.) A obok rok urodzenia – dominuje 2001. Giną więc dzieci, młodzież! Nie mogli w związku z tym pamiętać tej okrutnej wojny lat 1992-1994, która wybuchła tuż po rozpadzie Sojuza. Wtedy też nikt nie mógł zrozumieć „dlaczego?". Dlaczego ci młodzi chłopcy, którzy przed chwilą pili ze sobą wino i śmiali się do rozpuku, teraz utrącali szyjki od butelek, by podrzynać gardła sąsiadom, z którymi siadali przy ognisku? Co się stało?! – pytano. Bo wcześniej to najwyżej było mordobicie, klasycznie, gdy „tamci" podrywają „nasze" dziewczyny. No, ale chwilę potem było już wino, szaszłyk i zgoda. Normalnie, jak u facetów.

Dlaczego więc do tego doszło? – pytano. Też nie wiem, ale wiem doskonale, że rogaty nigdy nie śpi i swoim ogonem macha nieustannie. W Karabachu nosi imiona Nacjonalizm i Szowinizm.

Gdy piszę te słowa, od rozpoczęcia walk minęły dwa tygodnie. Właśnie ogłoszono rozejm, tyle że najeźdźca go nie przestrzega. Nie po to przecież przyjechali najemnicy-dżihadyści, przerzuceni tu przez Turków z Syrii i Czeczenii, by siedzieć bezczynnie. W końcu zarabiają tylko wtedy, gdy walczą. Strzelają więc i strzelają, a potem grabią zwłoki, jedno i drugie z dumą filmują, po czym umieszczają w sieci. Ormianie też nie święci, ale skali porównawczej brak.

Tak czysto po ludzku, to wydaje mi się, iż jest to jeden z tych nigdy nie kończących się konfliktów. Bo gdy grupa mińska doprowadzi nawet do zaprzestania walk, a Putin z Macronem wymuszą pokój, to jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, by to ostatecznie sprawę załatwiło. Ba, teraz to jest jeszcze gorzej niż było, gdyż Azerowie i Turcy nie ukrywają, że interesuje ich wyłącznie zajęcie całego Qarabagu. Bombardują więc osiedla mieszkaniowe, celują w cywili, rozwalają cerkwie, grabią. Ormianie zaś głoszą, że tylko wtedy oddadzą swój Arcach, gdy tamci ostatecznie ich wyrżną, kończąc to, co zaczęli w 1915…

Nie, po ludzku pokoju nie będzie. Wierzę jednak gorąco, że gdy wszyscy wyczerpią już wszystko i w ostatecznej bezradności rozłożą ręce, to wtedy rogaty zostanie ostatecznie znokautowany przez MIŁOŚĆ. Ormianie zwą ją Chrystusem, Azerowie Allahem.

Gospodi, pomiłuj nas gresznych!

Gdy chciałem o tym wszystkim pogadać na galicyjskim rynku z moimi starymi babami, te z mety zaczęły chlipać, mówiąc że pomimo iż były wtedy smarkulami, to pamiętają okupację. A tam – to samo. I po ich starych, mądrych, pobrużdżonych twarzach spływały gorące łzy boleści. *Nie filozofuj tyle chodoku, ino choć lepi pomodlić się z nomi do kościoła* – usłyszałem. Poszedłem.

Gdy wojujesz z diabłem, zaczyna atakować cię jak tygrys, jak dziki kot.

Gdy posyłasz mu kulę, on rzuca granatem. Ty w niego bombą, on w ciebie rakietą.

(Święty Starzec Porfiriusz z Kafsokaliwii).

Paweł Krysa

LIST SPOŁECZNOŚCI ORMIAŃSKIEJ W POLSCE DO PREZYDENTA RP
(skrót)

„Sz. Pan Andrzej Duda
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

W obliczu trwającej wojny na terenie Republiki Armenii i Arcachu, zwracamy się do Pana o zajęcie oficjalnego stanowiska, nakłaniającego Azerbejdżan oraz Turcję do natychmiastowego wstrzymania działań militarnych i powrotu do pokojowych negocjacji.

Ich przywódcy jednoznacznie posunęli się do jawnego i bezprecedensowego naruszenia norm prawa międzynarodowego oraz praw człowieka. Apelujemy o wywarcie presji politycznej i rozważenie sankcji wobec agresorów.

Pragniemy podkreślić, iż Turcja – członek NATO, wykorzystuje płatnych najemników dżihadystów do walk pośrednich w Arcachu.

Turcja wspiera również i finansuje niszczenie mienia, infrastruktury oraz pomaga w prześladowaniu i mordowaniu ludności cywilnej w Górskim Karabachu, bombardując stolicę Stepanakert i inne osady zamieszkałe przez cywilów daleko od frontu.

Potwierdzono, iż agresorzy celują również w wolontariuszy Czerwonego Krzyża oraz przedstawicieli wolnej prasy, zarówno ormiańskiej jak i zagranicznej.

Faktem jest, że strona ormiańska jest stroną defensywną, broniącą jedynie swojej ojczyzny oraz obywateli.

W chwili, kiedy my, polscy Ormianie, prowadzimy pokojowe marsze, żołnierze azerscy przy pomocy sił tureckich oraz syryjskich bojowników nieprzerwanie bombardują terytorium Arcachu, prowadząc do destabilizacji w całym regionie. Wojna na południowym Kaukazie może prowadzić do poważnych i nieprzewidywalnych konsekwencji oraz zagrozić bezpieczeństwu międzynarodowemu.

Bierna postawa państw europejskich może zostać odebrana przez agresorów jako przyzwolenie do dalszych ataków.

Wojna jest skierowana więc nie tylko przeciwko ludności Arcachu, a także wszystkim narodom cywilizowanego świata.

Polscy Ormianie zawsze swoją tradycją, kulturą i religią wnosili wkład w polską tradycję, z którą są zjednani od przynajmniej 650 lat.

Dlatego apelujemy do Pana, Panie Prezydencie, oraz wierzymy mocno, iż Polska do tego nie dopuści.

My, polscy Ormianie, NIE prosimy o pomoc militarną, prosimy jedynie o potępienie agresorów oraz zajęcie jednoznacznego stanowiska.

Jeśli zaś to nie poskutkuje, wówczas warto będzie rozważyć uznanie niepodległości Republiki Arcachu".

List podpisali dr **Arsen Ovsepyan** (prezes Fundacji Polsko-Ormiańskiej) i **Hraczja Bojadżjan** (prezes Ormiańsko-Polskiego Komitetu Społecznego) i przedstawiciele 25 organizacji i stowarzyszeń ormiańskich, w tym Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego w Polsce z duszpasterzem ks. archimandrytą **Taroem Ghulikyanem**, wiernych obrządku ormiańskokatolickiego z ich duszpasterzem ks. **Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskiem**.

Na prośbę społeczności ormiańskiej podajemy, wskazany przez Ambasadę Armenii w Warszawie, numer konta, na który można wpłacać darowizny na pomoc ofiarom konfliktu zbrojnego w Górskim Krabachu (po ormiańsku – Arcachu).

Przekazy z Europy:
Bank Name: Crédit Agricole
Holder: Fonds Arménien de France
Bank Acc.: 43890936001
SWIFT#:
AGRIFRPP882
IBAN#:
FR7618206002794389093600147

Pomnik świętej



Inicjatywa społeczna „Nasza Pamięć" oraz Białoruskie Towarzystwo Historyczne z siedzibą w Białymstoku zamierzają wznieść pomnik na grobie **św. Marii Pietruczuk**, znajdującym się na cmentarzu prawosławnym w Maleszach pod Bielskiem Podlaskim. Ideę budowy pomnika pobłogosławił metropolita warszawski i całej Polski **Sawa**. Władyka napisał: „Szlachetne dzieło. Pochwalam. Projekt pomnika zatwierdzam".

Święta Maria Pietruczuk 2 lutego 1946 roku padła ofiarą napadu oddziału Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem kpt. **Romualda Rajsa** pseudonim „Bury" na wieś Szpaki. Oparła się wówczas gwałtowi. Jeden z napastników strzelił do niej z automatu.

Dwudziestoletnia kobieta zmarła od ran 6 lutego 1946 roku w szpitalu w Bielsku Podlaskim.

W 2020 roku Sobór Biskupów zaliczył Marię Pietruczuk w poczet Świętych Męczenników Chełmskich i Podlaskich. Jest świętą Cerkwi prawosławnej.

W 2018 roku inicjatywa społeczna „Nasza pamięć" odnalazła resztki jej zniszczonego i zapomnianego grobu, połamanego krzyża i zwalonej płyty nagrobnej. Prosiły o litość i pamięć. Poproszono o pomoc prof. **Jerzego Uścinowicza**, który nowy pomnik zaprojektował.

Ofiary na budowę pomnika można wpłacać na konto bankowe:

Białoruskie Towarzystwo Historyczne

IBAN PL 70 1240 5211 1111 0000 4930 2882

z dopiskiem „Nasza Pamięć".

BIAŁORUŚ

Miejsce modlitwą nasycone

W Mińsku, na *kanunie* święta Podwyższenia Krzyża Pańskiego, odbyło się poświęcenie cerkwi *Wozdwiżenija Kresta Gospodnia*, w której będzie zanoszona modlitwa za żołnierzy i cywilów, zamęczonych i zabitych podczas drugiej wojny światowej – więźniów jenieckiego obozu koncentracyjnego Stalag 352. Tuż za parafialnym ogrodzeniem rozciąga się memorialny kompleks Masiukowszczyna, na którym tylko według oficjalnych danych zostało pochowanych 80 tys. jeńców wojennych i cywilów Mińska oraz okolic. Według badaczy liczba ofiar jest znacznie większa, może sięgać nawet 150 tysięcy.

Ideę budowy cerkwi pobłogosławił patriarszy egzarcha całej Białorusi, metropolita **Filaret**, kamień węgielny poświęcił metropolita **Paweł**, a poświęcenia dokonał jego następca, metropolita **Beniamin**.

Cerkiew główna może pomieścić pięćset osób, dolna sto. Obok mieści się parafialny dom ze szkołą i muzeum, a także wejściowy kompleks z dzwonnicą.

– *Ileż trudności musiał pokonać proboszcz, żeby została wydzielona działka pod budowę tej cerkwi* – mówił metropolita Beniamin. – *Żeby ludzie zrozumieli, że lepiej, by na tym miejscu stała cerkiew aniżeli założony park. Odtąd to smutne miejsce pełne jest radości i pocieszenia zmarłych, którzy właśnie tutaj zakończyli swe życie. Od tego czasu upłynęło 80 lat, ale ciągle żywe są wspomnienia ludzi o tym miejscu.*

Miński pisarz **Nikołaj Gawriłow**, który opisał tragedię obozu koncentracyjnego Masiukowszczyna w swojej książce „I otrze Bóg każdą łzę", potwierdza, że wielu ludzi żyło pomysłem upamiętnienia ofiar modlitwą.

– *Przychodziła tutaj pewna kobieta, która jeszcze jako dziecko nosiła jeńcom chleb* – powiedział. – *Mijały lata, powstał memoriał, a ona nie przestawała przychodzić. I kiedy na tym miejscu po raz pierwszy odsłużono panichidę, powiedziała: „Teraz mogę się uspokoić", a następnego dnia zmarła. Czekała tutaj na modlitwę. Kto, jeśli nie ci ludzie są godni, by się za nich modlić.*

Władyka Paweł wezwał mieszkańców Białorusi w te niełatwe dla ojczyzny czasy, by pozostali chrześcijanami. – *Historia przekonuje, że Pan każdy ból i każde zło w jednej chwili może zamienić w dobro. Ale nasze ludzkie serce, nasze przeżycia powinny Boga w tę stronę ukierunkować. Bóg jest Ojcem i słyszy modlitwy swoich dzieci. Oby w tej cerkwi zanoszone były modlitwy i radością napełniały się ludzkie serca! Oby na wiele pytań właśnie tu znajdowano odpowiedzi i żeby świątynia była pełna i wychwalała Stwórcę.*

Przywrócenie Turowskiego Krzyża

Turowski Krzyż, którego proces rekonstrukcji zajął 60 lat, został podwyższony podczas *wsienoszczni* przed *Wozdwiżenijem* w soborze Świętego Ducha w Mińsku. Wcześniej w cerkwi św. Cyryla Turowskiego przy Mińskiej Duchownej Akademii odbyła się jego prezentacja. Świętość została zrekonstruowana w dwóch egzemplarzach, w tę, przeznaczoną dla cerkwi, zostanie włożona cząsteczka Życiodajnego Krzyża. Drugi egzemplarz Turowskiego Krzyża znajdzie się w Białoruskiej Akademii Nauk.

Proces rekonstrukcji Turowskiego Krzyża, o którym na Białorusi mówi się jak o naukowej sensacji i duchowym fenomenie, rozpoczął się w 1962 roku, kiedy znany białoruski archeolog **Piotr Łysienko** (1931-2020), autor muzeum archeologicznego „Berestie" w Twierdzy Brzeskiej, pomysłodawca wystawienia dla turystów fundamentu cerkwi w Turowie, podczas wykopalisk w Turowie odnalazł ołowiane wizerunki Bogarodzicy i trzech świętych – Kiryła Turowskiego, Awraama Smoleńskiego i wielkiej męczennicy Barbary. Jego zdaniem wizerunki te mają związek z utraconą świętością – *naprestolnym* krzyżem soboru w Turowie, który został zniszczony podczas trzęsienia ziemi w pierwszej połowie XIII wieku. Przechowywany na *prestole* turowskiego soboru krzyż był główną świętością turowskiej diecezji.

Nad koncepcją rekonstrukcji świętości pracowała **Marija Niecwietajewa**, przewodnicząca synodalnego oddziału białoruskiej Cerkwi do spraw sztuki cerkiewnej, architektury i restauracji.

– *Odtworzenie nie było proste* – przyznała. – *Szczególną cechą średniowiecznego myślenia było to, że człowiek wkładał w tworzony przedmiot wielość znaczeń. Jeśli dla nas ornament to tylko forma, to dla średniowiecznego człowieka fenomenalny kulturowy kod. Dlatego ani jeden element Turowskiego Krzyża nie mógł stać się elementem czysto dekoracyjnym. Musiał zachowywać teologiczną składową, która była w XII wieku, historyczny kontekst.*

Ponieważ oba krzyże – św. Eufrozyny Połockiej i Turowski – należą do tej samej kategorii krzyży, uczestnicy projektu przyjęli, że oba powinny też mieć wspólne cechy. Na licowej stronie krzyża św. Eufrozyny Połockiej znajdują się wizerunki świętych patronów rodziny św. Eufrozyny – ojca (św. Jerzego), matki (męczennicy Zofii) i jej samej – św. Eufrozyny Aleksandryjskiej. Dlatego na Turowskim Krzyżu analogicznie występują wizerunki świętych związanych z turowską ziemią – Cyryla Turowskiego, kniazia Andreja Bogolubskiego, wielkiej męczennicy Barbary. Andrej Bogolubski był przez krótki czas kniaziem w Turowie. Kult św. Barbary wiąże Turów z Kijowem – zgodnie z tradycją narzeczona turowskiego kniazia **Świętopełka II** (Michaiła) Izjasławowicza, **Barbara Komemn**, wychodząc za niego za mąż, wywiozła relikwie św. Barbary z Bizancjum na Ruś.

W 2018 roku białoruska Cerkiew ogłosiła konkurs szkiców na projekt rekonstrukcji Turowskiego Krzyża. Zwyciężył projekt artystki **Jeleny Andruszczenko**.

– *Trudno mi o sobie powiedzieć, że jestem jedynym autorem, przy takiej pracy wydaje się, że twoją ręką kieruje siła wyższa* – przyznaje.

– *Obecna rekonstrukcja Turowskiego Krzyża jest nie tylko pewnym symbolem* – podkreślił na spotkaniu z dziennikarzami w Domu Prasy metro-







Wyświęcenie cerkwi Wozdwiżenija w Mińsku
U dołu przed Turowskim Krzyżem

polita miński i zasławski **Beniamin**. – *To także tajemnicza więź pokoleń – naszego wieku z wiekiem XII i wstecz, z latami przyjęcia chrześcijaństwa przez naszych przodków. Jednocześnie wytyczamy też drogę w przyszłość. Odradzamy nasze świętości, żeby móc je zostawić naszym potomkom.*

Przewodniczący zarządu Banku Rozwoju Białorusi **Andrej Żiszkiewicz** zwrócił uwagę, że projekt odbudowy białoruskiej świętości – Turowskiego Krzyża – jest jednym z symbolicznych, ważnych wydarzeń dla historii kraju. – *Teraz Białorusi naprawdę potrzebne są symbole zjednoczenia, które powinny pomóc przezwyciężyć podział na prawych i lewych, pokonać przemoc i agresywne odrzucanie alternatywnego punktu widzenia. Szczerze wierzę i będę podwójnie rad, jeśli Turowski Krzyż, który jest przywracany Białorusi, pomoże przywrócić nam spokój, zachować pokojowy rozwój kraju.*

Krzyż zrekonstruowano wspólnym wysiłkiem białoruskiej Cerkwi, Białoruskiej Akademii Nauk, przy wsparciu Banku Rozwoju Republiki Białoruś.

BOŚNIA I HERCEGOWINA
REPUBLIKA SERBSKA

Grabież w cerkwi

We wsi Mrkonici nieznani sprawcy włamali się i ograbili starą cerkiew św. Mikołaja, w której został ochrzczony jeden z najbardziej czczonych serbskich świętych, *swiatitiel* Wasilij Ostrogski, informują „Nezavisne novine". Ślady włamania i rabunku zostały ujawnione 10 października. Policja rozpoczęła śledztwo. Przewodniczący rady parafialnej **Rade Boszkowic** poinformował, że to już siódma grabież świętości w ostatnim czasie. Poniesione tym razem straty szacuje na tysiąc euro. – *Tutaj, obok cerkwi, znajduje się mogiła Anny Jowanović, mamy św. Wasilija, obok której przeszedł nieznany złodziej i nie zważając na świętość tego miejsca i cerkwi dopuścił się tak haniebnego czynu* – powiedział.

ROSJA

Apel o pokój w Górskim Karabachu

Do zaprzestania przelewu krwi wezwał wszystkich uczestników zbrojnego konfliktu w Górskim Karabachu patriarcha **Kirył**. „Głęboko przeżywam z mieszkańcami Górskiego Karabachu, narodami Azerbejdżanu i Armenii, nowy etap trwającego od ponad trzydziestu lat zbrojnego konfliktu. Znowu ostrzeliwane są zamieszkałe punkty, giną ludzie, niszczone są świątynie, zabytki kulturowego dziedzictwa, domy ludności cywilnej. Szczerze współczuję wszystkim ofiarom tej strasznej wojny, rodzinom poległych" napisał w specjalnym oświadczeniu.

Zdaniem Jego Świątobliwości, od samego początku konfliktu ruska

Cerkiew „czyniła i czyni wszystko co możliwe, żeby razem z religijnymi przywódcami Armenii i Azerbejdżanu przyczynić się do ustanowienia pokoju na pełnej cierpień ziemi Górskiego Karabachu".

Zwracając się do patriarchy katolikosa wszystkich Ormian **Garegina II** i wielkiego muftiego Kaukazu szejka **Allahşükür Pashazade** zwierzchnik ruskiej Cerkwi napisał: „Razem z wami, drodzy bracia, przeszliśmy długą drogę, pracując nad tym, żeby ta konfrontacja nie przybrała rozmiarów konfliktu między religiami, żeby problemy były rozwiązywane drogą pokojową. Dzisiaj każdy z nas i wszyscy razem powinniśmy uczynić wszystko co możliwe, żeby zastopować ten przelew krwi. (...) Uważam, że umowy zawarte za pośrednictwem Rosji na poziomie ministrów spraw zagranicznych Azerbejdżanu i Armenii są bardzo ważne. Zwracam się do władz obu krajów, by wykorzystały rozejm, by skierować rozwiązanie problemu na polityczne tory. W imię przyszłości dwóch sąsiednich narodów wzywam do wydłużenia rozejmu i jego wykorzystania na rozmowy pokojowe. Zły pokój jest lepszy od dobrej kłótni – ta stara prawda dzisiaj jest aktualna jak nigdy. W warunkach pokojowych można spotykać się, rozmawiać, szukać rozwiązania problemów. Ale kiedy trwa wojna, przelewana jest ludzka krew, dokonywane są przestępstwa, w takich warunkach trudno o wspólne polityczne rozwiązania".

Władyka zaapelował: „Oszczędzajcie swoje życie (...). Armenia i Azerbejdżan historycznie były i będą sąsiadami, Azerbejdżan i Ormian i tak czeka życie w swoim sąsiedztwie".

„Życzę wszystkim uczestnikom obecnego konfliktu powodzenia na drodze pokojowego rozwiązania istniejących problemów. Proszę was o okazanie doświadczenia i mądrości dla osiągnięcia prawdziwych rezultatów i pokonania trudności stojących na drodze wzajemnego zrozumienia. Dzisiaj od waszych decyzji zależy życie wielu ludzi, pokojowa przyszłość waszych narodów" – zakończył patriarcha.

TURCJA

Spotkanie prezydenta Ukrainy z patriarchą Bartłomiejem

Podczas oficjalnej wizyty w Turcji prezydent Ukrainy **Wołodymyr Zełenski** z małżonką spotkał się z patriarchą Konstantynopola **Bartłomiejem**. Przedtem w cerkwi św. Jerzego na Fanarze metropolita Galii **Emanuel** odprawił po grecku molebien w intencji gościa.

Na koniec nabożeństwa kilka kobiet w ukraińskich strojach narodowych zaśpiewało parze prezydenckiej *Mnogaja leta* oraz pieśń *O Ukraino! O luba neńko*.

Podczas spotkania z patriarchą Bartłomiejem Wołodymyr Zelenski serdecznie podziękował za „bezwarunkowe osobiste poparcie suwerenności i terytorialnej jedności Ukrainy i jej niezależności". Zaprosił też zwierzchnika konstantynopolitańskiego patriarchatu na Ukrainę.

Strony wstępnie ustaliły datę wizyty na obchody 30-lecia niezależności Ukrainy w 2021 roku.

Wołodymyr Zełenski liczy na to, że do tego czasu Ukraina poczyni znaczny postęp w wysiłkach na rzecz pokoju, a wszyscy jeńcy w Donbasie, na Krymie i w Rosji powrócą do domu.

Słowa prezydenta nie pozostały bez odpowiedzi.

– Czujemy, że przynosicie nam uczucia miłości, szacunku i oddania całego ukraińskiego narodu do Konstantynopolitańskiej Matki Cerkwi, od której otrzymaliście światło chrześcijaństwa i która zawsze będzie z wami z matczyną miłością i nieustanną modlitwą – powiedział zwierzchnik Fanaru.

Jego zdaniem, te uczucia Konstantynopol okazał, kiedy przyznawał autokefalię Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, „która rozwija się i kwitnie".

– Jesteśmy z tego bardzo dumni – dodał patriarcha Bartłomiej. *– Idziemy tą drogą i kontynuujemy dzieło naszego brata, metropolity kijowskiego Epifaniusza. Dziękujemy Bogu, że jest godny stać u steru waszej Cerkwi*.

Zdaniem obserwatorów, oficjalna wizyta Wołodymyra Zełenskiego na Fanarze ma pokazać Zachodowi, że „pozostaje on wierny poprzedniemu kursowi".

Obecnie między Zełenskim i Zachodem pojawiły się silne napięcia z powodu sytuacji wokół antykorupcyjnych struktur i innych popleczników zachodnich struktur – twierdzą w komentarzu dla strana.ua bliskie prezydentowi źródła. W USA i Unii nabrano podejrzeń, że Zełenski chce doprowadzić do pełnej wymiany kierownictwa Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU) i Specjalnej Antykorupcyjnej Prokuratury (SAP) w ramach dużego programu zwrotu Ukrainy w stronę Rosji.

Według nich takie podejrzenia są „aktywnie podgrzewane przez licznych wrogów Zełenskiego wewnątrz kraju, w pierwszym rzędzie przez Petro Poroszenkę".

Tak więc, żeby je rozwiać, prezydent stara się na wszelkie sposoby przekonać, że pozostanie wierny poprzedniemu kursowi. Wizyta u patriarchy Bartłomieja wpisuje się w tę serię. Przecież w projekcie utworzenia Prawosławnej Cerkwi Ukrainy od początku aktywnie uczestniczyli Amerykanie – wyjaśniają informatorzy.

O. **Nikołaj Danilewicz**, zastępca oddziału stosunków zewnętrznych Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi, uważa, że „sam fakt spotkania Wołodymyra Zełenskiego z patriarchą Bartłomiejem w Stambule, niezależnie od jego wyników, może negatywnie wpłynąć na sondażowe wyniki prezydenta i jego partii „Sługa narodu".

Podkreślił, że „wierni Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi, którzy w swojej zdecydowanej większości głosowali w 2019 roku na Zelenskiego, z dużym zaniepokojeniem przyjęli takie spotkanie". – *To może jeszcze bardziej odepchnąć ludzi od poparcia „Sług narodu" podczas najbliższych wyborów* – powiedział duchowny. – *Ludzie boją się, że powróci polityka i ideologia Poroszenki*.

na podst. spzh.news, sobor.by, pravoslavie.ru, church.by
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **Tatiana Amelina** i **Serafim Žitko** (www.church.by)

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /144/ listopad 2020



Зваліць нашы дрэвы

«Учора разам з іншымі арганізацыямі мы прэтэставалі ў Сейме супраць паправак у законе, якія могуць павялічыць высечку і выпальванне каштоўных дрэў у электрастанцыях. Літаральна ўчора (13.07.2020) увечары Камітэт па пытаннях энергетыкі, клімату і дзяржаўных актываў абмяркоўваў законапраект, які пагражае нашым лесам і накіраваны толькі на павелічэнне прыбытку канцэрна «Дзяржаўныя лясы». Мы не пагаджаемся на разбурэнне нашай прыроды! Далучайцеся і падпішыце зварот – заклікае Грынпіс. – Замест таго, каб ахоўваць прыроду, міністр аховы асяроддзя хоча садзейнічаць спальванню драўніны з польскіх лясоў на электрастанцыях. Новае вызначэнне энергетычнай драўніны уключанае ў праект і адкрывае вароты для павелічэння лесанарыхтовак па ўсёй краіне. Леснікі змогуць прадаваць як паліва дрэвы, якія не маюць ніякага дачынення да дрэваапрацоўчай прамысловасці, але неабходныя для абароны біяразнастайнасці і адаптацыі лясоў да кліматычных змен. Мы павінны лепш абараніць польскую прыроду і падтрымліваць барацьбу з кліматычным крызісам, і такія лясы, як Белавежская ці Карпацкая пушчы нельга далей знішчаць. Мы патрабуем, каб міністр аховы асяроддзя як мага хутчэй назаўсёды і цалкам выключыў з актыўнага кіравання лесам усе старыя і каштоўныя польскія лясы і неадкладна спыніў працу над зменамі ў Закон аб аднаўляльных крыніцах энергіі, якія наносяць шкоду польскім лясам, прыродзе і клімату».

Гэты заклік польскі Greenpeace запусціў у сваім вэб-сайце, у якім заклікаў уладу падрыхтаваць

праграму, якая дазволіць канчаткова выключыць 15% польскіх лясоў з лесакарыстання.

– Мы павінны абараніць старыя польскія лясы ад высечак дзеля дабра дзікай прыроды, клімату і ўсіх нас, – тлумачыць **Марта Грундланд**, каардынатарка лясных кампаній з Greenpeace. – Пандэмія каранавіруса паказвае, як адна пагроза можа разрэгуляваць наш свет. Сёння мы чуем званы трывогі, якія заклікае нас да значных змен у эканоміцы, грамадскім жыцці, але таксама і да нашага стаўлення да прыроды. У гэтыя дні, калі амаль увесь свет змагаецца з пандэміяй каранавіруса, людзі выяўляюць, наколькі важная для нас дзікая прырода. Лясы – гэта месца, куды мы ўцякаем, каб адпачыць. Але старыя прыродныя лясы – гэта, перш за ўсё, прытулак біяразнастайнасці і наш найвялікшы прыродны саюзнік у барацьбе з кліматычным крызісам.

Менш траціны нашай краіны пакрытая лясамі. На жаль, толькі невялікая іх частка належным чынам абаронена, – сцвярджае Грынпіс Польшча. – Толькі 1% плошчы польскіх лясоў складаюць прыродныя запаведнікі (каля 98 тыс. га), а 2% – нацыянальныя паркі (каля 200 тыс. га). Паводле Грынпіс, каб належным чынам абараніць дзікую прыроду і ў поўнай меры выкарыстаць патэнцыял лясоў для мінімізацыі кліматычнага крызісу, каля 15% польскіх лясоў павінны быць канчаткова выключаны з лясной гаспадаркі. Старыя лясы – самыя складаныя наземныя экасістэмы. Яны таксама выдатныя інструменты для барацьбы з кліматычнай катастрофай. Яны захоўваюць велізарныя колькасці вугляроду ў подсціле, глебе і дрэвах з'яўляюцца нашымі «падушкамі бяспекі», зніжаючымі цяжар наступстваў кліматычнага крызісу. Нарэшце – у адрозненне ад лясных монакультур і насаджэнняў – у іх



непараўнальна большы патэнцыял для адаптацыі да зменлівага клімату.

– На жаль, дагэтуль многія найбольш каштоўныя польскія лясы разглядаюцца ў першую чаргу як склад драўніны. Плануецца аднавіць вялікія ўчасткі ў Белавежскай, Карпацкай, Барэцкай пушчах, у лясах, якія знішчаюцца ў многіх іншых месцах краіны. Гэта на шкоду прыродзе, клімату і ўсім нам. Любы фінансавы прыбытак ад эксплуатацыі гэтых лясоў на самай справе з'яўляецца велізарнай стратай для нашай краіны. Мы заклікаем міністраў па пытаннях клімату і навакольнага асяроддзя неадкладна прыняць меры, каб гэта змяніць, – заявіла Марта Грундланд.

– У абгрунтаванне папраўкі ў Закон аб аднаўляльных крыніцах энергіі (АКЭ), якая ўводзіць новае вызначэнне энергетычнай драўніны, мы чытаем, што ў краіне зараз у нас «гіганцкі маштаб экалагічнай пагрозы», польскія лясы знаходзяцца пад пагрозай «экалагічнай катастрофы», а насаджэнні ўсёй краіны могуць зруйнавацца. Эфект градацыі насякомых (у тым ліку караеда) узмацняецца змяненнем клімату. Абгрунтаванне таксама звяртае ўвагу на тое, што працяглая засуха павялічвае рызыку ўзнікнення пажару.

Гэта праўда, што кліматычны крызіс закранае лясы і біяраз-



настайнасць. Градацыя насякомых, такіх як караед або вастразубы караед сустракаюцца часцей і значна больш інтэнсіўна, што прыводзіць да пашкоджання дрэвавых плантацый, за якімі даглядаюць леснікі. Аднак такім рашэннем – доўгатэрміновым і якое будзе падтрымліваць лясы ў належным стане – не з'яўляецца дапушчэнне вырубкі і продажу мёртвага дрэва ад санітарных высечак для электрастанцыі.

Замест таго, каб узмацніць дзеянні, якія засцерагуць польскія лясы і дазволяць ім паспяхова адаптавацца да зменлівага клімату шляхам рэнатуралізацыі дрэвастояў і правядзення сап-

раўды ўстойлівай гаспадаркі лясамі, Міністэрства аховы навакольнага асяроддзя дублюе памылкі 2017 года, калі разбурэнне Белавежскай пушчы было дазволена пад падставай барацьбы з караедам.

Монакультуры, монаідэі

Эколагі лічаць, што праблемы польскіх лясоў, з якімі мы сёння сутыкаемся, шмат у чым вынікаюць з безадказнага гаспадарання лесам. Паводле справаздачы Дзяржаўных лясоў аб стане лясоў у Польшчы пераважаюць іглістыя дрэвы. Сасновыя дрэвы складаюць больш за 60 адсоткаў усіх дрэў у лясах гаспадараных ДзЛ, а другое па распаўсюджанасці дрэва – яліна. І менавіта гэтыя віды часцей за ўсё атакуюцца насякомымі, такімі як вастразубы караед і яловы караед (тыпограф). У той жа час справаздача IUCN (Еўрапейскі чырвоны спіс дрэў) і пазіцыя, прадстаўленая Польскай акадэміяй навук кажуць, што мясцовыя віды дрэў у Польшчы і Еўропе знаходзяцца пад пагрозай знікнення – звычайная елка і шатландская хвойка маюць малыя шанцы на выжыванне. Гэта азначае, што большасць аднавідавых дрэвавых плантацый (монакультур елкі і сасны) у Польшчы паступова вымірае. Эколагі лічаць, што Дзяржаўныя лясы ведаюць той факт, што лясная гаспадарка, арыентаваная на вытворчасць іглістых парод, якім аддае перавагу прамысловасць, не можа працягвацца. У апошнія гады было пасаджана больш ліставых дрэў, такіх як дубы і букі. Аднак рэканструкцыя дрэвастояў ідзе занадта павольна.

Якое рашэнне для лясоў і для клімату?

Публікуючы свае даследаванні ў часопісе „Science”, група навукоўцаў, у тым ліку праф. **Яцэк Алексын**, дырэктар Інстытута дэндралогіі Польскай акадэміі навук, паказалі, што шмат відаў дрэў прыносіць значна большы фінансавы прыбытак, чым адзіночныя віды. У той жа час такія лясы характарызуюцца найвышэйшай ступенню біяразнастайнасці і значна больш устойлівыя, чым лясы аднавідавыя. Вялікая біяразнастайнасць таксама больш эфектыўная ў назапашванні вугляроду ў атмасферы, што можа запаволіць змену клімату. Шматвідавыя дрэвастоі гарантуюць таксама больш эфектыўную абарону ад уздзеяння засухі ці паводкі.

Першачарговай задачай дзяржаўных лясоў павінна стаць падтрымка прыродных працэсаў, якія могуць прывесці да рэнатуралізацыі лясных месцаў пражывання і папулярызацыі біяразнастайнасці ў месцах, дзе да гэтага часу садзілі толькі адзін від дрэў. Гэтыя працэсы можна падтрымліваць не шляхам высечкі і выдалення мёртвага дрэва, а шляхам яго раскладання натуральным шляхам, што падтрымлівае працэс аднаўлення лесу.

Эколагі: «Што думаюць леснікі»

Асноўная мэта акта, кажуць, каб знайсці рынак збыту не толькі для драўніны, якая «ляжыць» у лясах, якая пасля дажджлівага месяца ўжо не ўяўляе небяспекі ад пажару. У тлумачальнай запісцы да законапраекта чытаем, што ён адначасова павялічвае колькасць санітарных высечак (накіраваных на барацьбу з насякомымі) і продажам так званых «мёртвых дрэў». Замест таго, каб думаць пра доўгатэрміновую перспектыву, Дзяржаўныя лясы і Міністэрства аховы навакольнага асяроддзя думаюць толькі пра тое, каб часова запоўніць недахопы бюджэту і далей павялічыць прыбыткі. Каб адаптаваць насаджэнні да зменлівых кліматычных умоў, неабходна рэнатуралізаваць і засяваць у лясах шмат відаў. Мёртвая драўніна – неад'емны элемент гэтага працэсу. Мы павінны абараняць біяразнастайнасць. Высечка і продаж дроў электрастанцыі не дапамогуць прыродзе.

«Не спальвайце нашы лясы!» – пад такім лозунгам пратэставалі эколагі пад Сеймам супраць паправак у закон аб аднаўляльных крыніцах энергіі. Лічаць яны, што папраўка ў закон аб аднаўляльных крыніцах энергіі, якую міністр аховы асяроддзя **Міхал Вось** спрабуе ўвесці, уводзіцца пад дыктоўку кіраўніцтва Дзяржаўных лясоў. Дзякуючы новаму вызначэнню, Дзяржлясы атрымаюць доступ да шырокага рынку. Змена акта таксама адкрые шлях для далейшых раздзелаў. Лічаць, што такая папраўка, важная з пункту гледжання польскай прыроды, павінна быць унесена не без кансультацый з грамадскасцю. „Міністр Вось, дзеля лясных баронаў па гаспадаранні Дзяржаўнымі лясамі, ператворыць мільёны польскіх дрэў у попел. Для яго важнае не навакольнае асяроддзе, а інтарэсы тых бізнес-груп, якія жывуць ад эксплуатацыі гэтага асяроддзя. Міністр, вы павінны ахоўваць прыроду, а не прыбытак! Мы не хочам, каб лясы былі біямасай. Пандэмія — выдатная нагода, каб сказаць шмат пра клопат і абарону, увесці рашэнні, шкодныя для людзей і прыроды. Міністр, грамадства зразумела! Шлях попелу – няправільны шлях. Мы глядзім на вашы рукі і не застанемся пасіўнымі”, – казала **Марыя Балдак** з Extinction Rebellion.

«Мы кахаем Пушчу»

Радыё Марыя: – Крывадушнасць гэтых экаактывістаў – яшчэ адзін доказ таго, што праф. **Ян Шышко** меў рацыю пра Белавежскую пушчу. Тыя экалагічныя арганізацыі, якія заблакіравалі леснікоў ад выратавання Бела-

вежскай пушчы ад яловага караеда, зараз патрабуюць неадкладнага ўмяшання чалавека для абароны ад пажараў. Ім не сорамна за сваю крывадушнасць. Белавежжа мае патрэбу ў чалавечай дапамозе, каб абараніць яе ад агню. Гэта паведамленне арганізацый, якія не так даўно сцвярджалі, што чалавек не мае права ўмешвацца ў тое, што адбываецца ў Пушчы.

– Жыхары Белавежскай пушчы абураныя крывадушнасцю гэтых нібы экалагічных арганізацый, – казаў **Мечыслаў Гмітэр** з „Грамадскага руху абаронцаў Белавежскай пушчы”. – Дрэвы настолькі пашкоджаны караедам, што тады яны, безумоўна, зваляцца.

Актывісты заблакіравалі санітарныя высечкі, якія маглі б спыніць распаўсюджванне караеда. Яны проста зацкоўвалі лесаводаў і праф. Яна Шышко, які хацеў выратаваць Пушчу. Яны перавярнулі жыццё мясцовай супольнасці з ног на галаву.

– У мясцовых жыхароў няма дроў, у іх няма працы, якая была ў лесе, яны не могуць хадзіць па грыбы. Бабулі і дзядулі, якія жывуць тут, часта кажуць: «Куды я пайду паказваць унуку лес, які я пасадзіў?» Калі б здарыўся вялікі пажар, задымленне, тэмпература, то мы проста апынуліся б пад сцяной, – падкрэсліваў Кшыштаф Замойскі, інжынер па наглядзе ў Гайнаўскім надлясніцтве. – Гэта таму, што лес ужо пашкоджаны караедам.

Экалагічныя арганізацыі звяртаюцца, з аднаго боку, да фінансавання пажарнай службы ў Пушчы. З іншага боку, яны кажуць, што Пушча дасць сабе рады ў адзіночку.

– Пушча можа справіцца самастойна, пакуль мы ёй не перашкодзім, – заяўляе Марта Грундланд.

Пушча, знішчаная караедам, пад вялікай пагрозай. Леснікі лічаць, што адзіная надзея для Пушчы – рэалізацыя плана праф. Яна Шышко і навукоўцаў, з якімі ён супрацоўнічаў.

– Калі лесаводы вернуцца ў Белавежскую пушчу як гаспадары, вернецца лясная навука, вернуцца развага і розум, будзе шанц, што Пушча будзе ўратаваная ў нейкай ступені, – мяркуе Мечыслаў Гмітэр.

– Так званыя экалагічныя арганізацыі павінны быць прасветлены. Хто іх фінансуе і якая іх мэта? – адзначыў **Шчэпан Вуйцік**, старшыня Інстытута сельскай гаспадаркі. – Паводзіны экаактывістаў – выраз вялікага крывадушша і недасведчанасці гэтых арганізацый. Пратэсты, якія яны вядуць дагэтуль, і словы, якія яны прамаўляюць сёння, пацвярджаюць тое, што праф. Ян Шышко меў рацыю. Прафесар Ян Шышко неаднаразова заклікаў як мага хутчэй вырашыць справу Белавежскай пушчы, бо гэта пытанне гонару Польшчы.

– Каб гэты скандал у свеце не паўтарыўся, каб ніхто не сказаў, што людзей, якія з'яўляюцца прыкладам для пераймання аховы прыродных рэсурсаў, абвінавачваюць у высечцы апошняга першабытнага лесу ў Еўропе. Хтосьці павінен несці за гэта адказнасць. Маральную адказнасць і, спадзяюся, таксама фінансавую, – заклікаў праф. Ян Шышко. Ён аддаваў усё сваё сэрца ў абарону Пушчы. Барацьба за нармальнасць у Белавежскай пушчы забрала яму як мінімум некалькі гадоў жыцця. Калісьці мы гаварылі на гэты конт, ён сказаў, што праўда павінна перамагчы, – адзначыў Павел Салэк, дарадца прэзідэнта Рэспублікі Польшча па пытаннях аховы навакольнага асяроддзя, кліматычнай палітыкі і ўстойлівага развіцця.

Чый жа прыбытак – наша Белавежская пушча?

Міра Лукша, фот. **аўтарка** і **Радаслаў Мацiевіч**

Świet, kotory odchodit

Nad czym pryzadumatiś pered perszym listopada, po perszomu listopada, na *Radonicu* czy w dniach, koli zbirajemsia na mohiłkach koło mohiłuow naszych bliśkich. Szto pisati? Pro tych, kotory odyszli, no wsio szcze je żywuszczy, kotory pomniat ich sami abo z rozkazuw simjie? Pro znicze, jak jarko tohdy zahoraćcia? Pro kamenny kryżye i zadopkany mohiły ne wiadomo po komu? Jak to w odnomu iz wierszykuw:

Kamenny kryż

zamknuw w sobi͡e wyryty słowa

jakby ne łaskati myti szorowati
ne wpustit w tajnu
po komu koli

stoit z zatertoju pametioju

ny swi͡eczki zapalaneji
ny winka
kryhom zadopkana zemla

Dziś o tych, kotory szcze żywut, no liet dużo majut... Z tymi lietami, dużo czy mało, to czasto zależyt od toho, kuolko nam. Prypominaječćia, jak koliś tiota po wosimisiatci kazała: „Oj, mołody umer”. Pytajem: „A kuolko jomu było?” „Nu 65”.

My młodniaki wytryszczowali oczy i uśmichaliś – jak każut – w rukaw. Szto prawda, nekomu ne wiadomo „koli”. Ale czym buolsz liet, tym jakby bliżej...

Czasami zastanawlajuś, szto dumajut, nu tak pud dewenosto. A dumajut. Sidiewszy w pustych chatach na wiośći, wyhledawszy czerez okno, koli to naszy pryjiedut. Chocz nuocz bez snu, wstali z sonciom. Słowa Bohu, szcze odin deń. I nawet', jak na ławoczkach i sprawny szcze hospodynie trajkotiat pro toje, szto

nawaryli, szto kupili, koho baczyli siam czy tam – wony jakby uże ode i ne ode. Uśmichajućcia niby, na ułybka jakajaś wiała. Czasami sztoś zapytajut, jakby szcze trymaliś kołoteczy dnia. A wsio-taki odchodiat w swojie dumki „jak to tam”. Odnym sietoho świeta szkoda, bo taki choroszy. Druhi bojaćcia tamtoho świeta. Bo jak tam bude, jak bude? A nekotory pytajut, czy to wże nastojaszczy kuneć z kunciuow i nehde mene…

Ale jakby nekoneczno pro siete chotieła pisati, pro sztoś druhie, chorosze – prechorosze, szto szczym serciowi daje. A szcze trochi – odyde, razom z tymi ludima, kotorych ne stane.

Siejruk dużo jiezdiła rowerom na wiosku. Poka do sebe, to perejieżdżała czerez seło po dorozi. De tam baczu ludi, znaju ne znaju, to wsiem kłaniajuś. I prymietiła takuju grupku staruszok, sztyry – piat’ ich, na kijeczkach nekotory opiraliś. Wsio koło odneji ławoczki, zrazu stojali, a potym uże sidieli. Kiwnu hołowoju nad rulom, a wony pramo u pojas pokłoniaćcia. Mat’ czesnaja – u pojas! Opirawszyś na tych kijeczkach. Ne znawszy, chto ja. Nu de takoje szcze najti? Żywszy u blokach, czasto ne bardzo znajem swoich susieduw. A u welikich horodach to i wobszcze litami neraz neizwiesno, chto tam za stinoju. Odny z klatki skażut „dzień dobry”, a inszy minawszyś i ne mruknut. A tut takoje: staruszki, projiezżuj neznakomuj – u pojas! A potym szcze buolsz trohatielne. Dojieżdżaju, uże jakby żdu na ich, a wony na mene – sidiat! Wże izdaleka kotoraś machaje rukoju, poznali. Pochiliaju hołow z rowera, a wony sidiewszy kłaniajućcia. A odna wstaje, szcze poka dojiedu i z pojasnym pokłonom. Nu tak to tuolko w cerkwi i to wsio ryedżej…

Rozkazuju znakomomu profesorowi z Jagiellonki: takii szcze u nas czudiesa, nu bo jak to nazwati?

Zoja Saczko

Wojna o Białoruś

To tytuł artykułu Jarosława Dobrzańskiego (Przegląd 7-13.09.2020), pisany jeszcze u szczytu konfliktu na Białorusi, ale z jakąż przenikliwością. Autor omija szturm medialny, banały, frazesy, polityczną mitologię i dezinformację. Nie interesują go tropy typu „ciemiężony od ćwierć wieku naród”, czy „Białoruś – lekcje polskiej Solidarności”. Skupia się na faktach.

Zauważa, że na Białorusi po upadku ZSRR nie odrodziły się duchy nacjonalizmu, szowinizmu czy antysemityzmu, które stały się plagą wielu poradzieckich republik. Jeśli chodzi o władzę, nie powstała struktura klanowo-dynastyczna, znana z republik azjatyckich, ale dodajmy, i państw europejskich, jak Czarnogóra. Kraj nie doznał społecznej terapii szokowej, jak inne postsowieckie republiki, skazujące miliony na ogromne trudności socjalne. „Białorusinom tego lekarstwa zaoszczędzono dzięki strategii politycznej Łukaszenki, który umiejętnie posklejał kraj powstały na gruzach rozpadającego się imperium”.

Autor pisze o zachowanych osłonach socjalnych, z których korzystają wszyscy. Podaje, że koszt utrzymania mieszkania w Mińsku jest pięcio- a nawet dziesięciokrotnie niższy niż w Warszawie, Kijowie, czy Moskwie. Dotowane są energia, gaz, paliwa, usługi publiczne, służba zdrowia, edukacja, szkolnictwo wyższe i nauka. Białorusini mają wciąż możliwość zdobywania na państwowych uczelniach za darmo dobrego wykształcenia – gdy wyjeżdżają z kraju, konkurują z rówieśnikami z Zachodu.

Dlaczego nie ukształtowało się na Białorusi społeczeństwo rozwarstwione, z jednej strony generujące klasę oligarchów, z drugiej zamykające ogromne warstwy w miejskich gettach podklasy, dziedziczenia biedy i niskiej pozycji społecznej? Bo na Białorusi autorytarna władza nie dopuściła do rabunkowej prywatyzacji dla wybranych. Prezydent Łukaszenka próbował swoimi metodami, nawet jeśli przez kogoś nazwanymi prymitywnymi, ocalić Białoruś jak samotną wyspę, dryfującą na oceanie agresywnego globalizmu i neoliberalnego kapitalizmu, z jego mechanizmami nieuczciwej konkurencji i kontrolą międzynarodowego handlu.

Białoruś wypada lepiej niż kraje dużo bogatsze, w tym cała Unia Europejska, pod względem wskaźników rozwarstwienia społecznego, nierówności i odsetka ludzi żyjących w ubóstwie – stwierdza autor. A poziom życia jest na Białorusi nieporównywalnie wyższy niż na „demokratycznej” Ukrainie czy w innych poradzieckich republikach, mimo startu w 1991 roku z niższego niż one pułapu i mimo braku bogactw naturalnych i sowitego spadku po ZSRR w postaci zagłębi przemysłowych, jak na Ukrainie.

Białoruś dotychczas omijał los, jaki spotkał postradzieckie republiki, w których wyreżyserowano i sponsorowano z zewnątrz kolorowe lub kwiatowe rewolucje, na których, dodajmy, zyskiwała tylko oligarchia krajowa i międzynarodowa i które prowadziły do osłabienia Moskwy, co leżało przede wszystkim w interesie Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego więc doszło do buntu na Białorusi. Kto go podgrzewał?

Nieżyczliwe wobec białoruskiej ścieżki rozwoju zagraniczne ośrodki, takie jak magazyn amerykańskiej oligarchii biznesu „Forbes”, telewizja i serwis internetowy Biełsat, „finansowane przez polskiego podatnika i prowadzące wojnę propagandową z władzą na Białorusi”. Ale opór wyrósł także wśród warstwy najbogatszych obywateli Białorusi, ponieważ i

tam od niedawna powstała własna oligarchia. Łukaszenka dopuścił do tworzenia prywatnych firm w sektorze informatyki. W tej strefie wytworzyła się warstwa ludzi, zarabiających olbrzymie pieniądze, dla których bliski stał się inny system wartości i „siermiężny bat'ka" nie przystawał do ich zachodniego, wielkomiejskiego i konsumpcyjnego stylu życia. „To ci ludzie walnie przyczynili się do kłopotów Łukaszenki". Oderwana od rodzinnej gleby, powierzchownie zeuropeizowana młodzież, wołałaby jako przywódcę kraju kogoś innego. Oblicza się, że grupa białoruskich milionerów, którzy wzbogacili się głównie na sprzedaży programowania i gier komputerowych, ale także na handlu walutą, przemyśle wydobywczym i chemicznym, liczy teraz około 0,1 proc. populacji. Ich gigantyczne majątki powstały w strefie poradzieckiej. Ośrodki swojej aktywności przenoszą oni do Monako, Londynu, Nowego Jorku i tam lokują swoje pieniądze, kupując liczne nieruchomości.

Oni nie działają już ani na rzecz Białorusi, ani tym bardziej bat'ki, ale na rzecz globalnej oligarchii i Zachodu, dążąc jednak do zdobycia wpływów politycznych, a nawet do przejęcia władzy w kraju swego pochodzenia. Popiera ją młodzież, wykształcona według współczesnych standardów, pracująca w usługach „kreatywnych", która nie broni interesu ogólnego, tylko widzi swoje partykularne cele. Ma ona siłę nacisku, bo wielu w ramach tej grupy pracuje w obszarze komunikacji internetowej i międzynarodowego PR.

Po drugiej stronie tejże „elity" jest milcząca większość, która ceni sobie bezpieczeństwo ekonomiczne, stabilność zatrudnienia i cały pakiet socjalnych usług. Ale nie ma wpływu na kształtowanie społecznej opinii.

A co na to Rosja? „Nie ma jednej Rosji. Ścierają się tam różne opinie i interesy. Zglobalizowana rosyjska burżuazja związana z resortami gospodarczymi oraz prywatnymi gigantami finansowymi i przemysłowymi chętnie przejęłaby w drodze prywatyzacji ogromne przedsiębiorstwa państwowe Białorusi." A jest co przejmować – przemysł chemiczny, kopalnie soli potasowych, fabryki maszyn, ciągników siodłowych i gigantycznych ciężarówek, dla których niemal nie ma w świecie konkurencji. Kreml więc balansuje między różnymi grupami nacisku, a Łukaszenka, pragnący zachować jak najwięcej suwerenności dla Białorusi, lawiruje w tej sytuacji między a to zbliżeniem z Rosją, a to z Zachodem. Choć wie, że z Zachodu, szczególnie USA, też nic dobrego nie przypłynie do białoruskiego brzegu. Wszak wszyscy białoruscy opozycjoniści odbywali staże w ośrodku szkoleniowym Departamentu Obrony USA, Marshall European Center for Security Studies w Garmisch-Partenkirchen, „uniwersytecie amerykańskiego imperializmu".

Czy Białoruś zachowa suwerenność – tę kwestię autor artykułu uważa za otwartą. Politykę zaś Polski wobec Białorusi uważa za czyste awanturnictwo międzynarodowe, pozbawione wszelkiej odpowiedzialności politycznej, w dodatku podszyte egoizmem – „w nieszczerym popieraniu przewrotu Polska po cichym liczy na potencjalne korzyści dla swego rynku pracy. (…) przydałby się drenaż mózgów za wschodnia granicą".

Jarosław Dobbrzański stwierdza: „Polska nie powinna również ułatwiać awanturniczej i agresywnej polityki mocarstwom, zainteresowanym destabilizacją bezpośredniego otoczenia Rosji". Nic bowiem na tym nie skorzysta, tylko poniesie straty polityczne i gospodarcze. Ale, tu ciekawe stwierdzenie, by tak się zachowała, musiałaby się wybić na prawdziwą niepodległość, a szanse na to ma mizerne, przy obecnej klasie politycznej i obojętności społeczeństwa.

omówienie **Anna Radziukiewicz**

Дуб до дуба похілівся, комар з дуба ізвалівся

Окрім ліричних пісень про кохання, улюблений репертуар народних співаків з Підляшшя – це жартівливі та сатиричні твори. У підляських селах – у пам'яті старіших людей та в репертуарі багатьох місцевих фольклорних колективів – збереглося безліч пісень, які з гумором, а іноді з іронією показують повсякденне життя мешканців села, подружжя, схильність чоловіків, а іноді й жінок до алкоголю, відносини дівчина – хлопець, невістка – свекруха, зять – теща, кум – кума. Жартівливі пісні давали розвагу та були своєрідною формою, щоб полегшити тяжке життя та нелегку працю в сільському господарстві. Їх виконували під час сімейних урочистостей, на вулицях, вечорницях, гулянках забавах, а також під час праці в полі.

Гумористичні пісні та приспівки співали, перш за все, під час хрестин. Не бракує в них непристойних, сороміцьких елементів, багатозначних підтекстів, зокрема коли йдеться про відносини кум – кума.

У Чижах популярною була, наприклад, така приспівка:

Пришов кум до куми,
Кума гречку полє.
Добре, куме, што пришов,
Муой пушов у полє.

Відома як в Україні, так і на Підляшші пісня «Ой куме, куме добра горілка» розповідає, з черги, про те, як кум та кума домовляються на п'янку на кожен день тижня.





Багато гумористичних і сатиричних моментів з’являється в обрядових весільних піснях. Цікавою групою є приспівки, що їх співалося під час випікання короваю, в яких жінки, що пекли це обрядовий хліб, сміялися нерідко самі з себе.

Весілля насичене жартівливими і сатиричними текстами, частий мотив яких це схильність до п’янства та ледарства. Популярною на цілому Підляшші була така приспівка:

Ой випити – то-то я,
Закусити – то-то я,
До роботи болят бокі –
Ой ни сила моя.

Цитований варіант цієї приспівки був записаний у Черемсі-Селі.

Численні гумористичні теми з’являються у весільних піснях, адресованих дружкам і сватам. Наприклад, у Збучові для старих холостяків співали:

Ой чиє то теля по полю брикає?
А то того гультая, што жуонкі не має.
Заженіете теля, нехай не брикає.
Оженіете гультая, нехай жуонку має.

Весільному старості – маршалку, докучали:

Наш маршалок не вдався,
Сіем ліет не вмивався.
А восьмого року
Поїехав до Істоку.
І в Істоці впівся
І нагавіць забився.

А в Курашеві ось так сміялися з молодих дівчат:

Сіелі дружечкі, сіелі –
Аж стренуліся стіени.
Ще й лєпі стенуться,
Як дружкі поп’ються.

Докучали й так:

Друга дружка рабая,
Як жаба луговая.
Кричала верещала,
До стола не достала.

Жартівливі елементи з’являються також у піснях, що їх виконували у весільну ніч та на другий день весілля. Бо ж весілля це завжди було веселе свято, навіть якщо дівчина не йшла заміж за укоханого, але за чоловіка, якого вибрали їй батьки, що колись траплялося доволі часто.

Веселі твори співалося й під час тяжкої праці в полі. Їх виконували, хоча б у жнива, зокрема тоді, коли вже ставили в полі «перепелицю». Це зрозуміло – завершення жнив завжди було моментом веселощів, бо ж вдалося зібрати врожай на весь рік.

У Тростянці жартували з женців-жінок:

Там на облозі скакалі жаби,
Дожалі жито стариє баби.

А у Павлах у ґміні Заблудів сміялися з господаря:

Дожалі жито, вигналі ліса.
В нашого пана головка лиса.

Цікаву групу жартівливих пісень складають звичайні, позаобрядові твори, в яких з’являються сюжети, пов’язані з питтям алкоголю. Як приклад можна навести пісню з Курашева, в якій говориться про те, як бідні кавалери, що зібралися на п’янку, забирають гроші наївному багатому господарю:

Один взяв за лоб,
А другі за чуб,
А треті за шию б’є.
Ой не йді, не йді
Дядьку богати,
Де босота п’є.

Буває, що в піснях висміюють

Веселі підляські твори переймають і включають до свого репертуару дитячо-молодіжні гурти, як «Гілочка» з Черемхи (2020 р.)



схильність жінок до алкоголю. Одну з таких пісень вдалося записати від померлої цього року **Євдокії Маркевич**, талановитої співачки з Дашів.

Пісня розповідає історію молодої дружини, яка «розпилася, розгулялась»:

Вона п'є, гуляє,
А о дом не дбає.
А хто ж єї молодеї
Дому доглядає?

Результат гуляння молодиці – це:

Свині печи риют,
Кошкі ложкі миют,
А Колюньо свою жону
Дубиною биє.

Ця пісня показує несерйозне ставлення до подружжя, відносин чоловік – дружина, в яких нерідко з'являлася оця «дубина». До речі, мотив биття жінки чоловіком або навпаки є доволі частим сюжетом жартівливих і сатиричних пісень.

Цікава версія популярної української веселої пісні «Несе Галя воду», яка починається зі слів «Несе тьоща воду» (записана, між іншими, в Дашах), у свою чергу показує відносини зять – теща:

Зятю, ти мой зятю,
Зятю мой хороши
Була тьоща добра,
Як давала гроши.

А типер старая
І грошин ни має,
А зять хороши
З хати виганяє.

У жартівливих творах часто маємо певні типи персонажів, які переходять з однієї пісні в іншу. Це хлопець-п'яниця, невдалий залицяльник, весела вдовиця, сварлива дружина, зла свекруха або теща та інші.

Досить численна група жартівливих пісень оспівує різні етапи взаємин парубка й дівчини. Як приклад наведемо пісню з Дашів, у якій народ висміює залицяльника:

Ой, ішов я до дивчини
Колісь о пувночи.
Сидит гуска на дорози
Витрищивши очи.

Я до єї – гиля-гиля,
Она политіла.
Жеб ни тая дивчинонька,
Була б мене з'їла.

Популярною у підляських селах були різні жартівливі пісні про комарика, з чого найвідомішою є «Ой, що ж то за шум учинився». Розповідає вона історію комара, що одружився на мусі. У Чижах співали:

Взяв вуон жуонку собіе невелічку,
Што й не вміеє шиті, прасті чоловіечку.
Што й не вміеє шиті, прасті ні варіті,
Ні до свого комарика говориті.

Певно й маловідомим фактом є історія виникнення цієї пісні, яку складено як сатиру на козака Олексу Розума, що одружився з російською царицею Єлизаветою і став Розумовським, дякуючи чому його брат Кирило став гетьманом України («учинився» тоді великий «шум»). Однак цариця померла і на її місце прийшла Катерина ІІ – «де взялася шура-буря, вона ж того комарика з дуба здула». Народ у такий прихований спосіб розповів про Єлизавету Петрівну і братів Розумовських.

За типом композиції жартівливі пісні розрізняють на пісні-діалоги, пісні-самооповіді (монологи), описові пісні, де текст подається від третьої особи, а також пісні змішаної форми.

Пісні-діалоги побудовані на контрасті, протиставленні та зіставленні, що найприродніше досягається за участі кількох виконавців або груп:

– Де ж ти мене поховаєш
Міли муой, мілєнькі?
Де ж ти мене поховаєш
Голубе сівенькі?
– За хлівом міла,
За хлівом міла,
За хлівом уха-ха,
Міла чорнобривая.

У піснях самооповідях співак характеризує себе у смішному вигляді.

Ось фрагмент пісні з Малинник, у якій парубок розповідає історію свого залицяння до заміжньої жінки:

Як ішов я од сусіедкі
Через перелази,
Як ударив мужик ціепом
Аж читири рази.

З черги, у пісні із Збуча оповідачем є молода дівчина, до якої починають залицятися хлопці:

Як я била мала, мала,
Колихала мене мама.
Як я стала пудростаті,
Сталі хлопці колихаті.
Колихалі мене хлопці
То й в колисці то й в коробці.
А я спаті не хотіела
За коробу драпотіела.

В описових піснях текст подається від третьої особи, якби сторонній спостерігач розповідав про кумедні події, ситуації, сцени.

Ось фрагмент ще одної пісні про комара, тим разом із Кленик:

Дуб до дуба похілівся,
Комар з дуба ізвалівся.
Об дубовиї сукі
Вуон побів своїе бокі.
Об дубовиє корені
Вуон побів своїе коліені.
А як далі мухам знать
Прилєтіелі ратовать.
Комарочку родний браце
Де тебе нам поховаті?

У піснях про комарика жартівливий ефект досягається за допомогою гіперболи – ось малий, але вередливий комарик так злітав з дуба, що й пооббивав свої боки і коліна.

Пісні змішаної форми це один з найпоширеніших прийомів. Тут маємо і форму опису, і діалогу. Як приклад можна навести пісню про неоднозначні відносини кум – кума з села Кошки:

Ой, кум до куми заліцявся.
Колопеньки сіеяти обицався.
– Кумцю моя, рибцю моя,
А хто ж тобіе то й поможе, як не я?

Важко собі уявити виступи підляських ансамблів на сцені без жартівливих і сатиричних пісень. У них висміюють людські взаємини, риси зовнішності, аномалії з точки зору народної моралі, поведінку молодих дівчат і хлопців, схильність до п'янства, ледарство. У цих творах помітний живий народний гумор – часом прихований, часом відвертий, буває, що й непристойний, сороміцький.

Однак нерідко це сміх крізь сльози, та за висміюванням певних життєвих ситуацій відчувається гіркоту людського життя, бідність, з якою кожного дня боролися наші діди-прадіди, тяжкі обставини життя та й працю понад сили, до якої звикали вже малі діти. Однак легше переносити життєві злидні з веселою піснею на устах.

Людмила Лабович
фото **архівні**, **авторки**

NA KĘDZIERZYŃSKIM CMENTARZU ŻOŁNIERZY RADZIECKICH

Modlitwa za poległych

Sobota 12 września była pięknym słonecznym dniem. Na kędzierzyńskim cmentarzu żołnierzy radzieckich zebrała się ponadtrzydziestoosobowa grupa, by w 75 rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej oddać hołd spoczywającym tam około osiemnastu tysiącom żołnierzy, a także innym, którzy oddali życie w walce z faszyzmem.

Na uroczystość, zorganizowaną w imieniu prawosławnej parafii Ikony Bogarodzicy Wszystkich Strapionych Radości w Kędzierzynie-Koźlu przez jej proboszcza, przybyli m.in. ambasador Białorusi w Polsce **Władimir Nikołajewicz Czuszew**, konsul generalny Federacji Rosyjskiej w Poznaniu **Ivan Kosonogov** oraz przedstawiciele attaché wojskowego Ambasady Federacji Rosyjskiej podpułkownik **Wasilij Siergiejewicz Onisimow** i major **Dimitrij Leonidowicz Bukow**.





Polskę reprezentowali prezes Stowarzyszenia Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej **Roland Dubowski**, prezes honorowy stowarzyszenia płk w stanie spoczynku **Tadeusz Kowalczyk**, wiceprzewodniczący zarządu krajowego i prezes opolskiego okręgu Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód **Eugeniusz Brudkiewicz**, przewodniczący wrocławskiego oddziału tego stowarzyszenia **Andrzej Mordel**, a także przewodniczący Patriotycznego Związku Organiza-



cji Kresowych i Kombatanckich w Warszawie **Witold Listowski** i wiceprezes związku **Jan Rudziński**.

Gości powitał proboszcz kędzierzyńskiej parafii. Zwrócił uwagę, iż żołnierze spoczywający na miejscowym cmentarzu oddali życie nie tylko za swoją ojczyznę, ale też, aby świat, w którym żyjemy, mógł spokojnie istnieć. Podkreślił, że druga wojna nie zakończyła się 9 maja, lecz 2 września 1945 roku, że była największym wywołanym przez człowieka kataklizmem. Dotknęła 72 państwa i 1,7 miliarda ludzi, walczyło w niej 110 milionów żołnierzy, a ofiar było około pięćdziesięciu milionów. Duchowny zaznaczył, że największą ofiarę poniósł Związek Radziecki, a republiką, która najbardziej ucierpiała od niemieckich faszystów i ich kolaborantów z innych państw – w tym ukraińskich, którzy wchodzili w skład SS Galizien czy SS Nachtigall – była Białoruś. W republice tej stawiano największy opór okupantom, tam też najbardziej była rozwinięta sieć partyzancka. Zwrócił uwagę na wkład prawosławnych duchownych w walkę z faszyzmem, w szeregach Armii Czerwonej służyło na przykład kilkuset kapłanów, wśród nich przyszli biskupi, metropolici i nawet patriarcha Pimen. Patriarcha Aleksy I za zasługi wojenne odznaczony został medalami „Za obronę Leningradu" i „Za Ofiarną Pracę w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej". Zaakcentował, że gdyby nie Armia Radziecka, nie byłoby dziś Krakowa i serca katolicyzmu – Częstochowy, albowiem pokrzyżowała plany wysadzenia tych miast. – Niech ci, co sprzeciwiają się oddawaniu hołdu żołnierzom radzieckim i chcieliby usunąć ich pomniki, nie koniunkturą polityczną będą wiedzeni, ale zrozumieją, że nie byłoby ich ani Polski takiej, jaka jest teraz – zakończył wystąpienie.

Ambasador Białorusi w Polsce zwrócił uwagę, że w czasie drugiej wojny zginął co trzeci mieszkaniec Białorusi.

Konsul generalny Federacji Rosyjskiej mówił o stratach, jakie wojna przyniosła narodowi polskiemu – w jej wyniku zginęło około sześciu milionów obywateli, w tym trzy miliony Żydów, obywateli polskich. Odniósł się też do burzenia pomników żołnierzy radzieckich w Polsce i innych krajach europejskich. – Właśnie ku czci żołnierzy wyzwolicieli, a nie reżimu stalinowskiego postawiono w Europie pomniki. Teraz tzw. cywilizowani Europejczycy je burzą. Pamięć o wojnie coraz częściej pada ofiarą bieżącej koniunktury politycznej. Występują próby porównania oprawców i ofiar wojny, pomniejszenia roli ZSRR w zwycięstwie nad faszyzmem. Przypomniał, że główne siły III Rzeszy w liczbie ponad sześciuset dywizji zostały zmiażdżone na froncie radziecko-niemieckim, gdzie ramię w ramię z Armią Radziecką walczyły dwie armie Wojska Polskiego, które pod koniec wojny stanowiły potężną siłę militarną, liczącą około czterystu tysięcy żołnierzy.

Podpułkownik z attachatu Federacji Rosyjskiej podkreślił wagę pielęgnowania pamięci o żołnierzach Armii Radzieckiej, którzy leżą na polskich cmentarzach.

Prezes Stowarzyszenia Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej przypomniał, że to właśnie dzięki żołnierzom Armii Czerwonej, z których aż sześćset tysięcy leży na polskich cmentarzach, Polska uzyskała ważne ze względu na dobrze rozwinięty przemysł ciężki i infrastrukturę ziemie zachodnie. Zaznaczył, że tylko wtedy ustrzeżemy się kolejnej wojny, jeśli będziemy pamiętać o bohaterach drugiej wojny – Rosjanach, Polakach, Białorusinach, Ukraińcach i wielu innych narodach. – Historycznie i pochodzeniem – kontynuował – Białorusini są najbliżsi Polakom. Nie pozwólmy zniszczyć naszego wspólnego dziedzictwa, w głównej mierze słowiańskiego, dobrej współpracy. Nie dajmy się podzielić. Dziś zagrożeniem jest zrobienie Majdanu na Białorusi na wzór Ukrainy. Podobnie jak w Polsce po 1989 roku, gdy wyprzedano majątek narodowy i zrobiono z nas niewolników.

Po przemówieniach przybyli złożyli pod pomnikiem poległych wieńce i wiązanki kwiatów. Następnie odprawiono przy prawosławnym krzyżu panichidę za spokój dusz poległych żołnierzy. Nabożeństwu przewodniczył proboszcz tutejszej parafii prawosławnej w asyście księdza diakona, lekarza medycyny, **Andrzeja Ważkowskiego**, śpiewało męskie trio z Wrocławia pod dyrekcją o. hieromnicha **Spirydona**. Uroczystości zakończyły się agapą w pałacu w Większycach.

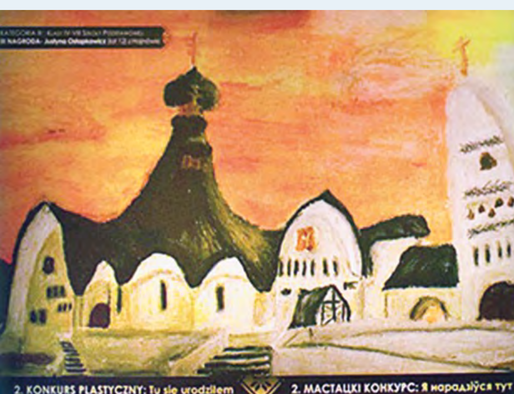
o. mitrat Stanisław (Eustachy) Strach
proboszcz prawosławnej parafii
w Kędzierzynie Koźlu
fot. **archiwum parafii**



Я нарадзіўся тут



Muzeum i Ośrodek Kultury Białoruskiej w Hajnówce zorganizowało drugą edycję konkursu plastycznego „Я нарадзіўся тут – Tu się urodziłem". Konkurs, poświęcony historii i kulturze Podlasia oraz zamieszkujących go od wieków mniejszości narodowych i etnicznych, skierowany był do dzieci w wieku przedszkolnym, uczniów szkół podstawowych oraz średnich. Zgłosiło się 38 uczestników z powiatów hajnowskiego, bielskiego, sokólskiego oraz z Białegostoku. Komisja konkursowa – **Aleksandra Czerniawska**, artystka mieszkająca i tworząca w Warszawie, **Mirosław Zdrajkowski**, artysta plastyk z Białegostoku, **Agata Łuksza**, grafik i ilustratorka książek dla dzieci z Hajnówki – przyznała 21 nagród i wyróżnień.



W kategorii przedszkole pierwszą nagrodę przyznano **Milenie Gromackiej** z Hajnówki, drugą **Annie Bartoszuk** z Hajnówki i **Mateuszowi Kalinowskiemu** z Lipin, trzecią **Oliwii Kozak** z Hajnówki. Wyróżnienie otrzymała **Magdalena Gwoździk** z Hajnówki.

W kategorii klas I-III pierwsza nagroda trafiła do **Aleksandry Żukowickiej** z Orli, druga do **Jana Koronki** z Białegostoku, trzecia **Arkadiusza Kalinowskiego** z Lipin. Wyróżnienie otrzymały **Anastazja Oniszk** z Chmielowszczyzny, **Hanna Tichoniuk** z Hajnówki i **Amelia Gołub** z Dydul.

W kategorii klas IV-VIII pierwszą nagrodę przyznano **Anastazji Gromackiej** z Hajnówki, drugą **Marii Tichoniuk** z Hajnówki, trzecią **Justynie Ostapkowicz** i **Natalii Głowackiej** z Hajnówki. Wyróżnienie otrzymały **Karolina Ostapkowicz**, **Aleksandra Oniskiewicz** i **Aleksandra Bakun** z Hajnówki.

W kategorii szkół średnich pierwszą nagrodę otrzymała **Kinga Sara Sapiołko** z Hajnówki, drugą **Patryk Janczuk** z Hajnówki.

Rozstrzygnięcie konkursu odbyło się 7 października. Dyrektor Muzeum **Tomasz Tichoniuk** oraz dyrektor Centrum Kulturalnego Białorusi w Warszawie **Ilona Jurewicz** wręczyli pamiątkowe dyplomy i nagrody. Otwarta została wystawa nagrodzonych prac.

Organizatorzy chcieliby podziękować nauczycielom i opiekunom dzieci, którzy nadesłali prace na nasz konkurs, pogratulować zwycięzcom oraz życzyć dalszych sukcesów i poszukiwań twórczych. Serdeczne podziękowania należą się również sponsorom nagród – Centrum Kulturalnego Białorusi w Warszawie, Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Urzędowi Miasta Hajnówka.

Konkurs realizowany w ramach projektu „Przygraniczny Alians Etniczny" z dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Urzędu Miasta Hajnówka.

Agnieszka Tichoniuk
fot. **autorka**



Падвядзенне праекту Дыета Барыса – фамілійныя майстаркласы здаровага харчавання ў Барысаўцы

Без хіміі і для ўсёй сям'і

Можна было даведацца, як рабіць мясныя стравы ды як харчаваліся нашыя дзяды. У вёсцы Барысаўка на Гайнаўшчыне праходзілі майстаркласы здаровага харчавання ў рамках праекту „Дыета Барыса". Жыхары вёскі ды навакольных мясцовасцей супольна вучыліся, як карыстаца зёлкамі, як рыхтаваць мяса, каўбасу, сустракаліся з псыхадыетэтыкам ды збіралі кухонныя рэцэпты ад найстрэйшых гаспадыняў.

– М'яса круцілі, добра змяшалі каб каўбаска была смачная – гаворыць **Галіна Попко**. – У прыгатаванні каўбас усё рабілася ўручную. Вось і называюць іх „пальцам пханыя". Для каўбас бралі тонкія свіныя кішкі, чысцілі, вымочвалі. Галоўнае – рабіць усё акуратна, каб не парваць, так і мы тут у час нашых майстаркласаў рабілі. Вэндзілі шынкі, паляндвіцы, бочкі, рабілі мы таксама смальчык.

– Цешымся, што праект так добра атрымаўся – гаворыць **Міраслаў Мацеюк** з Аб'яднання Сімпатыкаў Вёскі Барысаўка. – Шмат людзей прыняло ўдзел у ім, мы гэтага нават не чакалі. Калі мы збіралі рэцэпты ад жыхароў вёскі самыя даведаліся, як нашыя бабулі выраблялі мяса ды каўбасу а зараз, калі ўсе гэтыя рэцэпты ёсць на сайце нашага аб'яднання, бачым колькі людзей гэта цікавіць. Старэйшыя расказвалі як рабілі гэта даўней, а малодшыя гаспады, як рыхтуюць мяса зараз. Пры кожным прадукце была таксама дэгустацыя. Нездарма, тое, што падрыхтуеш сам, гарантуе толькі лепшыя інгрэдыенты і прыправы без хіміі. На пачатку праекту мы былі з экскурсіяў у „Ziołowym Zakątku" у Корыцінах, там вучыліся, якія зёлкі ды травы выкарыстоўваць да мяса. Нашы гаспадары і гаспадыні рабілі м.ін. сальцісон, паштэт, крывяную каўбаску і вэнджанае мяса, варанае мяса ў слоіках.

– Вельмі добра, што нешта ў нашай Барысаўцы дзеецца – гаворыць солтыс вёскі, **Гэлена Сцяпанюк**. – Падчас праекту сустракаліся старэйшыя і малодшыя жыхары, была супольная праца і шмат радасці. Хацелася б, каб такія ініцыятывы былі надалей у нас.

– Я прыходзіла і дапамагала – гаворыць **Марыся Секаноўская**. – Кроілі, мясілі, зёлкі дадавалі, напіхалі, ажно каўбаса была гатова каб яе вэндзіць. Кожна гаспадыня мае свае ўласныя рэцэпты і для мяне было цікавым, хто і чаго як дадае да мяса. Праект вельмі цікавы і вельмі карысны, тым больш, што была і сустрэча з псіхадыетолагам, прыехала да нас дохтар **Анна Кучкін** з Беластока, ад якой мы даведаліся, якія прадукты купляць у крамах і на што звяртаць увагу.

Праект „Дыета Барыса –фамілійныя майстаркласы здаровага харчавання ў Барысаўцы" адбыўся пры фінансавай падтрымцы „Дзейнічай лакальна" польска-амерыканскага фонду свабоды, які рэалізуецца Акадэміяй развіцця філантропіі ў Польшчы і Асяродкам „Дзейнічай лакальна" ў Гайнаўцы.

Анна Доманъ, фота **аўтарка**



Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Andrzej Charyło, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz, Dorota Wysocka
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl



Arcybiskup Jakub podczas poświęcenia plebanii, pierwszy z prawej proboszcz o. Piotr Pietkiewicz

Poświęcenie plebanii

W dniu liturgicznego wspomnienia świętych męczennic Wiery, Nadziei, Luby i matki ich Zofii, 30 września, poświęcono nową plebanię w parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku. Liturgię sprawował arcybiskup białostocki i gdański Jakub wraz z parafialnymi duchownymi. Wyrażono wdzięczność Bogu za błogosławieństwo towarzyszące dziełu rozbudowy plebanii. Po nabożeństwie odbyło się poświęcenie domu parafialnego, który będzie odgrywał ważną rolę w życiu lokalnej wspólnoty. Urządzono już w nim bibliotekę, a także obszerne pomieszczenia, gdzie odbywają się próby chórów, spotkania z wiernymi, jak również bractw – dziecięcego, młodzieżowego i dorosłych. Nowa piękna konstrukcja, wyróżniająca się ładem, dobrze wkomponowała się w otoczenie.

Arcybiskup **Jakub**, zwracając się do zebranych, wyraził nadzieję, że Bóg będzie obecny w domu parafialnym swoją łaską, która jest niezbędna i potrzebna, aby wszystko pozostawało w harmonii i miłości. Hierarcha podziękował proboszczowi, o. **Piotrowi Pietkiewiczowi**, za ponaddwuletni trud rozbudowy plebanii, która będzie służyła wspólnocie parafialnej. Proboszcz ze swej strony wyraził wdzięczność władyce za modlitwę i podziękował wszystkim ofiarodawcom za wsparcie dobrego dzieła, a także podkreślił, że chrześcijańska miłość zawsze jednoczy, a zgoda buduje.



Metropolita **Sawa** podczas wizyty w parafii 22 września pozostawił następujący wpis w kronice: „Wysoko oceniam i podziwiam osiągnięcia administracyjne o. Piotra Pietkiewicza na cmentarzu w Białymstoku. Chwała Mu! Boże błogosławieństwo niech towarzyszy jemu i pomagającym mu w ich dalszej pracy duszpastersko-administracyjnej ku chwale Bożej i dobru świętego prawosławia".

Historia parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku sięga 1887 roku, kiedy na obrzeżach miasta zlokalizowano nekropolię, gdzie wzniesiono tymczasową, drewnianą cerkiew. Wkrótce zastąpiono ją murowaną, pod budowę której 31 maja 1892 roku poświęcono kamień węgielny. Nowa świątynia ku czci Wszystkich Świętych została konsekrowana 19 maja 1894 roku. Przez prawie sto lat cerkiew cmentarna była filią parafii św. Mikołaja. 16 czerwca 1982 roku ówczesny biskup białostocki i gdański Sawa erygował samodzielną parafię przy ulicy Wysockiego 1. Pierwszym proboszczem został o. **Aleksander Chilimoniuk**, który w pamięci wiernych zapisał się jako troskliwy kapłan, wspaniały kaznodzieja, a także dobry organizator i oddany budowniczy sąsiedniej cerkwi Hagia Sophia.

W 1984 roku cmentarz poszerzono do powierzchni prawie siedmiu hektarów. Nekropolia wraz z cerkwią ze względu na znaczącą wartość historyczną została zapisana w rejestrze zabytków województwa podlaskiego pod numerem 659. Zachowały się okazałe nagrobki carskich urzędników i oficerów garnizonu miasta z przełomu XIX i XX wieku. Na cmentarzu pochowanych jest kilkudziesięciu duchownych z Białegostoku i okolic, a także arcybiskup białostocki i gdański w latach 1966-1985 **Nikanor** (**Niesłuchowski**) i biskup wrocławski i szczeciński w latach 1948-1951 **Michał** (**Kiedrow**).

Obecnie parafia Wszystkich Świętych jest najmniejszą pod względem liczby wiernych w Białymstoku. Tym niemniej we wspólnocie prowadzona jest aktywna praca duszpasterska z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi, działalność wydawnicza, a także realizowane są liczne inicjatywy propagujące wiedzę o duchowości i pięknie prawosławia.

Andrzej Charyło, fot. **autor**

ZMIANA CENNIKA PRENUMERATY DO EUROPY

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej"

Prenumerata e-wydania Przeglądu Prawosławnego

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie

---

Roczniki Przeglądu oprawiamy

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Zamówienia zbieramy przez cały rok – ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, e-mail: redakcja@przegladprawoslawny pl. Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Andrzej Charyło, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
o. Konstanty Bondaruk, Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, Paweł Krysa
o. Marek Ławreszuk, Mira Łuksza, o. Włodzimierz Misijuk, Aleksander Naumow
Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):
Miesięczna: Polska **11,00 zł**; Europa **20,00 zł**, Australia, USA i Kanada **20,00 zł**.
Kwartalna: Polska **33,00 zł**, Europa **60,00 zł**, Australia, USA i Kanada **60,00 zł**.
Półroczna: Polska **66,00 zł**, Europa **120,00 zł**, Australia, USA i Kanada **120,00 zł**.
Roczna: Polska **132,00 zł**, Europa **240,00 zł**, Australia, USA i Kanada **240,00 zł**.
Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

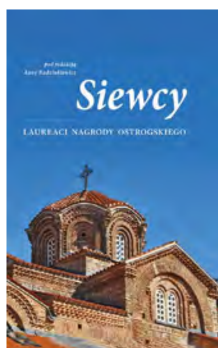
Fundacja Ostrogskiego poleca



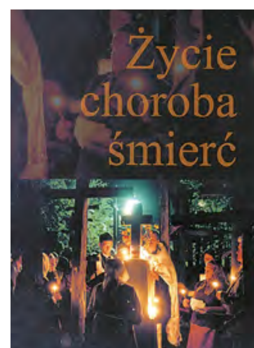
Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 20 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 27 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) – 15 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 15 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 19 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) – 10 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 25 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 32 zł hurtowa (powyżej 5 egz.) – 20 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 10 zł, z wysyłką – 14 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 40 zł, z wysyłką – 48 zł

ul. Składowa 9, 15-399 Białystok Konto: 98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

O innych książkach Fundacji na stronie internetowej przegladprawoslawny.pl

Odchodzimy od prenumeraty przez Pocztę Polską

Fundacja Ostrogskiego podjęła decyzję o niepodpisywaniu kolejnej umowy z Pocztą Polską, przedłużającej prenumeratę Przeglądu Prawosławnego. Warunki tej prenumeraty są dla nas niekorzystne. Czytelników, którzy Przegląd Prawosławny otrzymywali dotąd poprzez Pocztę, prosimy zatem – dołączcie do prenumeratorów bezpośrednich, czyli poprzez wydawcę PP, Fundację Ostrogskiego. Pytania w tej sprawie można kierować do Daniela Simoniuka, tel. 601 514 666. Warunki prenumeraty podajemy na stronie obok.

PODZIĘKOWANIE

Serdecznie dziękujemy duchownym i wszystkim osobom, które wsparły modlitwą i finansowo chorą ANIĘ DIEMIANIUK z parafii Hagia Sophia. Rodzina Diemianiuków

Pomoc dla pogorzelców



Z błogosławieństwa arcybiskupa wrocławskiego i szczecińskiego **Jerzego**, za pośrednictwem parafii św. apostołów Piotra i Pawła w Stargardzie, zwracamy się z prośbą o pomoc poszkodowanym pogorzelcom z parafii.

3 września w miejscowości Młyny w powiecie pyrzyckim na terenie należącym do parafii w Stargardzie spłonęła stodoła. Było w niej przechowywane siano, słoma dla zwierząt gospodarczych, zboża, maszyny rolnicze wraz z ciągnikiem. Potrzebna jest pomoc finansowa na zakup niezbędnej żywności dla zwierząt w okresie zimowym, a także zakup ciągnika i maszyn rolniczych. Bez potrzebnego sprzętu rolnik nie może wykonywać pracy, która umożliwi mu utrzymanie gospodarstwa i zwierząt. Okażmy im wsparcie i solidarność w tym trudnym dla nich czasie. Najważniejsze jest to, że w czasie pożaru ludzie i zwierząt nie ucierpieli. Budynek czy maszyny, przy pomocy ludzi dobrej woli, da się odtworzyć. Nie bądźmy obojętni, liczy się każda złotówka.

Wpłat można dokonywać na konto: Parafia apostołów Piotra i Pawła, ul. Nadbrzeżna 4, 73-110 Stargard.

Paribas Bank: 79 2030 0045 1110 0000 0217 5460 z dopiskiem: „Pomoc dla pogorzelców" bądź poprzez zbiórkę: https://zrzutka.pl/c5xxe4?utm_medium=social&fbclid=IwAR3gD2Bop_dqfqqv91k-zTPx6VEs1NzRor97yyV1ZT4b0n_qNp97_mnC_e0.

W imieniu poszkodowanych dziękujemy za pomoc, **o. Jarosław Biryłko**

EDUKACJA LOGOPEDYCZNA RODZICÓW



SZANOWNI RODZICE

W związku z sytuacją epidemiczną, proponujemy bezpłatną pomoc logopedyczną. Zachęcamy do zadawania pytań, konsultacji mailowych, telefonicznych. Postaramy się odpowiedzieć na nurtujące pytania, zaproponujemy pomoce oraz damy wskazówki do ich kreatywnego wykorzystania w domu.

Polecamy **Podręczną Apteczkę Logopedyczną** – pomoże zorganizować w domu zabawę, pozwalającą zbadać i ocenić rozwój mowy oraz zorganizować pierwszą pomoc w pokonywaniu wad mowy i wymowy.

Zachęcamy do zwiększenia swoim dzieciom dawki miłości.
Miłość = czas, który dajemy tym, których kochamy.

Pomocą pragną służyć:

Antoni Balejko – doktor nauk humanistycznych, długoletni były dyrektor Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej, z trzecim stopniem specjalizacji zawodowej z logopedii i pedagogiki specjalnej, autor wielu książek oraz pomocy logopedycznych z serii „Logopeda radzi". Kontakt: **tel. 602 746 277** (poniedziałek od 16.30 do 18.00), strona serii Logopeda radzi: **https://sites.google.com/view/balejko/**.

Katarzyna Doms – nauczyciel muzyki, rytmiki, logorytmiki, logopeda. Kontakt: **doms.logopeda@gmail.com**

Iza Serafin – redaktor Radia Białystok, logopeda. Kontakt: **tel. 693 278 234**.

Książek i pomocy z serii „Logopeda radzi" należy szukać w większych księgarniach w kraju. W stałej dostawie w Ateneum (https://ateneum.net.pl, **tel. 12 263 82 99**).

Prosimy przekazać rodzicom dzieci z wadami mowy i wymowy i dorosłym, którzy utracili sprawność mówienia i wymawiania – pomożemy.

Fot. Dmytro Pokhyliuk

Cerkiew w Nosowie



FUNDACJA OSTROGSKIEGO DZIĘKUJE ZA 1%